CZERWONE PACYFKI
Jak „obrońcy pokoju” grali na rzecz Związku Sowieckiego

NIDERLANDZKA PĘTLA
Holandia stopniowo dusiła gospodarczo Rzeczpospolitą

AFRYKAŃSKA PIĘŚĆ FRANCO
Legia Cudzoziemska umożliwiła prawicy wygraną w wojnie domowej

NR 6(136)/2024 CZERWIEC 2024

CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY



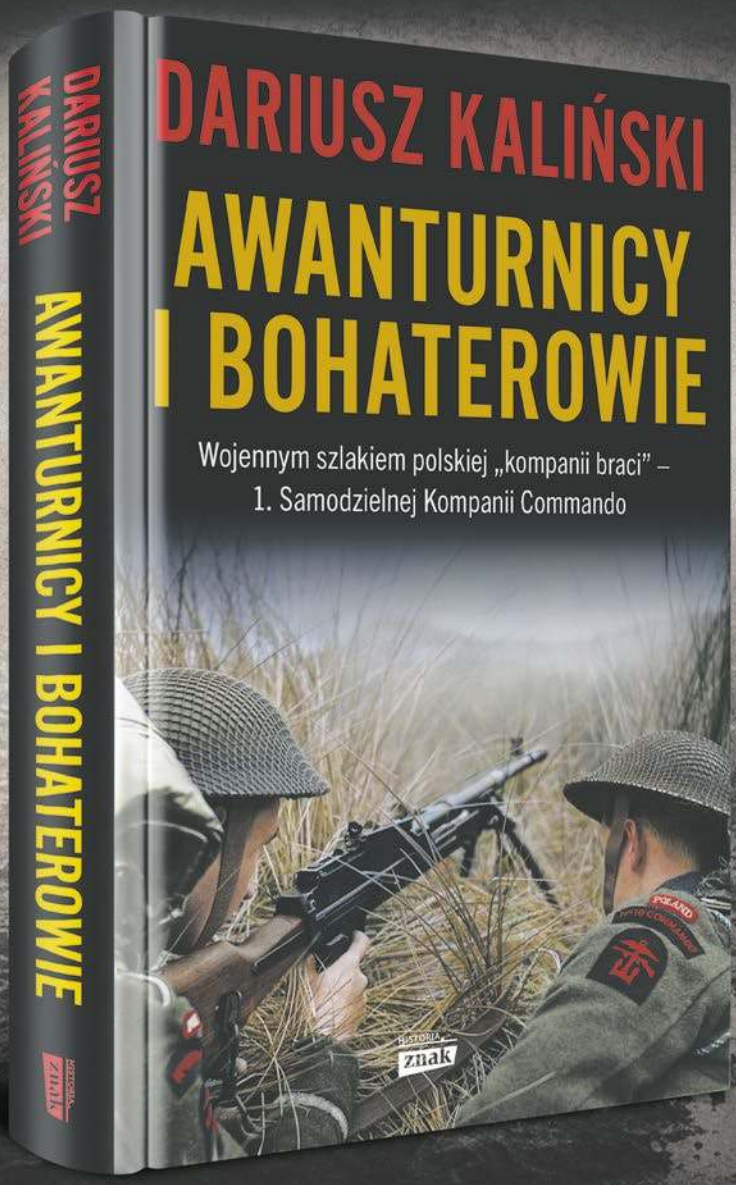
Początek upadku Zachodu

REWOLTA ’68

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031
9 772299 951509 06>

Dowiedli, że są elitą wojsk alianckich.

Zabijali i ginęli. Do ojczyzny nie było im dane wrócić.



Oto ich wojenna historia.

eprasa.pl 16949dbbda

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk (fotoedycja)

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Orle Pióro SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD ORLE PIÓRO SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.–pt. w godz. 10–16
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel. +48 41 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel. +48 12 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel. +48 22 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, marzec 1931 r.

Rozpędzanie demonstracji studentów Uniwersytetu Warszawskiego, Krakowskie Przedmieście



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

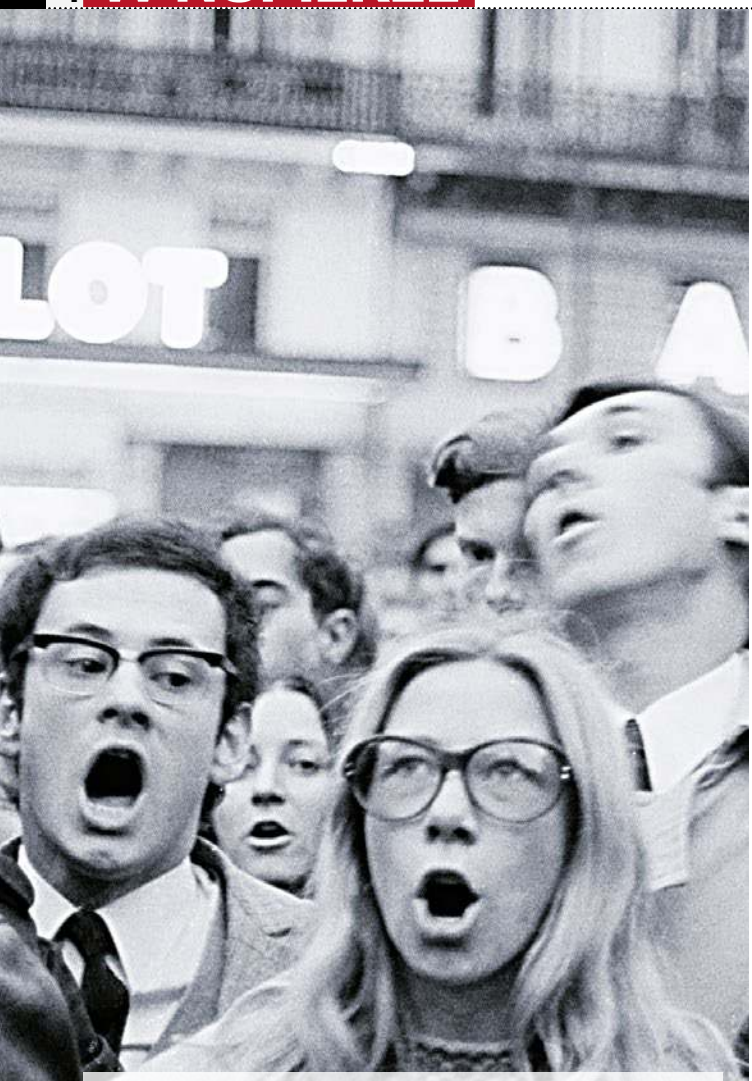
Bunt przeciw rozumowi

Ojciec nachyla się nad kilkuletnim synkiem, trzymając ciastko w ręku, i pyta chłopczyka: „Jakie słowo sprawi, że dostaniesz to, co chcesz?". „Czuję się obrażony" – odpowiada z uśmiechem dziecko. Ten internetowy mem to świetna ilustracja skutków rewolty 1968 r. Świat musiał odrzucić wszelkie autorytety, hierarchie i tradycje, a wolność nie mogła znać żadnych granic („Zabrania się zabraniać") – tego domagali się protestujący młodzi ludzie. Efekty widać dziś na zachodnich uniwersytetach, gdzie ponad pół wieku temu zaczęła się rebelia przeciw „staremu porządkowi". Wyższe uczelnie, będące miejscami, w których wolna debata i swobodna wymiana myśli – szczególnie na wydziałach humanistycznych – były impulsem do intelektualnego rozwoju studentów, od tamtego czasu stały się hermetycznie zamkniętymi bańkami. Kształcący się na nich młodzi ludzie izolowani są od wszelkich idei, które mogłyby ich „obrazić" i zakwestionować jedynie słuszny kierunek myślenia.

Jednym z symboli tamtej rewolty była pacyfka. Znak, który miał oznaczać umiłowanie pokoju i sprzeciw wobec imperializmowi. Dokładnie tego potrzebował wtedy Związek Sowiecki, tym bardziej że pacyfiści byli „ślepi" na jedno oko – potępiali zachodnie zbrojenia i amerykańskie interwencje wojskowe, ale zupełnie nie przejmowali się sowieckim militaryzmem i agresją. Czyli w gruncie rzeczy piłowali gałąź, na której sami siedzieli.

Jak przypomina w tym numerze Krzysztof Masłoń, gdy w 1968 r. Sławomir Mrożek trafił w Paryżu w sam środek studenckich strajków, niemal z dnia na dzień stał się konserwatystą. Autor „Tanga" nie mógł znieść chaosu, który niosły ze sobą tłumy młodych ludzi zapatrzonych w Che Guevarę, Marksa i Mao. Polski pisarz, jako człowiek doskonale znający realia świata za żelazną kurtyną, rozumiał, że ich idee nie mogą przynieść innego rezultatu jak tylko upadek. ©℗

eprasa.pl 16949dbbda



/ TEMAT NUMERU

.6 KACPER KITA
Szał '68

.10 JAKUB OSTROMĘCKI
Czerwone pacyfki

.14 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Dzieci dewiaty

.18 ANNA SZCZEPAŃSKA
Ku wojnie płci

.22 PIOTR SEMKA
Rewolwer zamiast megafonu

26 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Nieporozumienie roku 1968

/ CZASY I LUDZIE

.30 LESZEK LUBICKI
Zatruty puchar królowej



.36 JAKUB WOZINSKI
Holenderski oprawca Rzeczypospolitej

.40 SŁAWOMIR KOPER
Manhattan średniowiecza

.44 ED SHAMES, RAY LAMBERT
Czerwone plaże Normandii

.48 TOMASZ STAŃCZYK
Święci legioniści

.52 MIKOŁAJ IWANOW
Małżeński trójkąt Lenina



.55 TOMASZ STAŃCZYK
Leninowski seks

.58 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Afrykańska pięść Franco

.66 RECENZJE

eprasa.pl 16949dbbda

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Tyrania konsensusu

.71 PIOTR SEMKA
Wysocki mój i wasz

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 SŁAWOMIR KOPER
Postrach perskiego świata

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Intymny wynalazek

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Niewolnicy Waszyngtona

/ KOMIKS



.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Stanisław Skalski, as myśliwski

REKLAMA



eprasa.pl 16949dbbda



Francuska młodzież pod budynkiem Sorbony w maju 1968 r. FOT. BRUNO BARBEY/ MAGNUM PHOTOS/FORUM

Wywiad / Z Kacprem Kitą, publicystą, znawcą historii politycznej Francji

rozmawia Piotr Włoczyk

Szał '68

– Dawni młodzi rewolucjoniści przeniknęli kluczowe obszary życia publicznego, powołując się na autorytet swojego buntu przeciwko opresji – mówi publicysta

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego to minister edukacji Francji miał się zająć „problemami seksualnymi" jednego z przywódców studenckich protestów z 1968 r.?

KACPER KITA: Kwestia ta wypłynęła podczas wizyty ministra na Uniwersytecie Paris Nanterre. Daniel Cohn-Bendit, uważany powszechnie za jednego z prowodyrów protestów, krzyczał wręcz na ministra, że w jego programie dla młodzieży nie ma nic na temat jej problemów seksualnych! Cohn-Bendit zażądał, by minister zajął się jego problemami seksualnymi. Szef resortu edukacji zaproponował mu w odpowiedzi, by student ochłodził się w basenie. Ekscentryczny postulat Cohn-Bendita trzeba rozpatrywać w kontekście haseł tamtej rebelii. Organizatorzy protestów w 1968 r. wystrzegali się formułowania konkretnego programu pozytywnego, skupiając się za to na hasłach w rodzaju: „Zabrania się zabraniać". Manifestanci narzekali, że są traktowani przez starszych w sposób zbyt autorytarny i potrzebują więcej swobody – przede wszystkim w kwestiach seksualnych, choć nie tylko.

O co tak naprawdę walczył ten prowodyr buntu '68?

Cohn-Bendit jest tu postacią bardzo charakterystyczną. Personifikował w sferze seksualnej hasło „Zabrania się zabraniać". Wygląda na to, że to na tym aspekcie ludzkiego życia zależało mu najbardziej. W 1975 r. wydał książkę, w której opisał absolutnie obrzydliwe, pedofilskie zachowania. Po latach wyciągnięto mu to, gdy kwestia pedofilii stała się centralnym elementem walki z Kościołem. I dogrzebano się, że w latach 70., gdy permisywizm seksualny osiągnął na Zachodzie swoje apogeum, Cohn-Bendit pisał zupełnie otwarcie, że pracując w przedszkolu, „pobudzał" dzieci, a one „pobudzały" jego. Później wielokrotnie mu to wypominano w telewizyjnych debatach, m.in. Marine Le Pen nazywała go wprost pedofilem.

Jak to się więc stało, że ten człowiek nie został poddany ostracyzmowi i nie zniknął na zawsze z życia publicznego?

Cohn-Bendit zdobył na lewicy na tyle duży autorytet, że jest właściwie „teflonowy". Trudno wyobrazić sobie, czy jest w ogóle cokolwiek, co mogłoby go bardziej skompromitować niż pedofilskie wspomnienia w rodzaju: „Och, kiedy pięcioletnia dziewczynka się przed wami rozbiera, to jest to coś fantastycznego". Tolerancja dla takich wynaturzeń to też jeden z efektów buntu z 1968 r. Cohn-Bendita jest obecnie tym trudniej zaatakować, że już jakiś czas temu przeszedł on na pozycje establishmentowe – zaczął akceptować status quo, popiera coraz

eprasa.pl 16949dbbda



Daniel Cohn-Bendit FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAAL ARCHIEF JACK DE NIJS FOR ANEFO



Demonstracja paryskich studentów, maj 1968 r. FOT. REG LANCASTER/DAILY EXPRESS /GETTY IMAGES

głębszą integrację Unii Europejskiej, a działalność wielkich koncernów już mu nie przeszkadza. Najważniejsze, żeby nikt nie próbował ograniczać wolności seksualnej. Cohn-Bendit mocno zaangażował się też w kwestie ekologiczne.

Jakie owoce przyniósł światu zachodniemu rok 1968?

Z perspektywy widzimy, że wówczas zaczął się proces, który doprowadził do hegemonii kulturowej lewicy w świecie zachodnim. Pojęcia takie jak „naród", „rodzina" czy „obowiązek" zaczęły być spychane na margines, natomiast na plan pierwszy wysunęła się afirmacja permisywizmu i swego rodzaju hedonizmu jako sposobu realizacji wolności człowieka. Ten model patrzenia na rzeczywistość stopniowo stawał się dominujący, jeżeli chodzi o media i świat akademicki. Później zaczęło to stopniowo przenikać do polityki i obecnie widzimy, że ideały protestujących studentów stały się obowiązującą moralnością publiczną.

Kto był duchowym ojcem tamtej rewolucji? Marks, Mao czy może jednak Marcuse?

Manifestanci biorący udział w demonstracjach w maju 1968 r. w Paryżu podkreślali, że nie mają jednego programu. Byli tam oczywiście maoiści, ale to nie był „mainstream" buntu. Mimo wszystko Mao był postacią mocno kontrowersyjną. Dużo bardziej widoczne było odwoływanie się do Che Guevary jako symbolu walki z imperialistycznym, kapitalistycznym i tradycyjnym światem, który demonstranci odrzucali. Daniel Cohn-Bendit wskazywał Che Guevarę jako jedno ze swoich głównych źródeł inspiracji, obok Marksa i Bakunina. Bez wątpienia wielu demonstrantów inspirowało się Marksem, ale część też nawiązywała do Marcuse'a czy – szerzej – do szkoły frankfurckiej, kontestując kapitalizm i konsumeryzm. Inni natomiast odwoływali się do anarchizmu i inspirowali się np. właśnie Bakuninem. Widoczne były również idee Wilhelma Reicha, który był prekursorem łączenia marksizmu i freudyzmu. To była cała skomplikowana mozaika poglądów i idei, które łączyło przekonanie o konieczności odrzucenia „starego świata".

Protesty w 1968 r. przetoczyły się przez wiele państw. Dlaczego to jednak we Francji ich skala była tak duża?

We Francji istniał bardzo specyficzny kontekst. Po pierwsze, Francuzi mają tradycję rewolucji i protestów ulicznych, które są tam czymś relatywnie akceptowalnym. Dodatkowo rządzący państwem gen. Charles de Gaulle sprawiał, że kontrast między skostniałą władzą a rozgorączkowaną ulicą był tam dużo większy niż gdzie indziej. Do tego relatywnie silne były związki zawodowe i wpływy partii komunistycznej – te środowiska były zdolne wyprowadzić na ulice mnóstwo robotników, którzy dodali protestom „masy".

Wszędzie w świecie zachodnim w dorosłość wchodziło pierwsze pokolenie, które nie znało wojny i dorastało w dobrobycie. Tamten okres to złote czasy dla francuskiej gospodarki. Z bogaceniem się wiązały się też procesy kulturowe. Młodzi ludzie przenosili się z wiosek i miasteczek do dużych miast, by studiować lub pracować. Dochodzi do tego ogólnozachodni kontekst przemian w sferze seksualnej – pojawienie się pigułki antykoncepcyjnej i coraz bardziej dominujący w kulturze młodzieżowej permisywizm. Wreszcie niedawno zakończył się Sobór Watykański II i także Kościół katolicki, przez wieki fundament porządku moralnego, zaczął „iść z duchem czasu".

Aby zrozumieć fenomen maja 1968 r., musimy też wiedzieć, że we Francji ogromnie zwiększyła się liczba studentów. O ile w 1946 r. studentów było tam ok. 120 tys., o tyle w 1968 r. liczba ta wzrosła czterokrotnie do ok. połowy miliona. To była cała rzesza młodych ludzi, którzy wyjeżdżali z prowincji do wielkich miast na studia, co było poza zasięgiem ich dziadków i rodziców. Uważali się w związku z tym za elitę, której wiele się należy. Skądinąd rzeczywiście zwiększenie liczby studentów miało służyć wykształceniu nowej elity i rzeszy specjalistów.

To pokolenie także chciało mieć swoją „wielką sprawę", o którą warto się bić, choć nie doświadczyli wojny ani okupacji. Podobnie było w Polsce w 2020 r. w przypadku tzw. strajku kobiet i okrzyków: „To jest wojna" ze strony ludzi wychowanych w warunkach bezprecedensowego dobrobytu. Ponadto owi młodzi ludzie we Francji mieli specyficzne dla siebie problemy – np. ze względu na ogromny wzrost liczby studentów brakowało dla nich mieszkań. Do tego akademiki były zazwyczaj oddzielne dla mężczyzn i kobiet, a młodzi często chcieli korzystać z życia w tej sferze.

Jak de Gaulle zapatrywał się na problemy studentów? Miał dla nich choć krztynę zrozumienia?

Prezydent doszedł w tamtym okresie do wniosku, że we Francji jest za dużo studentów. Mówił podwładnym, że znaczna ich część chce po prostu przedłużyć swój nastoletni wiek i tak

eprasa.pl 16949dbbda



Ernesto Che Guevara, idol rebelii w 1968 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RENE BURRI

naprawdę nie chce się wykształcić, tylko korzysta pełnymi garściami z przyjemności życia za pieniądze państwa. De Gaulle chciał zaostrzyć kryteria dostania się na studia i to też przyczyniło się do wzrostu buntowniczych nastrojów wśród młodych Francuzów.

Niebagatelny był tu właśnie kontekst polityczny. Francją od dekady rządził prezydent, który był tak naprawdę postacią z innej epoki. W 1968 r. de Gaulle miał już 78 lat i był w wieku Franco czy Salazara, którzy rządzili Hiszpanią i Portugalią, ale nie musieli tak bardzo jak on przejmować się opinią publiczną. Prezydent cieszył się dość silną pozycją w starszych pokoleniach i był postrzegany jako ojciec narodu – strażnik patriarchalnego świata, praktykujący katolik i sztywny wojskowy, mówiący o konieczności poświęcania się dla wspólnoty, odwołujący się do historii…

… czyli młodym, buntującym się studentom prezydent Francji pachniał zapewne… wiekiem XIX.

Dokładnie. Jeden z tabloidów francuskich opublikował w tamtym czasie wiele mówiący w tym kontekście materiał. Zestawiono w nim „wyzwoloną", wydekoltowaną, radosną Brigitte Bardot z „ciotką Yvonne" – żoną prezydenta – zapiętą na ostatni guzik i modlącą się na klęczkach. Pierwsza dama rzeczywiście była znana z pobożności i surowości. Pani de Gaulle miała też dopytywać ministra edukacji, czy możliwe jest zakazanie noszenia w szkołach minispódniczek. Po Francji krążyły różne opowieści na jej temat. Para prezydencka personifikowała w oczach wielu młodych Francuzów „stary świat" i stąd wzięły się potem okrzyki w stylu: „De Gaulle do muzeum!".

Czyli widać tu mieszankę realnych problemów młodych ludzi ze zwykłym… rozwydrzeniem, jak w przypadku Cohn-Bendita.

Tak. W tej półmilionowej grupie studentów byli też ci, którzy przede wszystkim zainteresowani byli odrzuceniem wszelkich autorytetów, rozluźnieniem obyczajowości i normalizacją postulatów rewolucji seksualnej. W tamtym okresie prowadzono we Francji debatę na temat legalizacji niedawno wynalezionej pigułki antykoncepcyjnej. Początkowo de Gaulle odmówił legalizacji, ale jednak dwa lata później, także pod presją części swojego własnego zaplecza, prezydent dał zielone światło, żeby czasowo dopuścić pigułkę do użytku w ramach kilkuletniego eksperymentu. Mówiono mu, że dzięki temu decyzje o zakładaniu rodziny będą bardziej odpowiedzialne i przemyślane, co wpłynie dobrze na dzieci. Oczywiście okazało się to w kolejnych dekadach bzdurą, ale wówczas zwolennicy pigułki przekonali nawet surową pierwszą damę, jeszcze zanim uległ sam prezydent. Co ciekawe, wcześniej de Gaulle zapytał o zdanie w tej sprawie także Pawła VI, bo nie był pewien, jak na te przemiany technologiczne patrzeć z punktu widzenia moralności katolickiej. Papież nie dał mu jednak jednoznacznej odpowiedzi, mówiąc, że dopiero za jakiś czas oficjalnie wypowie się na ten temat (encyklika „Humanae vitae" została opublikowana w lipcu 1968 r. – możliwe, że na jej treść wpłynęły wydarzenia we Francji).



Stempel „Trucizna" na winietach francuskich gazet FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CHARLES PERUSSAUX & BIBLIOTHÈQUE NATIONALE (PARIS) GALLICA

A wszystko zaczęło się od drobnego, wydawałoby się, incydentu, gdy grupka studentów, którym nie podobała się amerykańska interwencja w Wietnamie, postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce…

Doszło do tego w marcu, dwa miesiące przed erupcją masowych protestów. Ta grupka studentów, solidaryzująca się z „ludem wietnamskim" i potępiająca „imperializm amerykański", zaatakowała placówkę American Express. Kilkoro z nich zostało zatrzymanych. Następnie zawiązany został komitet studentów, którzy domagali się zwolnienia aresztowanych. Wreszcie 3 maja 1968 r. kilkuset studentów rozpoczęło okupację placu w środku kompleksu Uniwersytetu Sorbony, żądając odstąpienia od karania tych, którzy brali udział w zamieszkach w obronie komunistycznego Wietnamu.

Pierwszy – studencki – etap protestów trwał ok. 10 dni. Następnie 13 maja doszło do strajku generalnego zorganizowanego przez związki zawodowe. Uznały one, że skoro odbywają tak duże protesty studenckie, to warto wykorzystać sytuację i przyłączyć się do nich, by postawić rząd w jeszcze trudniejszej sytuacji – to zawsze ułatwia realizację celów związkowców. Obie te grupy protestowały więc jednocześnie i to było kluczowe: bunt nabrał masowego charakteru.

Dodatkowym problemem była słaba dystrybucja owoców wzrostu wśród części robotników, głównie chodzi tu o imigrantów (wówczas głównie z innych krajów europejskich) i ludzi z mniejszych miejscowości. Mogli oni mieć poczucie, że tak naprawdę niewiele mają z bogacenia się kraju. Efektem protestów robotniczych było ostatecznie porozumienie z rządem, wskutek którego podniesiono pensję minimalną aż o 35 proc. Po kilku tygodniach manifestacji robotnicy wrócili do pracy.

13 maja 1968 r. nie był dniem wybranym przypadkowo. Był 10. rocznicą quasi-przewrotu, gdy de Gaulle doszedł do władzy wskutek chaosu spowodowanego wojną w Algierii. Rząd IV Republiki znalazł się wówczas pod ścianą – wojsko zajęło Korsykę i groziło dokonaniem zamachu stanu w reszcie kraju. De Gaulle okazał się opcją akceptowalną dla obu

eprasa.pl 16949dbbda

stron. Po tym 10-leciu, bardzo mocno naznaczonym silną osobowością prezydenta, który wprowadził własną konstytucję, pojawiło się w społeczeństwie zmęczenie. Ta rocznica przypominała wszystkim, którzy mieli dość de Gaulle'a, że jego rządy trwają już wystarczająco długo.

O co przede wszystkim chodziło protestującym młodym Francuzom? O wyzwolenie seksualne, odrzucenie autorytetów czy odejście od kapitalizmu? Co wybijało się tu na pierwszy plan?

Tak bym to uszeregował: wyzwolenie się spod autorytetu wyższej wspólnoty (rodziny, narodu), która mówi młodemu człowiekowi, co ma robić ze swoim życiem – wyzwolenie seksualne było tego elementem – i w dalszej kolejności odrzucenie kapitalizmu. Widać było wówczas ogromną potrzebę kontestacji, debatowania o tym, jak „tak naprawdę" należy żyć. W teatrze Odeon w Paryżu przez wiele dni studenci, aktorzy, intelektualiści i lewicowi działacze całymi dniami i nocami dyskutowali na temat sensu życia.

Gdy Francja wrzała, telewizja publiczna, czyli jedyna francuska telewizja, była w rękach rządu i serwowała propagandę gaullistowską. Dochodziło wtedy do komicznych sytuacji. W szczycie protestów, gdy Paryż poprzecinany był barykadami, główne wydanie wiadomości na pierwszy plan wysuwało wizytę prezydenta w Rumunii, pokazując obywatelom, że Francja pod jego rządami liczy się na arenie międzynarodowej. To też irytowało – w końcu doszło zresztą do strajku pracowników telewizji.

Dlaczego to właśnie Daniel Cohn-Bendit stał się twarzą studenckiej części Maja '68?

Był on jednym z liderów protestów studenckich, ale faktycznie stał się ich symbolem. Cohn-Bendit nie miał zahamowań, był bezczelny i bardzo wyrazisty. Jego sławie pomogło zdjęcie, na którym stoi naprzeciw policjanta z CRS, jednostki służącej do tłumienia protestów. Wygląda na nim na niewinnego idealistę, który bez strachu, z uśmiechem na ustach, występuje przeciw przemocowej władzy. Cohn-Bendit był jednym ze studentów z Nanterre, którzy mieli być ukarani za protesty przeciw aresztowaniu grupki, która zaatakowała punkt



Sala wykładowa na uniwersytecie w Lyonie FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GEORGE LOUIS

American Express. Ten młody człowiek nie wziął się jednak „znikąd". Jego rodzice byli zaangażowanymi działaczami skrajnej lewicy, więc szybko się odnalazł w rewolucyjnych warunkach. Cokolwiek by o nim mówić, czytał Marksa i Bakunina, miał pewne rozeznanie i był przygotowany do debatowania. Szybko wypracował sobie autorytet wśród innych studentów i części środowisk intelektualnych. Sam Jean-Paul Sartre spotkał się z Cohn-Benditem. Ten stary intelektualny przywódca lewicy, wyraźnie komunizujący – twierdził przecież, że Chruszczow skrzywdził Stalina w swoim referacie, i wiele lat bronił ZSRS – wsparł Cohn-Bendita swoim autorytetem.

„Ciotka Yvonne" była chyba zachwycona tym, jak skończyło się starcie prezydent – demonstranci?

Zachwycona nie była, miała po drodze dużo stresu, oboje byli na skraju wytrzymałości nerwowej, ale władza się uratowała. Najpierw zostały zaspokojone roszczenia robotników, a potem zwykli obywatele, którzy początkowo mogli nawet sympatyzować z niektórymi hasłami studentów, zmęczyli się chaosem i zapragnęli stabilizacji. Rząd przeczekał bunt. De Gaulle wygłosił przemówienie do narodu za pośrednictwem radia, nawiązując do swoich audycji na falach BBC z czasów wojny. Rozwiązał Zgromadzenie Narodowe i wezwał do demonstracji w obronie porządku, strasząc komunistami i ich totalitarną ideologią. Obóz gaullistowski odniósł w przyspieszonych wyborach miażdżące zwycięstwo, zdobywając trzy czwarte mandatów.

Jednak ziarno, które w maju 1968 r. zostało „zasiane" na ulicach francuskich miast, zaczęło wkrótce przynosić plon...

Pod względem politycznym prawica gaullistowska wygrała w 1968 r., ale tylko na krótką metę. De Gaulle zmarł w 1970 r., a to, o co walczyli studenci, stopniowo, wraz z kolejnymi rządami, było wprowadzane w życie. Symbolem może być tu legalizacja aborcji przez polityków liberalnego skrzydła tego samego obozu, do czego doszło już w 1975 r., ledwie kilka lat po legalizacji antykoncepcji. Kolejnym pokoleniom nie przekazano trwale pozytywnych wzorców aksjologicznych (które często uważano za oczywiste), skupiając się na dobrobycie gospodarczym, odbudowie sprawnych instytucji państwa (V Republika) i międzynarodowej pozycji Francji. A niedawno to „prawo do aborcji" zostało z inicjatywy prezydenta Macrona wpisane także do konstytucji Francji, czego nie poparła tylko mniejszość deputowanych. Dobrze pokazuje to moralną ewolucję francuskich elit i społeczeństwa.

Dawni młodzi rewolucjoniści przeniknęli kluczowe obszary życia publicznego, powołując się na autorytet swojego buntu przeciwko opresji. Przykładowo: jeden z ich przywódców, kolega Cohn-Bendita Alain Geismar, w młodości maoista, który nawet siedział krótko w więzieniu za próbę odbudowy zdelegalizowanej przez gaullistów organizacji skrajnej lewicy, został potem politykiem socjalistycznym i za rządów lewicy był ważną postacią ministerstwa edukacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Kacper Kita
jest publicystą, członkiem redakcji portalu Nowy Ład, znawcą tematyki francuskiej, autorem m.in. biografii Érica Zemmoura.

eprasa.pl 16949dbbda

Starcie NATO – Układ Warszawski / Inspiracje ruchu antywojennego



Amerykańska aktorka Jane Fonda wśród wietnamskich żołnierzy

FOT. PICTURES FROM HISTORY/UIG/GETTY IMAGES

Czerwone pacyfki



Jakub Ostromęcki

W czasie zimnej wojny ruch pacyfistyczny na Zachodzie raz słabł, raz przybierał na sile, ale we wszystkich odsłonach miał cechę wspólną – dużo chętniej krytykował militaryzm amerykański niż sowiecki

W 1958 r. brytyjski filozof i pacyfista Bertrand Russell, zainspirowany słowami swojego zachodnioniemieckiego kolegi, rzekł: „Better red than dead!" (ang. „Lepiej być czerwonym niż martwym"). Według niego perspektywa opanowania świata zachodniego przez system komunistyczny była mniej wstrętna od zbrojnego oporu i związanych z tym strat. W czasie zimnej wojny ruch pacyfistyczny na Zachodzie raz słabł, raz przybierał na sile, ale we wszystkich odsłonach miał cechę wspólną – dużo chętniej krytykował militaryzm amerykański niż sowiecki. Moskwa nie stworzyła tego ruchu ani nim nie zarządzała, jednak Sowietom udało się go zinfiltrować, manipulować nim i żerować na ludzkiej naiwności przez cały okres zimnowojennych zmagań za pomocą zarówno organizacji działających jawnie, jak i wywiadu.

Pierwsza fala antywojennych i antymilitarnych protestów na Zachodzie pojawiła się pod koniec lat 50., wraz z rozwojem rakiet międzykontynentalnych zdolnych przenosić głowice atomowe. Druga – największa – fala towarzyszyła zbrojnemu zaangażowaniu USA po stronie Wietnamu Południowego w latach 1965–1973. Trzecia nadeszła na początku lat 80., wraz z instalacją rakiet Pershing II w Europie Zachodniej (co było jednak odpowiedzią Waszyngtonu na rozmieszczenie sowieckich rakiet SS-20). Pacyfistyczne protesty z lat 50. i 80. nie ograniczyły rozbudowy arsenału państw zachodnich. Te z drugiej połowy lat 60. miały jednak olbrzymie znaczenie dla amerykańskiej polityki.

Zabójcze pytania

Od końca lat 50. Republika Wietnamu, zwana też Wietnamem Południowym, zmagała się z działającą na jej terenie komunistyczną partyzantką Vietcong. Czerwoni partyzanci byli wspierani zbrojnie przez komunistyczną Demokratyczną Republikę Wietnamu (zwaną Wietnamem Północnym), podłączoną z kolei przez cały okres wojny do sowiec-

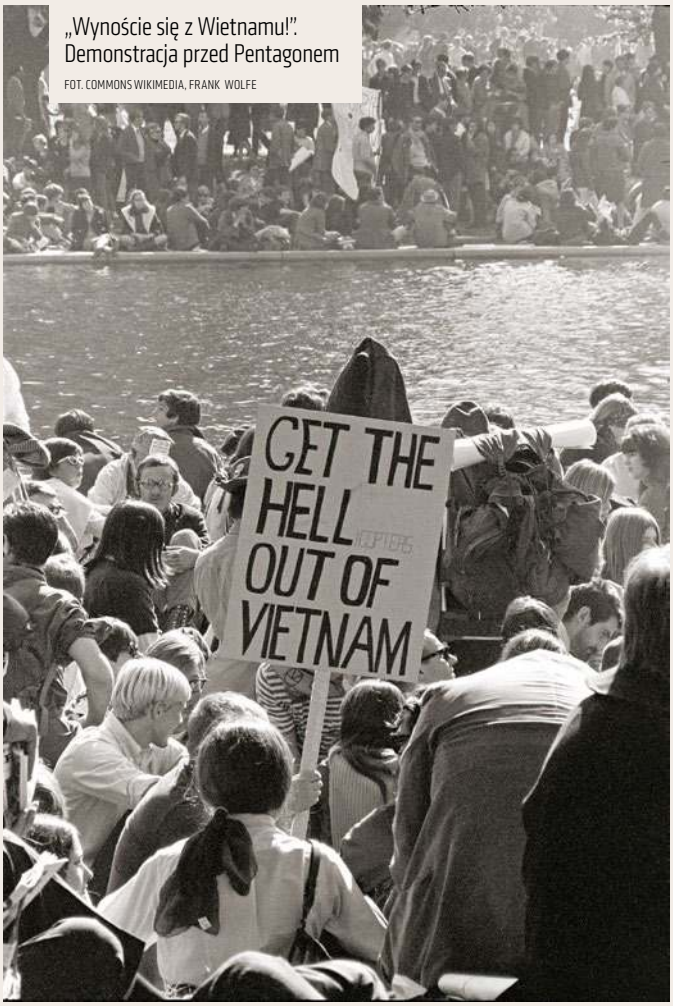
eprasa.pl 16949dbbda

kiej pępowiny, przez którą płynęły informacje wywiadowcze, sprzęt, surowce i pieniądze. Skorumpowany i skłócony wewnętrznie Wietnam Południowy nie radził sobie kompletnie z walką z komunistami i w 1965 r. do akcji wkroczyła armia USA.

Mark Baker w swojej książce „Nam: Vietnam War In the Words of the Men and Women Who Fought There" zebrał relacje żołnierzy USA służących w Wietnamie Południowym. Jeden z nich wspominał chwile, gdy po służbie czekał na lotnisku w Kalifornii na lot przesiadkowy. W barze przy tym samym stoliku siedziała wykształcona, dobrze ubrana kobieta, która po krótkiej konwersacji zapytała z wyrazem twarzy będącym mieszaniną obłudnej troski i udawanej naukowej bezstronności: „Jak to jest zamordować dziecko?". W drugiej połowie lat 60. w USA były to sytuacje nagminne.

W czasie interwencji w Wietnamie amerykańskie marsze antywojenne gromadziły setki tysięcy ludzi. W tłumie powiewały nieraz flagi Vietcongu, z którym amerykańscy żołnierze w tym samym momencie toczyli walki. Samochód prezydenta Lyndona B. Johnsona ochlapano czerwoną farbą, a sekretarz obrony Robert McNamara został oblany zupą w restauracji. „Hey, hey L.B.J, how many kids have you killed today?" (ang. Hej, Hej LBJ [Lyndon B. Johnson], ile dzieci zabiłeś dziś) stało się wówczas bardzo popularną uliczną przyśpiewką.

Gdy tylko pierwsze amerykańskie bomby spadły na Wietnam Północny, niektórzy liderzy ruchu antywojennego zaczęli przekręcać nazwę swojego kraju na „Amerika", by brzmiała bardziej niemiecko, złowieszczo. Noam Chomsky stwierdził, że USA jest krajem nazistowskim. Do Hanoi, stolicy komunistycznego Wietnamu Północnego, pielgrzymowali przedstawiciele amerykańskiego parnasu, literaci, aktywiści, aktorzy. Były tam Susan Sontag, Mary McCarthy i Jane Fonda. Ta ostatnia zafundowała sobie sesję w towarzystwie obsługi dział przeciwlotniczych wojsk DRW. Antywojenni wizytatorzy stosowali autocenzurę (sama McCarthy stwierdziła, że jest „niechętna stawianiu pytań") oraz starali się tłumaczyć każdy krok komunistycznych władz. Portrety Stalina – uznanego wszak przez McCarthy za zbrodniarza – wciąż wiszą na ścianach? To na pewno jedynie niechęć Wietnamczyków do marnotrawstwa i koncentrowania się na błahostkach. Brak wolności słowa? „Dostęp do informacji, z którego nic nie wynika, może być niezdrowy dla organizacji politycznej" – tłumaczyła McCarthy. Dysydenci? To pytanie może urazić rozmówcę. Harrison Salisbury, piszący dla „The New York Timesa" o bombardowaniach DRW, przepisał swój artykuł z propagandowej broszury komunistycznego rządu w Hanoi. Fonda publicznie zaprzeczała, że amerykańscy piloci będący w niewoli są systematycznie torturowani przez służby DRW. Za te słowa jeden z weteranów opluł aktorkę przeżutym tytoniem. Po wielu latach Fonda przeprosiła za swoje zachowanie względem żołnierzy USA, a pozowanie z artylerią DRW uznała za zdradę i bezmyślność. Pozostała jednak przy swoich antywojennych przekonaniach.



„Wynoście się z Wietnamu!". Demonstracja przed Pentagonem

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FRANK WOLFE

Trybunał Russella

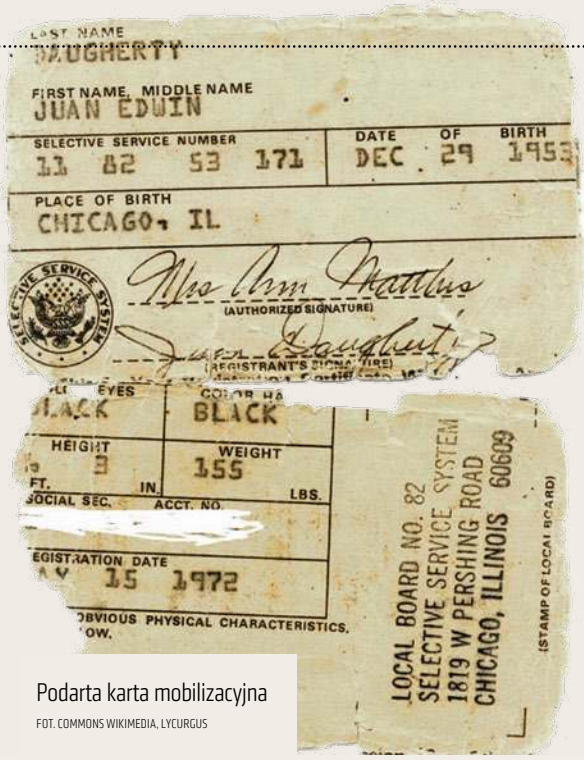
W czasie wojny Bertrand Russell powołał trybunał mający zbadać amerykańskie zbrodnie wojenne popełnione w obu państwach wietnamskich. Zapytano go, czy przy okazji nie powinno się też zbadać zbrodni komunistycznej partyzantki i samego aparatu przymusu Wietnamu Północnego. Russella kwestie te już nie obchodziły. Dla niego istniały wyłącznie zbrodnie amerykańskie. Walkę Vietcongu porównał do powstania w getcie. W ustach człowieka wykształconego była to piramidalna bzdura. Wszyscy wyżej wymienieni działacze mienili się humanistami i bojownikami o prawa człowieka.

W czasie przesłuchań północnowietnamska bezpieka starała się dowiedzieć, czy któryś z zestrzelonych amerykańskich pilotów odmówił wcześniej wykonania rozkazu. Jeden z lotników, Charles Tanner, zakpił wtedy z prześladowców. W oświadczeniu stwierdził, że dwóch pilotów US Navy – Ben Casey i Clark Kent – odmówiło bombardowania DRW, za co zostali ukarani przez „imperialistyczny rząd". Przekaz poszedł w świat. Wielu czytelników gazet parsknęło wówczas śmiechem. Wymienieni „piloci" byli znanymi w całych Stanach komikami.

eprasa.pl 16949dbbda

Komunistyczna Partia USA poinformowała jednak wietnamskich towarzyszy o niecnym kłamstwie, co dla lotnika skończyło się izolatką i kolejnymi torturami. Był to jeden z bardziej haniebnych przykładów postępowania skrajnego skrzydła ruchu antywojennego.

Russell czy Fonda byli niewątpliwie ideologicznie zaślepieni. Większość przeciwników wojny była jednak bardziej umiarkowana. Jeszcze w 1965 r. jeden z aktywistów tak reagował na skrajne przejawy antyamerykanizmu: „Nie będziemy mogli niczego skoordynować w ruchu dopóty, dopóki te dzieciaki będą krzyczeć i wymachiwać flagami Vietcongu. Są chuligańskie, niezborne i przynoszą ruchowi złą sławę".


LAST NAME
DOUGHERTY
FIRST NAME, MIDDLE NAME
JUAN EDWIN
SELECTIVE SERVICE NUMBER
11 82 53 171
DATE OF BIRTH
DEC 29 1953
PLACE OF BIRTH
CHICAGO, IL
(AUTHORIZED SIGNATURE)
(REGISTRANT'S SIGNATURE)
EYES
BLACK
HEIGHT
3
WEIGHT
155
LBS.
REGISTRATION DATE
15 1972
OBVIOUS PHYSICAL CHARACTERISTICS.
LOCAL BOARD NO. 82
SELECTIVE SERVICE SYSTEM
1819 W PERSHING ROAD
CHICAGO, ILLINOIS 60609
(STAMP OF LOCAL BOARD)

Podarta karta mobilizacyjna

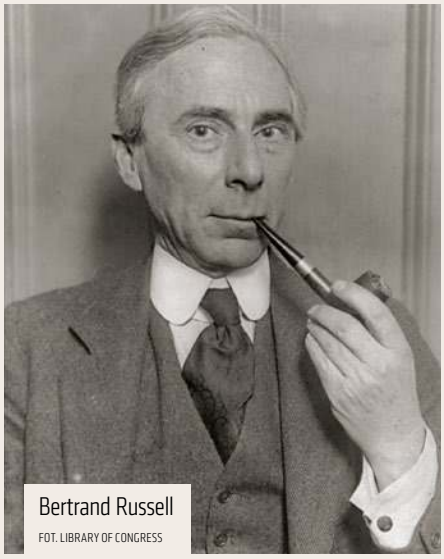
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LYCURGUS

Bywało, że antywojenni działacze i studenci natrafiali na kontrmanifestacje bardziej konserwatywnie nastawionych rodaków. 16 października w 1965 r. w kalifornijskim Berkeley, w pobliżu słynnego uniwersytetu, lewicowy marsz został zatrzymany przez policję, która poleciła protestującym usiąść na ulicy w celu uniknięcia konfrontacji. Gdy poeta Allen Ginsberg zaintonował pieśń „Hare Krisznа", na protestujących rzuciły się nagle – nie wiadomo, skąd przybyłe – długowłose brodate typy w skórzanych kurtkach z naszywkami. Był to główny oddział gangu motocyklowego Hells Angels. Bikerzy zrywali antywojenne transparenty i kable od sprzętu nagłaśniającego manifestantów, krzycząc przy tym: „Wracać do Rosji, pierd..one komuchy!", „Zdrajcy!". W 1970 r. w Nowym Jorku doszło do tzw. awantury w kaskach. Robotnicy budujący World Trade Center i pracownicy biurowi zaatakowali protestujących przeciwników wojny, bijąc ich kaskami i narzędziami budowlanymi. Było ponad 100 rannych. Policja kompletnie nie panowała nad sytuacją.

„Omaha" bez kamer

W czasie drugiej wojny światowej Amerykanie bombardowali cywilów niemieckich i japońskich, a w bitwie z Japończykami o Manilę obrócili filipińską stolicę w ruinę. Niszczycielskie naloty miały miejsce w trakcie wojny koreańskiej. Broń była wówczas mniej precyzyjna niż w latach 60., więc z rąk amerykańskich pilotów ginęło relatywnie więcej cywilów niemieckich, japońskich, północnokoreańskich niż północnowietnamskich. Trudno jednak było w czasie wcześniejszych konfliktów spotkać w Ameryce człowieka, który nazywałby swój kraj zbrodniczym i żądał wycofania „naszych chłopców" z wojny.

Wojna wietnamska była jednak inna. Przede wszystkim przeciętny Amerykanin miał trudności ze zrozumieniem, dlaczego komunista z DRW przenikający skrycie do Wietnamu Południowego ma być również zagrożeniem dla USA. Ponadto w wojnie tej trudno było wykazać sukcesy. Nie było wszak linii frontu. Powstrzymanie rozrostu terytorium opanowanego przez Vietcong to za mało. Miarą zwycięstwa okazało się więc liczenie ciał. Komunistów ginęło dużo więcej niż Amerykanów, ale straty ponoszone przez USA okazały się dla społeczeństwa nieakceptowalne. I najważniejsze – telewizja. Wojna i jej okropieństwa zawitały do amerykańskich living roomów, gdzie zasiadały już rodziny o innej mentalności niż te z połowy XX w.: bardziej syte i mniej skłonne do wyrzeczeń. Choć możliwe, że gdyby w 1944 r. na plażę „Omaha" wysłano dziennikarzy z kamerami, to wówczas odbiór wojny z Niemcami wśród części amerykańskiego społeczeństwa uległby zmianie.



Bertrand Russell

FOT. LIBRARY OF CONGRESS

Protesty antywojenne w USA miały ogromne znaczenie. Od 1969 r. rozpoczął się proces wietnamizacji, czyli – mówiąc w skrócie – zmniejszania obecności wojsk USA i zmuszania południowych Wietnamczyków, aby brali większą odpowiedzialność za obronę swojego kraju przed komunistami. W 1973 r. ostatnie oddziały USA opuściły Wietnam Południowy. W 1975 r. słaba i osamotniona Republika Wietnamu padła pod ciosami komunistów z północy.

Rola Sowietów

Jaka była rola Sowietów w działalności ruchu antywojennego? Stanisław Łuniew, były oficer wywiadu wojskowego GRU, który w 1992 r. uciekł do USA, w swojej książce „Through the Eyes of the Enemy" twierdził: „Wojna wietnamska była uważana za wielki sukces GRU. W zasadzie to GRU twierdziło, że wygrało tę wojnę. GRU finansowało każde większe stowarzyszenie antywojenne. Każdy antywojenny aktywista, który twierdzi inaczej, jest skrajnie naiwny. Oczywiście wsparcie często szło przez strony trzecie lub było w inny sposób

eprasa.pl 16949dbbda



Antywojenna demonstracja przed Białym Domem

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

zakamuflowane, ale Związek Sowiecki pompował dwa razy więcej pieniędzy w kampanię antywojenną, niż dawał Wietnamowi Północnemu w pomocy wojskowej i ekonomicznej. Sukces GRU polegał nie tylko na wpłynięciu na wynik wojny, lecz także na rozdarciu społeczeństwa amerykańskiego i stworzeniu w nim wrażenia, że służba wojskowa jest czymś hańbiącym […]. Antywojenne uczucia wytworzyły niebywałą siłę, która w istotny sposób osłabiła amerykańskie siły zbrojne". Według Łuniewa w czasie wojny wietnamskiej GRU przeznaczyło na ruchy antywojenne ok. miliarda dolarów.

Wasilij Mitrochin w swoim słynnym archiwum przedstawił sposób, w jaki do USA trafiały pieniądze cywilnej konkurentki GRU, czyli KGB. Morris Childs (wcześniej Mojsze Chylowski), długoletni członek kierownictwa działającej legalnie Komunistycznej Partii USA, jeździł osobiście do Moskwy, przedstawiając kosztorysy, a Kreml hojną ręką dawał tyle, ile amerykańscy towarzysze sobie życzyli. Kremlowskie pieniądze w paczkach trafiały do Nowego Jorku przez Kanadę. Pod koniec lat 60. Moskwa przekazywała Komunistycznej Partii USA 1 mln dol. rocznie. Co ciekawe, Childs pracował równocześnie dla FBI. Dla wywiadu amerykańskiego ważniejszy był więc dostęp do sekretów Moskwy niż groźba finansowania przez nią ruchów antywojennych.

Jest tu jednak pewien szkopuł. Częściowo odtajniony raport CIA z 1967 r. na temat międzynarodowych powiązań ruchów antywojennych mówi wyraźnie: „Nie mamy jednak powodów, by zaprzeczyć, że działają po swojemu, nie będąc sterowanymi przez Komunistyczną Partię USA, ZSRS czy ChRL". O co chodzi? Najbardziej skrajni przedstawiciele ruchu antywojennego byli zdeklarowanymi trockistami, fanami Che Guevary, wczesnego Fidela Castro, Ho Chi Minha, orędownikami walki Trzeciego Świata z amerykańskim imperializmem, ale w większości uważali KP USA za stalinowski, dogmatyczny przeżytek. Spośród największych antywojennych organizacji jedynie założone w Hawanie Trójkontynentalne Centrum Informacyjne (Tricontinental Information Center) pozostawało pod nadzorem KP USA. Jak twierdzi raport CIA, pieniądze moskiewskie mogły zatem trafiać do szerszego grona odbiorców dzięki prywatnym, nieformalnym kontaktom z poszczególnymi, często zakamuflowanymi, członkami KP USA. Krótko mówiąc, Kreml płacił za działalność, którą radykalni przeciwnicy wojny i tak by podjęli z własnej inicjatywy. Moskwie wystarczyło jedynie podsycanie społecznego fermentu.

Opiekuńcze oko

Innym sposobem wspierania przez ZSRS działalności pacyfistycznej były bezpośrednie wizyty działaczy lewicowych w Hanoi. Jednym z nich był David Dellinger. Podczas wizyty w stolicy Wietnamu Północnego zaplanował zwołanie konferencji w Bratysławie, na którą w 1967 r. zjechali się działacze z USA, Europy i Wietnamu Północnego. Jedynym z amerykańskich delegatów na tę konferencję był socjolog i działacz stowarzyszenia Students for Democratical Society (ang. Studenci na rzecz Demokratycznego Społeczeństwa) Richard Flacks. Jego wspomnienia z wyprawy do komunistycznej Czechosłowacji są typowym zapisem rozczarowania naiwnego intelektualisty systemem, który miał ponoć wyzwolić masy z kapitalistycznego ucisku. W przerwie w obradach jeden z czechosłowackich aparatczyków w dość prymitywny i nachalny sposób proponował amerykańskiej delegatce seks, inny oferował wymianę dolarów na korony za „symboliczną" oczywiście prowizję. O twórczości Franza Kafki mało kto z nich słyszał. Flacks był również rozczarowany postawą wietnamskich komunistów, którzy odrzucali każdy kompromis z Wietnamem Południowym i USA kosztem dalszego bombardowania ich terytorium i zapaści cywilizacyjnej kraju. Konferencja odniosła jednak sukces – w wyniku jej postanowień w USA i Europie odbyły się skoordynowane, wielotysięczne antywojenne (czytaj: antyamerykańskie) manifestacje. Konferencja odbywała się oczywiście pod czujnym i opiekuńczym okiem KGB.



Morris Childs

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FEDERAL BUREAU OF INVESTIGATION

Zaangażowanie Moskwy i jej ekspozytury KP USA w ruch antywojenny ciekawie komentuje Piotr Ostaszewski, autor książki „Wietnam. Najdłuższy konflikt powojennego świata 1945–1975": „Z pewnością ZSRS bardzo się cieszył, iż taki ruch jest. Jego nawet nie trzeba było inspirować, on sam ładnie się napędzał. W takim ruchu można było zaistnieć. Społeczeństwo amerykańskie było bardzo zrewoltowane i faktycznie wobec tej rewolty istniał duch przyzwalania". Wobec niejednego z uczestników manifestacji antywojennych pasowałoby zatem idealnie określenie przypisywane Leninowi: „Pożyteczny idiota".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 16949dbbda



FOT. ADOBESTOCK/JAMES NESTEREWITZ/AI

LSD i USA / Kontrkultura zatruwa Amerykanów

Dzieci dewiaty



Grzegorz Janiszewski

Hipisi byli mikroskopijnym ułamkiem amerykańskiego społeczeństwa. Mimo to udało im się je kompletnie „przeorać". Kontrkultura wytworzona przez dzieci kwiaty jak wirus zaatakowała społeczną tkankę w miejscu najbardziej wrażliwym, prowadząc do rozsiania go na resztę społeczeństwa

Ameryka w swojej krótkiej historii zawsze poszukiwała własnej tożsamości. W kraju, w którym zamiast kilkusetletnich gotyckich katedr dominowały odbudowywane co kilkadziesiąt lat drewniane kościółki, w podobnym tempie wzbierały fale religijnego uniesienia, nazywane Wielkimi Przebudzeniami. Na nowo definiowały społeczną etykę, a nawet wpływały na politykę i prawo. Wędrowni kaznodzieje podróżowali od miasta do miasta, wzbudzając na nowo zapał religijnego uniesienia.

Amerykanie w zasadzie od początku walczyli ze sobą. Bogaci o utrzymanie zasad dzikiego kapitalizmu. Biedni o poprawę warunków pracy i ziemię. Emigranci o traktowanie jak pełnoprawni obywatele. Murzyni o wolność. Kryzysy udawało się rozładowywać zwykle poprzez mieszankę przemocy i rozdawnictwa. Jak podczas wojny secesyjnej, gdy uchwalono tzw. Homestead Act pozwalający na przydzielanie za półdarmo weteranom ziemi odebranej Indianom.

Po drugiej wojnie światowej zaczęła wzbierać kolejna fala społecznych zmian. Tym razem jednak miała ona być w kompletnej kontrze do amerykańskiej kultury i religii. „Socjalistyczne" reformy Nowego Ładu i udział USA w drugiej wojnie światowej paradoksalnie spowodowały wejście amerykańskiej gospodarki w okres długotrwałego rozwoju i niewidzianego wcześniej dobrobytu. Nakręcone wojenną koniunkturą zakłady przemysłowe dosłownie zalewały rynek swoimi produktami. Banki zaczęły udzielać kredytów na samochody, pralki i telewizory. Życie stało się łatwiejsze, a jednocześnie traciło smak. Jazda autostradą samochodem z automatyczną skrzynią biegów była monotonna. Chleb produkowany według uproszczonej, wojennej receptury zaczął przypominać gąbkę. Jak ujął to w 1968 r. belgijski pisarz Raoul Vaneigem: „Nie chcemy świata, w którym pewność, że nie umrzemy z głodu, okupiona jest ryzykiem śmierci z nudów".

Ówczesna Ameryka wciąż poprzecinana była niewidzialnymi barierami, ściśle oddzielającymi od siebie klasy, rasy i grupy społeczne. Amerykańskie społeczeństwo mimo deklarowanej wolności wciąż, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach, było konserwatywne i obsesyjnie trzymało się tradycyjnych, wręcz purytańskich wartości. W małych społecznościach, skupionych wokół religijnych wspólnot, rodzina i religia były podstawowymi wyznacznikami wartości.

Oczywiście wywoływało to kontrę. Jednymi z pierwszych buntowników

eprasa.pl 16949dbbda



Lucien Carr, Jack Kerouac, Allen Ginsberg, William S. Burroughs

FOT. ALLEN GINSBERG ESTATE

byli przedstawiciele tzw. beat generation z Nowego Jorku. Niechlujnie ubrani, niestroniący od alkoholu i narkotyków kontestowali amerykański konsumpcjonistyczny styl życia. „Ojcowie założyciele" tego ruchu mieli poważne kłopoty z prawem i z własną psychiką. W zasadzie nie trzeźwieli i eksperymentowali z narkotykami. Jack Kerouac został zwolniony z marynarki wojennej z powodu osobowości schizoidalnej. William Burroughs zastrzelił swoją żonę, celując do szklanki na jej głowie podczas „zabawy" w Wilhelma Tella. Allen Ginsberg uciekł przed wyrokiem za paserstwo do szpitala psychiatrycznego. Jego matka cierpiała na schizofrenię. Ta aktywistka partii komunistycznej żydowskiego pochodzenia zamęczała syna swoimi wizjami uzdrowienia społeczeństwa, między kolejnymi próbami samobójczymi ciągając go na partyjne zebrania i terapię psychiatryczną.

Ameryka była dla nich molochem narzucającym fałszywe wartości. Sztuka, duchowość, rozwój osobisty zostały złożone w ofierze mamonie. Bitnicy atakowali drobnomieszczańską mentalność, patriarchat i konsumpcjonizm. Wszyscy trzej byli zamieszani w ukrywanie dowodów zabójstwa, które popełnił ich towarzysz Lucien Carr na swoim homoseksualnym adoratorze. Zbrodnia związała ich ze sobą i stała się „mordem założycielskim" nowego ruchu. Wyzwoleni z mieszczańskich ograniczeń postanowili, jak ujął to John Krokidas, reżyser filmu o tych wydarzeniach, „rozpocząć kulturową rewolucję zwaną The New Vision, która w zamierzeniach miała zmienić społeczeństwo". W centrum tej wizji znajdowała się niczym nieskrępowana wolność. Bitnicy byli zafascynowani teoriami szarlatana i seksualnego drapieżcy Wilhelma Reicha. Ten austriacki Żyd, były współpracownik Zygmunta Freuda, przyczyn kryzysów społecznych upatrywał we wstrzemięźliwości seksualnej. Drugim fetyszem bitników były narkotyki, których zażywanie miało prowadzić do poszerzania ludzkiej percepcji.

W połowie lat 50. bitnicy zaczęli osiedlać się w Kalifornii, gdzie powstały ich najsłynniejsze utwory: „Skowyt" Ginsberga i „W drodze" Kerouaca. Ich poglądy i „dzieła" latami przenikały do amerykańskich intelektualnych elit, zwłaszcza na uniwersytetach i w wielkich miastach, gdzie były sączone studentom i ówczesnym celebrytom. Dzięki rozwijającym się mass mediom, zwłaszcza telewizji, zaczęły też szerzej oddziaływać na społeczeństwo.

Buntownicy z powodem

Oczywiście garstka dziwaków propagujących wolną miłość i narkotyki nie byłaby w stanie zawładnąć umysłami 150 mln Amerykanów, zwłaszcza w tak różnorodnym kraju jak Stany Zjednoczone. Jednak w 1964 r. nowy prezydent USA Lyndon B. Johnson zdecydował o zwiększeniu militarnego zaangażowania w Wietnamie. W 1968 r. osiągnęło ono poziom pół miliona żołnierzy. Co miesiąc do Wietnamu wysyłano ok. 40 tys. nowych poborowych.

Trudno namówić ludzi do protestu przeciw sprzedaży pralek czy telewizorów. Przeciwko wysyłaniu braci i kolegów na wojnę do kraju, o którym większość młodych Amerykanów nie wiedziała prawie nic, o wiele łatwiej. Pierwsze protesty zaczęły się już w 1963 r. na lewicujących amerykańskich uniwersytetach. 12 maja 1964 r. 12 poborowych w Nowym Jorku spaliło swoje karty powołania. Temat przebił się do głównego nurtu. Protest songi przeciw wojnie zaczęli śpiewać bardowie i gwiazdy młodego pokolenia. W 1965 r. Ginsberg ukuł termin „dzieci kwiaty", wzywając do wręczania bukietów policji i wojsku tłumiącym protesty. W tym czasie uczestników tego ruchu zaczęto nazywać „hipisami", czyli „chwytającymi dzień".

W styczniu 1967 r. w proteście przeciw delegalizacji LSD przez władze Kalifornii w San Francisco zorganizowano happening pod nazwą Human-Be-In. Wydarzenie rozpoczęło się od przemowy Timothy'ego Leary'ego. Ten wyrzucony z Harvardu za eksperymentowanie z psylocybiną na pacjentach psycholog kilka miesięcy wcześniej założył pseudo-Kościół, w którym sakramentem było LSD. Teraz rzucił słynne hasło „Turn on, tune in, drop out" („Włącz się, dostrój się, odetnij się"), które wzywało do odrzucenia kultury konsumpcyjnej i otwarcia na siebie. Odnalazł się też Ginsberg. Ubrany w białe hinduistyczne szaty, z wymalowanym na czole trzecim okiem, intonując mantry, dokonał symbolicznej tranzycji ruchu bitników w hipisów.

Był to początek tzw. lata miłości. Do dzielnicy Haight-Ashbury w San Francisco ściągnęło kilkaset tysięcy (w większości młodych) ludzi, szukających „duchowego przebudzenia" pobudzanego narkotykami, a także schronienia przed poborem i wolnej miłości. Część uciekła z domów rodzinnych. Dzielnica stała się znana w całym kraju. Przyciągało to uwagę gazet, telewizji i kolejnych kandydatów na hipisów. Na ulicach i w knajpach dyskutowano o podmiotowości człowieka, decentralizacji, pacyfizmie i ekologii. Zażywane w dużych ilościach LSD i grzyby halucynogenne pozwalały wznieść się na „wyższe poziomy świadomości". „Chodziło o poszukiwanie, znajdowanie nowych sposobów wyrażania

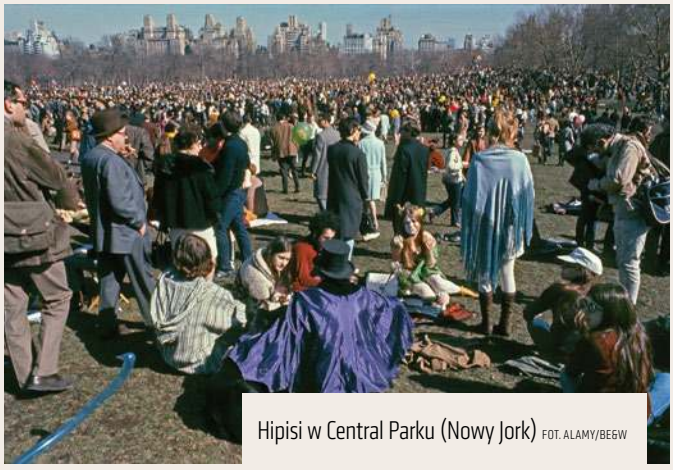
eprasa.pl 16949dbbda

się, bycie świadomym swojego istnienia" – wspominał później gitarzysta zespołu Grateful Dead.

Na szczyt listy przebojów Billboard Hot 100 wspięła się piosenka „San Francisco (Be Sure to Wear Flowers in Your Hair)", szybko stając się kontrkulturowym hymnem, który przebił się do mainstreamu, rozchodząc się w 7 mln egzemplarzy. W czerwcu 1967 r. w Monterey w Kalifornii zorganizowano festiwal muzyczny, na który ściągnęło 200 tys. ludzi. To właśnie tam zaczęła się oszałamiająca kariera tragicznych gwiazd tego pokolenia – Janis Joplin, Otisa Reddinga i Jimmy'ego Hendrixa. Ten ostatni najpierw symulował na scenie kopulację ze swoją gitarą, a potem rozbił ją i podpalił.



Antywojenny protest koło Pentagonu FOT. COMMONS WIKIMEDIA, S.SGT. ALBERT R. SIMPSON. DEPARTMENT OF DEFENSE



Hipisi w Central Parku (Nowy Jork) FOT. ALAMY/BE&W

Sympatia do diabła

To właśnie muzyka, która mogła dotrzeć do setek tysięcy odbiorców, stała się głównym medium rozpowszechniania hipisowskich idei. Festiwale, organizowane zwykle na prywatnych łąkach, gdzie nie miała wstępu policja, były prawdziwą feerią hipisowsko pojmowanej wolności. Jednym z zespołów, który zdobywał wtedy sławę, był The Doors. Nazwa została zapożyczona od książki Aldousa Huxleya „Drzwi percepcji", traktującej o eksperymentach autora z meskaliną. Kapelę stworzyli w Los Angeles wokalista Jim Morrison i klawiszowiec Ray Manzarek. Charyzmatyczny Morrison był zafascynowany Rimbaudem, Verlaine'em i Baudelaire'em, ale przede wszystkim literaturą bitników, zwłaszcza Kerouaca. Jego ojciec, późniejszy admirał US Navy, próbował wychować syna w wojskowym drylu. Mały Jim nie chciał się mu poddawać i w proteście całe dnie spędzał na pustyni w Nowym Meksyku, gdzie w bazie Kirtland pełnił służbę jego ojciec. Przyglądał się fascynującym go wężom i jaszczurkom. Kiedyś sam zacznie siebie nazywać „Królem Jaszczurem".

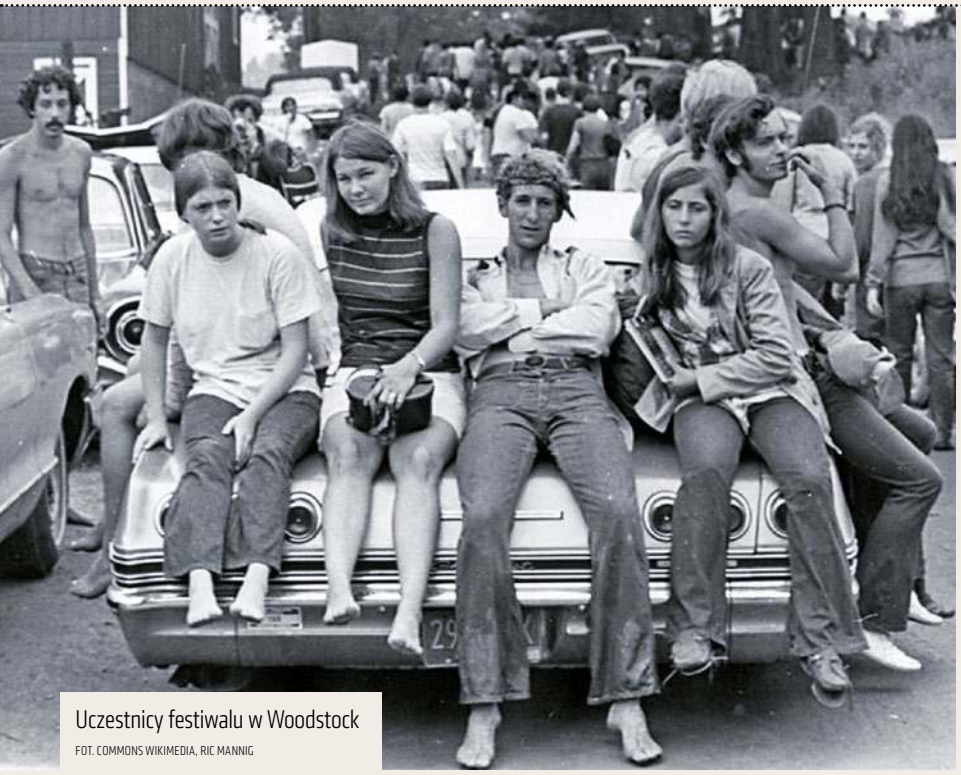
Morrison czuł się przede wszystkim poetą. Jego wiersze były raczej bitnickie niż hipisowskie. Psychodeliczne, mroczne, pełne grozy i niezaspokojonej seksualności daleko odbiegały od zwykle lekkiej i radosnej poetyki hipisów.

Inne były też koncerty The Doors. Mroczne spektakle, na których pijany i naćpany wokalista uwodził publiczność swoim urokiem niewinnego chłopca skrzyżowanym z wyzywającą postawą i tubalnym głosem zarośniętego barbarzyńcy, hipnotyzującego publiczność wykrzykiwanymi fragmentami swoich wierszy. W odróżnieniu od imprez hipisów szybko zaczęły się one kończyć burdami i interwencjami policji. Koncert w New Haven w Connecticut we wrześniu 1967 r. rozpoczął się z godzinnym opóźnieniem, bo miejscowy policjant chciał wypędzić artystę spod prysznica, gdzie namiętnie całował się z jakąś fanką. Na wezwania policjanta do wyjścia Morrison odpowiadał wyzywająco. W końcu dostał w twarz gazem łzawiącym i długo dochodził do siebie. Potem jako pierwszy showman w historii rocka został aresztowany na scenie za znieważanie policjantów.

Wkrótce okazało się, że to Morrison ze swoimi mrocznymi wizjami miał rację. Hipisi, kontestując wartości swoich rodziców, rzadko podejmowali pracę, żyli raczej z żebrania, kradzieży, handlu narkotykami. Haight-Ashbury, podobnie jak i inne dzielnice, w których osiedlały się dzieci kwiaty, szybko zamieniła się w siedlisko nędzy, prostytucji i pole krwawej bitwy gangów narkotykowych, nazywane „Hashbury". Prasa i telewizja coraz częściej donosiła o przestępstwach popełnianych przez członków ruchu. W sierpniu 1969 r. banda Charlesa Mansona zamordowała Sharon Tate i jej gości w willi Romana Polańskiego w Hollywood.

Festiwal w Woodstock, na który w tym samym miesiącu przybyło 400 tys. widzów, przebiegł natomiast spokojnie i przeszedł do legendy. Jednak grudniowy koncert Rolling Stonesów w Altamont zakończył się tragedią. Publiczność stała się dziwnie wzburzona podczas wykonywania przez Jaggera utworu „Sympathy for the Devil". Wynajęci jako ochroniarze motocykliści z gangu Hells Angels, nie mogąc jej uspokoić, zaczęli bić widzów pałkami i łańcuchami. W końcu jeden z motocyklistów na oczach tysięcy widzów i obiektywów kamer zakłuł nożem naćpanego czarnoskórego mężczyznę, który chciał wejść na scenę. Podczas tamtego koncertu zginęły jeszcze trzy osoby. Hipisowska era „pokoju i miłości" skończyła się równie szybko, jak się zaczęła. Wkrótce niedobitki hipisów zaczęły wegetować w gettach, tocząc walki z gangsterami i sąsiadami. Skruszeni nastolatkowie jak synowie marnotrawni

eprasa.pl 16949dbbda



Uczestnicy festiwalu w Woodstock

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RIC MANNIG

wracali do domów, prosząc rodziców o przyjęcie z powrotem pod dach.

Ogon kręci psem

Hipisi, nie wspominając o bitnikach, byli mikroskopijnym ułamkiem amerykańskiego społeczeństwa. Mimo to udało im się je kompletnie „przeorać". Kontrkultura jak wirus zaatakowała społeczną tkankę w miejscu najbardziej wrażliwym, prowadząc do rozsiania go na resztę społeczeństwa. Jak pisał Jakub Böhme, XVII-wieczny mistyk i filozof, który może uchodzić za pradziadka ruchów kontrkulturowych, „ze złej rzeczy nie może narodzić się rzecz dobra, lecz zła rzecz może wytworzyć następną", która w interakcji z dobrą może ją zmienić. Tak też stało się w Ameryce. Amerykanie w większości nadal pozostali konserwatywni i przywiązani do tradycyjnych wartości. Jednak opanowanie przez piewców kontrkultury kluczowych dla społeczeństwa instytucji, jak uniwersytety i mass media, umożliwiło transmisję nowych trendów do szerokich mas. Jak wspomniany policjant przed koncertem The Doors w New Haven Amerykanie zobaczyli rzeczy kompletnie niezrozumiałe, ale pozornie atrakcyjne, o których nie mogli już zapomnieć.

Opierająca się na złych fundamentach ideologia bitników nie mogła prowadzić do niczego dobrego. Nadmierna wolność, wręcz rozpasanie, zerwanie z religią i brak jakichkolwiek autorytetów doprowadziły w końcu do przekształcenia atrakcyjnych i z pozoru słusznych haseł we wszechogarniające amerykańskie „róbta, co chceta" do kwadratu. Drzwi, przez które wleciały demony, zostały uchylone zbyt szeroko i nie da się ich już całkiem zamknąć. Jak stwierdził David Bossie, amerykański konserwatywny działacz, polityczna poprawność, niepozwalająca na powiedzenie w wielu sprawach „nie", zaczęła się nie w 1999, ale w 1969 r.

Jim Morrison odszedł z tego świata w lipcu 1971 r., w wannie w paryskim hotelu. Przeszedł do historii jako legenda kontrkultury. O poległych w Wietnamie tysiącach młodych ludzi przypominają jedynie tablice pamiątkowe w amerykańskich miastach i miasteczkach. USA przegrały wojnę w Wietnamie bardziej przed ekranami telewizorów niż na polach bitew, w następstwie czego pogrążyły się w marazmie. Późniejsze próby przywracania tradycyjnych, konserwatywnych amerykańskich wartości – jak w czasach Ronalda Reagana – nie mogły się już udać.

Podobnie dzisiaj, jeśli Ameryka nie upora się ze swoimi demonami, które co jakiś czas wypuszcza zza uchylonych drzwi, nie będzie mowy o powrocie do tradycyjnych wartości. Trzeba by deportować wszystkie meksykańskie niańki i salwadorskich robotników budowlanych i wziąć się samemu do pracy. Albo wreszcie przestać udawać, że wolny rynek jest najlepszą odpowiedzią na potrzeby człowieka, i odwołać się do prawdziwych chrześcijańskich wartości. Dla wszystkich. Wbrew pozorom Ameryka nie jest wcale „kościotrupem w zbroi" i ma siłę, aby tego dokonać.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



The Doors. Na pierwszym planie: Jim Morrison

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/JOEL BRODSKY/ELECTRA RECORDS

eprasa.pl 16949dbbda



Simone de Beauvoir (w środku) podczas manifestacji kobiet domagających się prawa do aborcji

FOT. JULIENNE/SIPA/EAST NEWS

XX w. / Antykultura drugiej fali feminizmu

Ku wojnie płci



Anna Szczepańska

„Nie rodzimy się kobietami, kobietami się stajemy” – słowa Simone de Beauvoir dały początek drugiej fali feminizmu i rozpoczęły rewolucję feministyczną, której konsekwencje widzimy obecnie

Z feminizmem drugiej fali, który jest jednym z elementów kontrkultury i rewolucji lat 60. XX w., związane są przede wszystkim trzy nazwiska i trzy prace, które wytyczyły szlak dla współczesnego feminizmu.

Prekursorką jest francuska filozof, wykazująca ponadprzeciętne i wykraczające poza naukowe ramy zainteresowanie marksizmem – Simone de Beauvoir, słynąca z życia w „wolnym związku” ze znanym lewicowym myślicielem Jeanem-Paulem Sartre’em oraz uczuciowych i seksualnych wielokątów.

W latach 50. Beauvoir odbyła podróż po Stanach Zjednoczonych i Chinach. W 1960 r. spotkała się z Che Guevarą na Kubie. Była wręcz zafascynowana komunizmem. Wyrażała też aprobatę dla chińskiego „modelu” emancypacji kobiet. Pod koniec lat 60. stała się jedną z ikon rewolucji seksualnej w Europie Zachodniej i jedną z kluczowych postaci całego „ruchu wyzwolenia kobiet” (Women’s Liberation Movement; WLM). Była autorką i sygnatariuszką tzw. Manifestu 343, w którym kobiety nawoływały do zalegalizowania aborcji, a jednocześnie przyznawały się, że dokonały bezprawnego przerwania ciąży. Manifest ten podpisało wiele znanych Francuzek, m.in. Catherine Deneuve i Jeanne Moreau.

Beauvoir opublikowała w 1949 r. książkę „Inna płeć” (znana też jako „Druga płeć”). To z tej pracy pochodzi przywołany wyżej cytat. Beauvoir pisała m.in. o „demistyfikacji” macierzyństwa i określeniu roli kobiety w społeczeństwie. Jej książka nie tylko dała początek „drugiej fali”, lecz także stała się punktem wyjścia dla wielu nurtów feminizmu, w tym współczesnego postfeminizmu, który kontestuje istnienie płci biologicznych, uważając je jedynie za społeczne konstrukty.

Kolejną istotną pracą dla „drugiej fali” była książka Betty Friedan pt. „Mistyka kobiecości” wydana w 1963 r., w której autorka wymienia, z jakimi – jej zdaniem – problemami mierzą się współczesne jej kobiety. Friedan dokonała analizy amerykańskiego społeczeństwa, wskazując konieczność wyzwolenia kobiet z tradycyjnej roli matki i gospodyni domowej. Według niej kobieta spełni się tylko wtedy, kiedy zacznie realizować własne potrzeby. „Jedyną drogą do odnalezienia siebie przez kobietę jest praca twórcza” – pisała Friedan.

Mówiąc o „drugiej fali”, nie sposób pominąć pracy „Sexual Politics” autorstwa Kate Millett. W książce tej Millett wykazuje, że kobiety stały się instytucjonalnie podległe mężczyznom. Jej zdaniem

eprasa.pl 16949dbbda

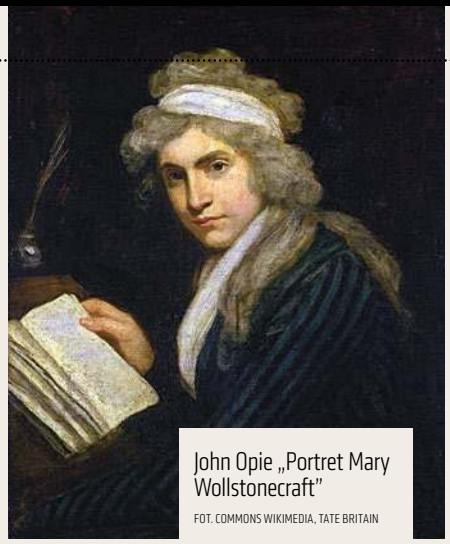
kobiety od dziecka uczy się posłuszeństwa i podległości wobec mężczyzn, co ostatecznie znajduje odzwierciedlenie w relacjach seksualnych między kobietą a mężczyzną. Millett poddała krytycznej analizie sceny erotyczne opisane w licznych pracach pisarzy mężczyzn. Wskazała, że nawet takie postaci jak znany skandalista, autor „Zwrotnika Raka", Henry Miller (kojarzony m.in. z życia w trójkącie z żoną June oraz ich wspólną kochanką, pisarką Anaïs Nin), tak naprawdę był mizoginem, który traktował kobiety przedmiotowo i lubił je upokarzać.

Druga fala feminizmu, podobnie jak przed laty pierwsza fala (zwana wiktoriańską), nie bez powodu była zapowiedzią rewolucji. Ale była to rewolucja, która pierwszym „feministkom" nie mieściłaby się w głowie.

Początek problemu

Pierwsze kobiety, które dziś określa się niesłusznie mianem feministek, były raczej emancypantkami. Co ciekawe, wśród czołowych postaci tego ruchu nie było wówczas Amerykanek. Były za to Francuzka – działaczka z okresu rewolucji francuskiej, Olympe de Gouges (autorka Deklaracji praw kobiety i obywatelki), która zresztą za swoje poglądy została przez „postępową" rewolucję zgilotynowana, oraz Angielka – Mary Wollstonecraft, autorka pracy „Wołanie o prawa kobiety" z 1792 r., w której sprzeciwiała się traktowaniu kobiet jako „dodatków do mężczyzny" i postulowała, aby dać im szansę zdobycia wykształcenia.

Najbardziej znany ruch emancypacyjny powstał w Stanach Zjednoczonych w połowie XIX w. i wywodził się wprost z ruchu abolicjonistycznego. Za jego symboliczny początek uznaje się Zjazd Kobiet w Seneca Falls, który miał miejsce w 1848 r. Wiele kobiet, w tym najbardziej znane działaczki, jak Elizabeth Cady Stanton czy Lucretia Mott, zauważyło wówczas, że niewolnicy domagają się przyznania im większych praw niż te, które posiadały wówczas białe Amerykanki. Kobiety w Stanach Zjednoczonych, a później także w Wielkiej Brytanii i innych krajach Europy Zachodniej zaczęły domagać się m.in. prawa do dysponowania własnym majątkiem, uniezależnienia od woli męża czy ojca, prawa do edukacji oraz praw wyborczych.



John Opie „Portret Mary Wollstonecraft"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TATE BRITAIN

W Polsce najbardziej znaną działaczką emancypacyjną była pisarka Narcyza Żmichowska (1819–1876). Postulowała ona przede wszystkim, aby oferować kobietom lepszy dostęp do edukacji oraz aby kobiety same mogły wybrać drogę, którą chcą podążać. Żmichowska nie negowała małżeństwa i macierzyństwa, lecz domagała się, aby kobieta miała wpływ na swoją przyszłość. Jednocześnie była zagorzałą patriotką, brała udział m.in. w powstaniu styczniowym, a od swoich uczennic wymagała znajomości nie tylko arytmetyki, lecz także historii i geografii.

Trudno określić moment powstania pierwszej fali feminizmu. Na ogół uznaje się, że początkiem tego ruchu są narodziny sufrażyzmu (od łacińskiego słowa „suffragium" – głos wyborczy). Pierwsza organizacja sufrażystek powstała w 1876 r. we Francji. Kolejne powstawały w Anglii (najsłynniejsza to założona w 1903 r. Women's Social and Political Union) i w Stanach Zjednoczonych. Sufrażystki domagały się przede wszystkim przyznania im praw wyborczych. Kobiety skupione w tych organizacjach związane były nie tylko ze środowiskami lewicowymi, lecz także – co rzadko się podkreśla – także prawicowymi. Tak było głównie we Francji, gdzie ze względu na lewicujące rządy sufrażystki przez długi czas były spychane na margines. Obawiano się bowiem, że kiedy kobietom przyzna się prawa wyborcze, do władzy może dojść prawica, a co za tym idzie – większe wpływy w państwie zyska Kościół. Z tego też względu kobiety we Francji prawa wyborcze uzyskały dopiero w 1944 r., wiele lat po Finkach, które mogły głosować już w 1906 r., czy po Polkach, które prawo głosu otrzymały wraz z odrodzeniem państwa polskiego w 1918 r.

Sufrażystki nie miały w swoich czasach dobrej opinii (choć w Anglii popierał je nawet John Stuart Mill, filozof, liberał, autor m.in. „Utylitaryzmu" i „Poddaństwa kobiet"), do czego przyczyniło się przede wszystkim radykalne skrzydło tego ruchu, które stosowało ostre formy strajku, tj. przykuwanie się do ogrodzeń, podpalenia i głodówki. Niemniej kobiety te osiągnęły w większości swój cel, którym było zyskanie prawa głosu. Przyjmuje się, że koniec pierwszej fali feminizmu nastąpił wraz z pierwszą wojną światową. Na wiele kolejnych lat idee emancypacyjne/feministyczne straciły na znaczeniu. Odradzać zaczęły się one dopiero



Zjazd Kobiet w Seneca Falls, 1848 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 16949dbbda



Narcyza Żmichowska
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

w kolejnych pokoleniach. Po drugiej wojnie światowej ruch feministyczny został niemal zupełnie zawłaszczony przez ideologie lewicową i marksistowską. Kluczową postacią tego okresu jest wspomniana już Simone de Beauvoir, której warto poświęcić kilka słów.

Małżeńska niewola

Beauvoir była pierwszą przedstawicielką drugiej fali feminizmu. To na niej wzorowały się kolejne pisarki i antropolodzy. Do prac Beauvoir nawiązywały zresztą nie tylko „drugofalowe" feministki, lecz także działaczki „trzeciej fali" oraz współczesnego postfeminizmu, na czele z Judith Butler. O tej ostatniej – ze względu na jej wpływ na postmodernistyczną filozofię, która oddziałuje na nasze codzienne życie (niezliczona ilość „genderów", czyli płci społeczno-kulturowych to właśnie jej koncepcja) – nie można zapomnieć.

Beauvoir urodziła się w 1908 r. w arystokratycznej, katolickiej rodzinie. Ponoć rozczarowanie ojca brakiem męskiego potomka miało wpłynąć na młodą Simone, która już jako nastolatka zdecydowała o porzuceniu Kościoła, rozmyślając jednocześnie nad niesprawiedliwościami wynikającymi z tradycyjnych ról społecznych. Od dziecka pilnie się uczyła. Ukończyła Sorbonę, a później prestiżową École Normale Supérieure w Paryżu, gdzie od 1933 r. swoją działalność rozwijała marksistowska grupa zwana szkołą frankfurcką, której naczelnymi hasłami były teoria krytyczna i dekonstruktywizm. Nie pozostało to bez wpływu na poglądy Beauvoir.

Przez kilkanaście lat Beauvoir uczyła w szkołach średnich. Od czasu liceum jej partnerem był Jean-Paul Sartre, jeden z najsłynniejszych francuskich myślicieli XX w. Do dziś biografowie i badacze twórczości Beauvoir spierają się, w jakim stopniu jej pisarstwo opierało się na założeniach wypracowanych przez Sartre'a. Bez wątpienia oboje silnie oddziaływali na siebie przez całe życie. Ich związek był jednym z głośniejszych w kraju. Beauvoir i Sartre otwarcie przyznawali, że pozostają w relacji nieformalnej, która nie krępuje ich i nie ogranicza wolności. Taki układ zaproponował Sartre, który twierdził, że nie mógłby związać się z nikim poprzez małżeństwo.

Simone, choć jej rodzina protestowała, przystała na to. Sama też była (lub szybko stała się) przeciwniczką związków małżeńskich. „Myślę, że małżeństwo jest instytucją wyobcowującą, zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet. To bardzo niebezpieczna instytucja – niebezpieczna dla mężczyzn, którzy znajdują się w pułapce, obarczeni żoną i dziećmi na utrzymaniu, i niebezpieczna dla kobiet, które są zależne finansowo i żywią obawę, że gdy osiągną wiek 40 lat, to mąż się ich pozbędzie, a także bardzo niebezpieczne dla dzieci, gdyż rodzice wyładowują na nich całą swoją frustrację i wzajemną nienawiść" – mówiła Beauvoir w wywiadzie dla „New York Timesa".

Wolny związek Beauvoir i Sartre'a doprowadził też do kilku skandali. Oboje, całkiem jawnie, mieli innych kochanków, a Simone przyznawała się do biseksualizmu. Pisarkę oskarżano też o kontakty seksualne z jej kilkunastoletnimi uczennicami. Jedna z nich oskarżyła ją, a także Sartre'a, o gwałt. Beauvoir utraciła wówczas prawo do wykonywania zawodu nauczycielki. Przez kilka lat była związana z francuskim reżyserem Claude'em Lanzmannem (znanym głównie z filmu dokumentalnego „Shoah"). Jednocześnie jej kochankiem był amerykański pisarz Nelson Algren. Ich zawikłaną relację opisała ze szczegółami w „Mandarynkach".

Przedmiot i podmiot

Simone de Beauvoir zmarła w 1986 r. Przez kilkadziesiąt lat była bardzo popularna. Sławę przyniosły jej liczne eseje i książki. Najbardziej znaną pozostaje „Druga płeć", w której postawiła rewolucyjną tezę mówiącą, że „nikt nie rodzi się kobietą, lecz dopiero się nią staje". Beauvoir w swej pracy zastanawia się, kim jest kobieta i czy ma własną tożsamość. Zdaniem pisarki historia pokazuje, że tożsamość, rdzeń każdej kultury,



Brytyjskie sufrażystki FOT. LIBRARY OF CONGRESS

eprasa.pl 16949dbbda

związana jest z mężczyznami. Kobieta natomiast we wszystkich kulturach traktowana była i jest jako „Inna". Ta „inność" swe korzenie ma w najdawniejszych czasach, kiedy ludzkość dopiero nauczyła się polować czy wytwarzać narzędzia. Według Beauvoir kobietę z tych zajęć wykluczyła mniejsza siła fizyczna, czyli ograniczenia biologiczne. W konsekwencji została ona zepchnięta przez mężczyznę do roli reproduktorki. Jak pisze M. Kamińska-Rudnicka w tekście „Feminizm Simone de Beauvoir jako obraz feminizmu drugiej fali": „Jednak różnica sił fizycznych nie musiała nabrać znaczenia kulturowego, współpraca obu płci nie była wykluczona. Beauvoir uważa, że tendencja do przeciwstawiania siebie innemu jest charakterystyczna dla funkcjonowania ludzkiej świadomości. Uznanie kobiety za Inną jest męską ucieczką przed stawieniem czoła ludzkiej egzystencji. Mężczyzna uczynił kobietę Innym, by skonstruować własną podmiotowość".

Zestawienie „Tożsamość/Inność" Beauvoir zaczerpnęła z egzystencjalizmu Sartre'a oraz od Georga Hegla, który stworzył zależność „Pan/Niewolnik". Hegel pisał, że nie istnieje taka kategoria człowieka jak niewolnik. Niewolnik staje się nim dopiero w zestawieniu z Panem. Podobnie rozumowała Beauvoir: kobieta (czyli Inny) staje się kobietą, tylko jeśli zestawi się ją z mężczyzną (czyli Tożsamością).

Beauvoir zwracała uwagę także na inne kwestie, które zresztą wciąż są obiektem zainteresowań (głównie) lewicowych filozofów i psychologów. Francuzka podkreślała np. różnice w wychowywaniu dzieci obydwu płci. Początkowo zarówno chłopcy, jak i dziewczynki znają tylko „przedmiotowość", gdyż to dorośli są ich punktem odniesienia. Z czasem jednak chłopców uczy się samodzielności i zdecydowania, co czyni ich „podmiotami". Dziewczynkom zaś wciąż wpaja się, aby były spokojne i bierne, co nie pozwala im wyrwać się z uprzedmiotowienia. Taki układ jest w końcu jedynym, który kobieta zna. Zrzeka się ona przy tym swojej wolności w zamian za poczucie bezpieczeństwa, które daje jej mężczyzna, który jednak bez niej nie mógłby istnieć, gdyż to przez jej pryzmat (jej inność) widzi własną osobę.



Betty Friedan FOT. LIBRARY OF CONGRESS

Beauvoir orzeka tym samym, że różnice między płciami są wypadkowymi procesów społecznych, rodzajem umowy, na którą zgodziło się społeczeństwo, rolami, które obie płcie odgrywają. Pisarka postuluje odejście od tych ról i poszukiwanie prawdziwej równości.

Ku „trzeciej fali"

W latach 60. coraz więcej kobiet w krajach zachodnich uświadamiało sobie, że nie wystarcza im tylko rola żony i matki (co podkreślała wspomniana na początku Betty Friedan, która pisała m.in., że „prowadzenie domu na przedmieściach pozbawia indywidualizmu i pozostawia niedosyt"). W 1966 r., z inicjatywy Friedan, w USA powstała Narodowa Organizacja Kobiet, która domagała się umożliwienia kobietom udziału we wszystkich aspektach życia i uzyskania dla nich wszelkich praw przysługujących mężczyznom oraz większych możliwości zatrudnienia i równych płac.

Badania nad kobiecością trafiły w końcu na uniwersytety. Feminizmem oraz miejscem kobiety w świecie zajęła się antropologia kulturowa; badaczami były w większości kobiety. Coraz więcej mówiło się o stereotypowym ukazywaniu kobiet w mediach, literaturze i filmie oraz przedmiotowym traktowaniu kobiecego ciała. Część feministek domagała się cenzury nagości, a nawet zakazu pornografii czy wyborów miss. W 1968 r. organizacja New York Radical Women protestowała podczas konkursu Miss America. Protestujące kobiety ogłosiły owcę miss, a następnie demonstracyjnie wyrzuciły do kosza na śmieci „narzędzia ucisku kobiet", w tym buty na wysokich obcasach, lokówki i biustonosze. Prasa pisała o tych wydarzeniach jako o „paleniu staników".

Na fali kontrkulturowych (czy raczej antykulturowych) zmian lat 60. wiele feministek euforycznie przyjmowało informacje o nowych rodzajach antykoncepcji. Feministki promowały wolną miłość, domagały się prawa do aborcji i twierdziły, że tylko nieskrępowane wyrażanie i realizacja własnych potrzeb seksualnych dadzą kobiecie wolność.

Druga fala feminizmu lat 60. dotyczyła przede wszystkim kobiet z klasy średniej mieszkających w USA oraz w innych rozwiniętych krajach Zachodu i przez taki pryzmat musi być rozpatrywana. Trzeba też podkreślić, że feminizm nigdy nie był spójną ideą, dlatego w stosunkowo krótkim eseju wskazać można tylko pewne punkty styczne. Nawet w tak podstawowym aspekcie jak uznanie (w nawiązaniu do Beauvoir), czy kobieta jest bytem odmiennym czy takim samym jak mężczyzna, pojawiały się różnice. Kobiecą odrębność podkreślała np. część feministek zachodnioeuropejskich, co mogło wynikać z innych doświadczeń historycznych. W latach 80. feministki rozszerzyły zainteresowania, przyjmując nowe pojęcia, tj. „sex" – płeć biologiczna i „gender" – płeć społeczno-kulturowa. Nowa perspektywa i otwarcie m.in. na teorię queer i ekologizm uznaje się za początek trzeciej fali feminizmu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 16949dbbda



Dekady przemocy / RAF i Czerwone Brygady

Rewolwer zamiast megafonu

Skutki zamachu dokonanego przez Frakcję Armii Czerwonej (RAF) w amerykańskiej bazie wojskowej w Rammstein, 1981 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US AIR FORCE PHOTO



Piotr Semka

Fala czerwonej przemocy w największym stopniu dotknęła Niemcy i Włochy. W obu krajach lewaccy terroryści wzięli na celownik wielki biznes i instytucje państwowe

Im więcej nadziei młode pokolenie powojennego boomu demograficznego pokładało w rewolcie prowadzonej na uczelniach i na ulicach europejskich miast, tym większe było rozczarowanie brakiem zwycięstwa. Rozgorączkowani studenci na ulicach Rzymu, Paryża czy Berlina z gorzkim zdziwieniem odkryli, że protestują sami. Robotnicy, którzy według nauk Karola Marksa mieli być awangardą zmian, bez emocji, a często nawet z pogardą patrzyli na marsze długowłosych studentów. Nawet w środowiskach uczelnianych rewolucyjny rausz nie trwał w nieskończoność. Większość młodzieży ze szkół średnich i uniwersytetów też z czasem zapragnęła spokoju i normalnych warunków do nauki. Ale jako że domorośli marksiści byli mistrzami w dostosowaniu swych założeń ideologicznych do aktualnej sytuacji – pojawiła się nowa idea. Według niej to nie klasa robotnicza, która dała się „kupić" wielkiemu kapitałowi za garść paciorków, ale właśnie awangardowe, zbrojne rewolucyjne komórki miały wywołać przewrót.

Wielu rewolucjonistów, którzy wprowadzili w życie hasło zbrojnych zamachów, wspomina o sięganiu po dzieła Michaiła Bakunina (1814–1876). Jako pierwszy twierdził on, że rewolucja wywołana może być dzięki przykładowi danemu przez zdeterminowane grupy bojowe dokonujące zamachów na carskich urzędników. Bogata była tradycja anarchistycznych zamachów na głowy państw panujące na przełomie wieków XIX i XX. W jej ramach udało się zgładzić tak znanych monarchów jak austriacka

eprasa.pl 16949dbbda



Ulrike Meinhof FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BETTINA RÖHL

cesarzowa Elżbieta czy król Włoch Umberto I. Ale i współczesna popkultura dostarczała wzorów. W 1965 r. francuski reżyser Louis Malle nakręcił komedię „Viva Maria", w której dwie gwiazdy francuskiego kina, Brigitte Bardot i Jeanne Moreau, z karabinem maszynowym w ręku włączają się w walkę rewolucyjną. I wreszcie wielkim popkulturowym wzorcem rewolucjonisty był Che Guevara.

W tworzeniu nowych organizacji zbrojnego oporu pomagały oczywiście dawne więzy z rewolty z lat 1967–1970. Nieocenioną rolę w ratowaniu amatorów zbrojnej rewolty z prawnych opresji odegrali adwokaci, którzy sami mieli za sobą przeszłość w uczelnianych organizacjach lewicowych. Bardzo często utożsamiali się oni ze swoimi klientami i łamali normy etyczne swojego zawodu, przemycając do więzień m.in. instrukcje dotyczące kontynuowania walki zbrojnej.

Domorośli Robespierre'owie w czarnych beretach, okularach przeciwsłonecznych i skórzanych kurtkach tworzyli minisekty, w których na pierwszym miejscu stawiano ideologiczny fanatyzm i gotowość do zabijania bez żadnych oporów moralnych. Co więcej, całkowite zagłuszenie w sobie wszelkich odruchów sumienia decydowało o pozycji w grupie. Bardzo często zresztą liderzy grupy mieli na jedno skinienie palcem cały krąg wielbicielek, które bez skrupułów wykorzystywano do najbardziej niebezpiecznych operacji. Ważnym elementem, który pozwalał na rozwijanie działalności grup rewolucyjnych, była współpraca z istniejącymi już wcześniej ruchami terrorystycznymi, mającymi charakter narodowy, takimi jak np. Organizacja Wyzwolenia Palestyny czy irlandzka IRA. Te z kolei zasilane były pieniędzmi i bronią przez służby specjalne krajów bloku socjalistycznego, na czele z sowiecką KGB czy NRD-owskim Stasi.

W pierwszej fazie swojej działalności grupy terrorystyczne na zachodzie Europy odnosiły zaskakująco wiele sukcesów. Wynikało to z tego, że aparat państwowy nie był przygotowany na ten nowy rodzaj zagrożenia dla porządku publicznego. Jednak już gdzieś w połowie lat 70., gdy demokratyczne państwa zaczęły uczyć się metod obrony przed zideologizowaną przemocą, skala sukcesów lewackich terrorystów zaczęła maleć. Tyle tyko, że ich cichym sojusznikiem była lewicowa opinia publiczna, która nagłaśniała każdy przypadek walki z terrorem, który uznać można było za przekroczenie uprawnień lub bezwzględność władzy, i protestowała przeciwko nim. Jak wyglądał ten bilans działalności czerwonych terrorystów na zachodzie Europy?

RAF vs. RFN

Tradycje politycznej przemocy z czasów walk hitlerowskiego SA z komunistycznym Rotfrontem wydawały się w latach ustabilizowanej demokracji epoki kanclerza Konrada Adenauera tylko złym snem z przeszłości. Tym większym szokiem dla generacji 50-latków korzystających z dobrodziejstw demokracji była recydywa politycznego, lewicowego terroryzmu. Najbardziej popularnym pismem dla generacji kontestatorów 1968 r. było studenckie pismo „Konkret", z którego wyłoniła się wojująca dziennikarka Urlike Meinhof (była ona córką protestanckiego pastora). Jak żartowali jej oponenci, heroina rewolty 1968 r. dawny luterański zelotyzm zamieniła na równie bezkompromisowy i tępy dogmatyzm neomarksistowski.

To ona wymyśliła demonstracje w Berlinie Zachodnim przeciwko wizycie szacha Iranu Mohammada Rezy Pahlawiego. Berlin Zachodni odwiedzało wielu satrapów, ale nikt wcześniej nie wpadł na pomysł, żeby urządzać w związku z tym demonstracje. A jednak pomysł chwycił, bo właśnie dorastała nowa generacja, która mimo że mieszkała w metropolii otoczonej przez czerwony mur, uznała, że większym zagrożeniem dla jej wolności są Ameryka i kapitalizm niż sowiecki totalitaryzm. W trakcie demonstracji zatrzymano 26-letniego studenta Benno Ohnesorga, który został następnie zabity przez jednego z policjantów strzałem w głowę. Dopiero po latach wyszło na jaw, że funkcjonariusz był agentem Stasi, co skłania do postawienia tezy, że mógł być to element operacji wschodnioniemieckich służb, mający zaognić sytuację w Berlinie Zachodnim.



Emblemat Frakcji Czerwonej Armii
FOT. COMMOS WIKIMEDIA, RATATOSK

Nowa lewica pod wodzą Ulrike Meinhof miała więc pierwszego męczennika. Protesty przeciwko zabójstwu Ohnesorga wykreowały bojową awangardę rewolucyjną na terenie całych zachodnich Niemiec. Gdy potem, w kwietniu 1968 r., prawicowy fanatyk postrzelił Rudiego Dutschkego, jednego z liderów protestów, Meinhof rzuciła nowe chwytliwe hasło – winnym jest koncern Axela

eprasa.pl 16949dbbda

Springera, który atakował demonstrantów na łamach swojej popularnej popołudniówki „Bild". W odpowiedzi na postrzelenie Dutschkego niech spłonie 100 furgonetek dostawczych Springera! Znów doszło do walk z policją, znów demonstranci zostali pobici i w związku z tym można było przejść do kolejnej fazy rewolucyjnej przemocy.

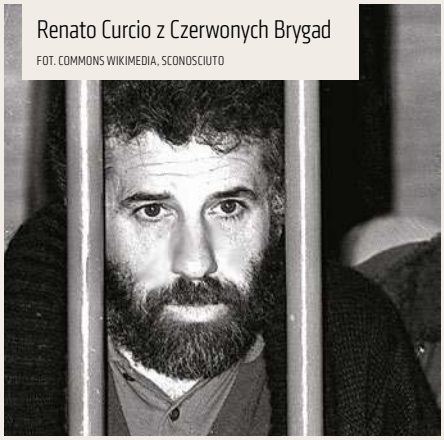
W łonie dotychczas formalnie pokojowej tzw. Opozycji Pozaparlamentarnej (APO – Ausserparlamentarische Opposition) zarysował się rozłam. Meinhof wyszydzała bezskuteczność demonstrowania bez użycia siły i wzywała do przejścia do „akcji bezpośredniej". W 1969 r. w Monachium powstaje pierwsza komórka zbrojnego terroru – Akcja Front Południowy – której przewodzi Fritz Teufel, weteran kontestacji 1968 r. We Frankfurcie nad Menem do akcji przystępuje dwoje aktywistów – Andreas Baader i Gudrun Ensslin. Z czasem doszlusuje do nich jako ideolog Ulrike Meinhof.

Pierwszą akcją grupy było podpalenie dwóch supermarketów we Frankfurcie nad Menem. Czworo sprawców skazano na trzy lata pozbawienia wolności, ale Meinhof rzuciła hasło odbicia Andreasa Baadera z więzienia. Operacja się udaje i na fali euforii po wydobyciu kompana z aresztu terroryści przyjmują nazwę Frakcja Czerwonej Armii, która jest wyraźnym nawiązaniem do sił zbrojnych Związku Sowieckiego. Godłem organizacji stają się czerwona gwiazda i niezawodny karabin maszynowy marki Heckler & Koch. Nawiasem mówiąc, polityczni bandyci skupieni wokół Baadera, choć zwalczali kapitalizm, to jednak ochoczo korzystali z tego, co w niemieckim przemyśle było najlepsze (do przeprowadzania akcji używali samochodów BMW, który to skrót żartobliwie rozszyfrowywali jako „Baader-Meinhof-Wagen").

Gdy ziemia zaczęła im się w Niemczech palić pod nogami, Baader i jego kompani postanowili połączyć miłe z pożytecznym i poprzez kontakty z Organizacją Wyzwolenia Palestyny wyjechali do obozu szkoleniowego w Jordanii. Tam uczyli się używania ładunków wybuchowych, przeprowadzania akcji z użyciem pistoletów i karabinów maszynowych, a także technik prowadzenia działalności



Aldo Moro, porwany przez Czerwone Brygady, 1978 r. FOT. WIKIMEDIA



Renato Curcio z Czerwonych Brygad
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SCONOSCIUTO

konspiracyjnej w wielkich miastach. Aby stworzyć solidną bazę do dalszych akcji, po powrocie do Niemiec w październiku 1970 r. bojownicy RAF przeprowadzili serię napadów na banki. W następnym roku policja niemiecka przeprowadza pierwszą ogólnokrajową obławę na terrorystów. W tym czasie pojawia się konkurencja dla RAF w postaci Ruchu 2 Czerwca pod wodzą wspomnianego wcześniej Fritza Teufela, który jednak w odróżnieniu od RAF ma bardziej anarchistyczne zabarwienie.

Bomba w kasynie

Akcja policji przynosi efekt – aresztowanych zostaje wielu członków obu siatek, ale równocześnie wzrasta brutalność terrorystów. 11 maja 1972 r. Grupa Baader-Meinhof odnosi poważny sukces. Zamach bombowy na kasyno oficerskie przy koszarach US Army we Frankfurcie nad Menem kończy się śmiercią amerykańskiego podpułkownika i ranieniem 13 innych osób. Równocześnie terrorystom udaje się wysadzić w powietrze budynek policji w Augsburgu i zdetonować bombę na parkingu przed siedzibą monachijskiej policji. Niedługo potem w wybuchu ładunku podłożonego w samochodzie sędziego federalnego Wolfganga Buddenberga raniona zostaje jego małżonka. Kolejny z zamachów niszczy biura tygodnika „Spiegel". I wreszcie w ataku na główną kwaterę amerykańskich wojsk w Heidelbergu ginie trzech amerykańskich żołnierzy, a pięciu zostaje rannych. Tym razem policja znów rusza na poszukiwania skrytobójców i – jak się okazuje – otrzymuje dużą pomoc od tysięcy obywateli niemieckich przerażonych skalą terroru. W lipcu 1972 r. aresztowana zostaje czołówka RAF z Andreasem Baaderem, Gudrun Ensslin, Ulrike Meinhof, Holgerem Meinsem i Janem-Carlem Raspem.

Konspiracja Baadera i Meinhof przeszła do historii jako „pierwsza generacja RAF". Jej członków władze niemieckie umieściły w specjalnie przygotowanym nowoczesnym więzieniu w Stammheim. Terroryści prowadzili tam strajk głodowy, podczas którego zmarł Holger Meins. Lewicowa opinia publiczna rozpoczęła więc akcję protestu wobec „nieludzkich" warunków w Stammheim. W tym czasie do akcji zbrojnej przystępuje tzw. drugie pokolenie, którego największym sukcesem jest zajęcie ambasady RFN w Sztokholmie 24 kwietnia 1975 r. Porywacze żądają uwolnienia 26 członków RAF. Zanim policja odbiła ambasadę, zamachowcy dokonali egzekucji dwóch dyplomatów. Rok później Ulrice Meinhof udało się popełnić samobójstwo w Stammheim. Terroryści z RAF mieli kolejną męczennicę i rozpoczęła się nowa fala ataków.

Fatalną okolicznością okazało się zwolnienie z więzienia terrorystki Brigitte Mohnhaupt. Władze nie uważały jej za specjalnie groźną osobę, ale to ona po wyjściu z więzienia została nowym, groźnym liderem RAF. Pod jej kierownictwem doszło do zamachu na prokuratora generalnego Siegfrieda Bubacka, a następnie zamachowcom udało się porwać prezesa Dresdner Bank Jürgena Ponto, który zginął w trakcie szamotaniny z terrorystami. Kulminacją tej fali terroru było uprowadzenie 5 września 1977 r. szefa Niemieckiego Związku Pracodawców Hansa-Martina Schleyera. Po raz kolejny terroryści zażądali uwolnienia

eprasa.pl 16949dbbda

towarzyszy przetrzymywanych w więzieniach, tym razem 11 osób.

Zdjęcie wymęczonego Schleyera, przetrzymywanego „w więzieniu ludowym", przeraziło większość zachodnich Niemców. Na dodatek palestyńscy terroryści porwali samolot Lufthansy i zmusili go do lądowania w stolicy Somalii. Osiemdziesięciu sześciu zakładnikom groziła śmierć. Wysłani do Somalii niemieccy antyterroryści z formacji GSG 9 uwalniają samolot i zabijają trzech napastników. Na wieść o odbiciu samolotu Andreas Baader, Gudrun Esslin i Jan-Carl Raspe popełniają w więzieniu w Stammheim samobójstwo. Gdy terroryści RAF dowiedzieli się o śmierci liderów ruchu, w zemście zamordowali Schleyera. Po odnalezieniu jego zwłok w październiku 1977 r. okazało się, że ofiara była torturowana. Ta fala brutalności doprowadziła do załamania się istniejącej jeszcze bazy poparcia dla komórek RAF. Ostatnią dużą akcją terrorystów było zdetonowanie bomby w sierpniu 1981 r. w bazie USA w Rammstein, ale policja coraz skutecznie wyłapywała aktywistów organizacji. Tak zwane trzecie pokolenie RAF to już zaledwie 15–20 osób, które w latach 1985–1989 dokonały kilku zamachów na przedstawicieli wielkiego biznesu. Ostatnim incydentem związanym z RAF była obława na dwoje terrorystów na stacji kolejowej w Bad Kleinen, w trakcie której Birgit Hogefeld, ostatnia liderka tej grupy, poddała się, a jej towarzysz Wolfgang Grams zginął w walce. Łącznie w zamachach terroryści RAF zamordowali 34 osoby i ranili kilkaset.

Włochy w ogniu

Drugim najważniejszym frontem działalności lewicowych grup terrorystycznych były Włochy. Ideologami przemocy budowanej na bazie marksistowskiej walki klas byli student Renato Curcio i jego towarzyszka życiowa Margherita Cagol. Koniec lat 60. to okres, gdy największym zagrożeniem dla włoskiej policji wydawali się terroryści neofaszystowscy, którzy dokonali zamachu bombowego na Piazza Fontana w Mediolanie. Władze w ramach obławy na sprawców zatrzymały też anarchistę Giuseppe „Pino" Pinellego, który w niewyjaśnionych okolicznościach wyleciał z okna aresztu. To wydarzenie wywołało we Włoszech podobny efekt jak wspomniana już śmierć Benno Ohnesorga w Niemczech. W odwecie grupa Lotta Continua dokonała zabójstwa komisarza Luigi Calabresiego, który obwiniany był za śmierć anarchisty.



Gazeta organizacji Lotta Continua oraz „Der Spiegel" z uwięzionym przez RAF Schleyerem

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Szybko jednak na pierwszy plan zaczynają się wysuwać bojówki Czerwonych Brygad. W myśl marksistowskich dogmatów walki klas bojówkarze przeprowadzają zamachy bombowe w fabrykach największych włoskich koncernów. Początki działalności tej organizacji to też swoiste spektakle – porywani są dyrektorzy fabryk, „trybunał ludowy" przeprowadza pseudoproces i „oskarżeni" przykuwani są w miejscach publicznych, z obraźliwymi tabliczkami zawieszonymi na szyi.

Wiosna 1974 r. to przejście Czerwonych Brygad do walki z Republiką Włoską, która polegała na przeprowadzaniu zamachów na wysokich funkcjonariuszy państwowych. Pierwszym porwanym był sędzia Mario Sossi, którego udało się jednak policji odbić. Do 1975 r. służby specjalne były w stanie zatrzymać niemal całe kierownictwo Czerwonych Brygad, ale komórki odtwarzały się na nowo, co pokazuje, że ruch ten miał mocne oparcie w lewicującej młodzieży.

W listopadzie 1977 r. bojówkarze mordują Carla Casalegno, publicystę dziennika „La Stampa". Inny ważny komentator włoskiej prasy, Indro Montanelli, dostaje „ostrzegawczy" strzał w kolano, po którym będzie kuleć do końca życia. Wreszcie 16 marca 1978 r. Czerwonym Brygadom udaje się porwać byłego premiera Włoch, chadeka Aldo Moro. I tak jak w przypadku uwięzienia przez RAF Hansa-Martina Schleyera twarz umęczonego Aldo Moro, przetrzymywanego w „więzieniu ludowym", porusza niemal wszystkich Włochów. Były premier zostaje zgładzony 9 maja 1978 r., jego ciało porzucono w ukradzionym samochodzie pozostawionym w centrum Rzymu.

Mord na polityku chadecji doprowadza do fali moralnego oburzenia wśród mieszkańców Italii i znacząco ogranicza poparcie dla czerwonych terrorystów. Policja intensyfikuje wysiłki i coraz sprawniej wyłapuje politycznych bandytów. Ostatnie większe akcje to lata 1980–1981, gdy Czerwonym Brygadom udało się m.in. porwać amerykańskiego generała Jamesa L. Doziera, który jednak został odbity przez włoską policję.

Czerwona przemoc w największym stopniu dotknęła Niemcy i Włochy. W innych krajach europejskich aktywność komórek rewolucyjnych była o wiele słabsza. Należały do nich m.in. francuska Akcja Bezpośrednia (Action Directe), aktywna w latach 80., GRAPO, hiszpańska partyzantka o proweniencji maoistowskiej, oraz grecka Organizacja Rewolucyjna 17 Listopada. Kilka zamachów w Belgii dokonały w latach 80. Walczące Komórki Komunistyczne. Naśladowcami Czerwonych Brygad w latach 80. były w Portugalii Ludowe Siły 25 Kwietnia. Wszystkie one jednak nie dorównywały skalą działania Frakcji Czerwonej Armii w Niemczech i Czerwonym Brygadom we Włoszech.

Tematem na osobny tekst mogą być problemy z ukaraniem aktywistów czerwonych bojówek z Włoch, którzy przy cichym poparciu administracji socjalistycznego prezydenta François Mitterranda znajdowali schronienie we Francji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 16949dbbda



FOT. CAF/ PAP

Rewolucja okiem literatów / Mrożek, Bocheński i Skalmowski

Nieporozumienie roku 1968

eprasa.pl 16949dbbda



Krzysztof Masłoń

Autor „Tanga”, entuzjasta wolności, tuż po swoim przyjeździe do Paryża w roku 1968 trafił na majowe strajki studentów, po których niemal z dnia na dzień stał się konserwatystą

Trzech facetów położyło podwaliny myślowe pod rewoltę końca lat 60. Dwóch z nich nie miało o tym pojęcia, jako że pierwszy z nich nie żył już od roku 1883, a drugi, który z tego świata miał zejść w roku 1976, odgrodził się od rzeczywistości wielkim murem i o kontestatorach z Waszyngtonu czy Paryża pewnie w ogóle nie słyszał. Co innego ten trzeci, z czasem nazwany „ojcem nowej lewicy”. Skróty ich nazwisk wypisywali sobie na koszulkach ci młodzi ludzie, którzy w 1968 r. postanowili zburzyć stary świat i stworzyć w jego miejsce bliżej nieokreśloną arkadię. Hasło brzmiało trzy razy „Ma”: Marks – Mao – Marcuse. Kim był ten ostatni (bo o pierwszych dwóch wiemy aż za wiele)?

Herbert Marcuse (1898–1979) był niemieckim Żydem, który w 1934 r. wraz z żoną opuścił III Rzeszę, wyjeżdżając do Ameryki. Za wielką wodą pracował dla amerykańskiego wywiadu. Wykładał na Uniwersytecie Columbii i innych uczelniach, by w końcu otrzymać katedrę na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego. W 1968 r. ogromną popularność zdobyła jego praca „Eros i cywilizacja”, w której rozczytywali się hipisi, choć autor zwracał uwagę, że „kwiaty nie mają mocy”. Ale największy rozgłos towarzyszyć miał jego „Człowiekowi jednowymiarowemu”, uznanemu za biblię radykalnych ruchów studenckich, zwłaszcza w Niemczech, gdzie Marcuse wykładał w roku 1968. Doszedł on do przekonania, że do rewolucji wcale już nie jest potrzebna, jak w czasach Marksa, klasa robotnicza. Ponieważ – wywodził – nadmiar dóbr materialnych sprawił, że robotnicy stali się ofiarami wytworów własnej pracy, rewolucja – która jest konieczna – przyjść musi od intelektualistów, studentów czy przedstawicieli rozmaitych mniejszości. Jak widać, pogląd ten utrzymuje się do dziś, choć sam Marcuse został zapomniany, może nie ze szczętem, ale jednak.

A przecież atrakcyjny dla młodych ludzi mógł wydawać się głoszony przez niego powrót do nirwany. W jego wydaniu bowiem duchowej kontemplacji towarzyszyć miało odkrywanie własnej cielesności. Podpierając się więc neofreudyzmem à la Marcuse, młode pokolenie, w Ameryce wychowane najczęściej w tradycji purytańskiej, mogło zasmakować wręcz dionizyjskiej rozwiązłości seksualnej.

Wojujący bezbożnicy

Naturalnie religia stanowiła tu poważną przeszkodę, należało więc odrzucić ją całkowicie lub wymienić na inną. Dzisiejsi spadkobiercy roku 1968 zaklinający się, że nie są wcale antychrześcijańscy, występują przeciw religii z nie mniejszym zapałem niż bolszewiccy bezbożnicy 100 lat temu. W katolickiej Polsce widzimy to też gołym okiem.

Bardzo ciekawa z tego punktu widzenia jest książka Kamila Sipowicza „Hipisi w PRL”. Miała ona dwa wydania, mocno się zresztą różniące, w latach 2008 i 2015. Z książki tej pochodzi znamienna rozmowa autora z Grzegorzem Eberhardem (zm. w 2015 r.), w latach młodzieńczych mieszkającym na Bielanach, hipisującym organizatorem tzw. Nocy Twórczych, a w wieku dojrzałym miłośnikiem prozy Józefa Mackiewicza, o którym napisał swego „Pisarza dla dorosłych” (2008). Zainteresowanie twórczością autora „Kontry” zbliżyło mnie do Grzegorza, a że i Kamila znałem, z tym większym zainteresowaniem wczytałem się w ich rozmowę. Oto jej fragment:

„– Dlaczego jesteś prawicowcem?

– A co to znaczy? No, jak się domyślam, mówimy w tzw. ogromnym skrócie. Ci odpowiem, po moich doświadczeniach można być już tylko prawicowcem. Swoją drogą. Jestem pewien, iż będąc po pięćdziesiątce, można być już tylko zwolennikiem odpowiedzialności, Dekalogu.

– Dlaczego publicznie negatywnie oceniasz masonerię?

– Kiedyś ktoś zapytał mnie, co sądzę o masonerii. Było to akurat przy alkoholu, więc wstrząsnąłem się, bo lubię wódkę, a temat nagle owiał mnie smrodem, iście piwniczną stęchlizną! Zmobilizowałem się, otrząsnąłem i odpowiedziałem: Po pierwsze, śmieszny to widok: osobniki dorosłe biegające w fartuszkach. Po drugie, kontynuowałem: nawet gdybym był ateistą, jeśli miałbym wybierać pomiędzy siłami (że tak powiem) walczącymi o moją duszę, to wybrałbym jednak Kościół katolicki, nie masonów. Po trzecie, dodałem: niepokoi mnie, na przykład, tajność działań masonów i ich ponadnarodowa solidarność. Jeśli więc, jeszcze raz powtórzyłem, już musi być ta ponadnarodowa solidarność, to niechże jej adres będzie znany, i niech brzmi: Watykan!”.

Na tym rozmowa się kończy, po trzech gwiazdkach mamy jednak jeszcze komentarz autorski tej treści: „Rozumiem, że bardziej cię śmieszą faceci w fartuszkach niż faceci w sukienkach. Przy tym ci w sukienkach kryją swoich kumpli pedofilów, którzy latami gwałcą chłopców i dziewczynki, a potem w nagrodę przenoszeni są do innych parafii. Cały czas pod czujną ochroną mężczyzn w purpurowych sukienkach, a nad nimi wszystkimi czuwa w twoim ukochanym Watykanie mężczyzna w śnieżnobiałej sukience? Chyba że te wszystkie osoby, a są już ich tysiące, które zeznają w sprawach o pedofilię w USA, Irlandii, Niemczech, Austrii i Holandii, są twoim zdaniem namawiane do tego przez masonów”.

No tak, teraz my z kolei rozumiemy, skąd w ogóle wzięło się pytanie o masonerię i po co był cały ten wywiad. Podobnie przez całą opasłą książkę Sipowicza przewija się wyraźnie niepokojąca autora kwestia, dlaczego „Pies”, jeden z najbardziej znanych polskich hipisów, stał się prominentną postacią Prawa i Sprawiedliwości. To wyraźnie przekracza wyobraźnię faceta wyróżniającego się niezdejmowaniem

eprasa.pl 16949dbbda

kapelusza przy stole, co naturalnie wcale śmieszne nie jest.

Duży terror i duże kłamstwo

A jak pisarze przyjęli to, co przyniósł rok 1968? Anna Nasiłowska w wydanej w zeszłym roku książce „Mrożek. Biografia" opowiada: „»Pragnąłem tylko małej, prywatnej rewolucji, a wylądowałem w samym środku rewolucji zbiorowej« – napisał Mrozek w tekście »Mój życiorys«. W tej wersji wspomnień, przeznaczonej na użytek zachodnich czytelników, o paryskim Maju jest najwięcej, choć miał poczucie, że po raz kolejny historia usiłuje go w coś wkręcić bez jego zgody. To właśnie wtedy na murach Paryża pokazały się do dziś komentowane hasła, takie jak: »Bądźcie realistami, żądajcie niemożliwego!«, »Wyobraźnia do władzy!«, »Wolna miłość« i »Zabrania się zabraniać«. Następowała zmiana pokoleń. W zaułku Chevalier-de-la-Barre było cicho, ale w Paryżu działy się rzeczy epokowe. Mrożek zapuścił właśnie brodę, ale z kontestacją rozminął się duchowo".

5 czerwca 1968 r. Sławomir Mrożek zapisał w swoim dzienniku: „Świat stał się tak wielkim burdelem, że trzeba wielkiej myśli, żeby o nim pomyśleć. Demokracja, wolność, swoboda jednostki, prawa, o ile się nie mylę, to bardzo późny wynalazek, i do tego lokalny. W dodatku podobno są plamy na Słońcu. Świat przeszkadza mi w życiu. Wszystko jakoś trzeba przemyśleć i ustawić sobie inaczej".

Autor „Tanga", entuzjasta wolności, tuż po swoim przyjeździe do Paryża w roku 1968 trafił na majowe strajki studentów, po których niemal z dnia na dzień stał się konserwatystą. W tej młodzieżowej rewolcie polityczno-obyczajowej, niezależnie od jej całej dziecinady, dostrzegł podkopywanie demokratycznych podstaw ustrojowych Zachodu. Komunizm wstrętny był mu dalej, ale coraz bardziej nie podobał mu się gnijący i to pod każdym względem – ideowym, duchowym czy moralnym – świat zachodni. Niebawem też napisze, opublikowaną w 1971 r. w „Kulturze", mającą charakter pamfletu na infantylny, w jego mniemaniu, bunt młodej generacji, sztukę „Szczęśliwe wydarzenie". Niestety, słabiutką.

Same wydarzenia Maja '68 w Paryżu porównywał Mrożek do swego młodzieńczego zaczadzenia komunizmem w powojennej Polsce. 24 maja 1968 r. zapisał w dzienniku: „Tymczasem we Francji wybuchła rewolucja. Jeżeli zestarzeć się znaczy obejść cykl dookoła i wrócić w to samo miejsce, w którym się było, to ja się zestarzałem. Prywatnie i historycznie. Wszystko, co teraz widzę, wydaje mi się obrzydliwie stare. Zestarzeć się to prawdopodobnie doczekać wieku, w którym jest się o całe pokolenie wcześniejszym od tych, którzy mają dwadzieścia lat.

Obiecują mi, że zmienią mi zupełnie życie. Ja dziękuję. O ile się na tym znam, będą mnie chcieli uszczęśliwić siłą. Nie mogę mieć im za złe, że są tacy, jacy są. Należą do tych, którzy sami w sobie zaszli już niedaleko – donikąd w obliczu wieczności – ale bardzo daleko w skali jednego życia ludzkiego. I tej odległości nie można mi już odebrać. W ostatecznym wypadku będą mnie mogli tylko zlikwidować.

W dodatku widać, jak opłaca się duży terror i duże kłamstwo. Jak nie opłaca się trochę wolności i niezupełny terror. Całkowita wolność i całkowita prawda nie jest możliwa, ponieważ ludzi jest więcej niż jeden. Natomiast historycznie jest możliwy całkowity terror i całkowite kłamstwo. Wobec tego…

Oni nie chcą więcej wolności i więcej prawdy. Oni chcą absolutu. Rozumiem, ja też chciałem. Prywatnie i publicznie".

Symbole rewolty

Jednak czego konkretnie domagali się studenci rozpoczynający historyczną rewoltę w Nanterre i tworzący tam Ruch 22 Marca? Wiemy przeciwko czemu występowali? Przeciwko kapitalizmowi i obowiązującemu systemowi edukacyjnemu, tradycjonalistycznemu społeczeństwu i mieszczańskiej moralności. A naprawdę było to tak, jak wspominała po latach Jutta Ditfurth, niemiecka weteranka roku 1968, pacyfistka, feministka i ekolożka:

„Wszystko zaczęło się właściwie od seksu. Francuski minister ds. młodzieży



Daniel Cohn-Bendit (z lewej) na czele paryskich studentów, maj 1968 r.

FOT. JACK BURLOT/APIS/SYGMA/GETTY IMAGES

François Missoffe uroczyście otwierał basen na Uniwersytecie w Nanterre, na którym studiował wówczas Daniel Cohn-Bendit. Młody niemiecki student chciał go sprowokować, skarżąc się na zakaz wstępu do żeńskich akademików, który nałożono na rozbuchanych studentów. Missoffe poradził mu wówczas, żeby wskoczył do basenu i ochłonął. Cohn-Bendit zaczął krzyczeć, że Missoffe jest »obrzydliwym faszystą«. Wszystko to dostało się do gazet i Cohn-Bendit stał się sławny. Później przeprosił ministra i zjadł z nim kolację". „Wspaniale się wówczas bawiłem – opowiadał o tamtych czasach sam zainteresowany, niewsławiony jeszcze pedofilskimi wyczynami. – Stałem się symbolem rewolty".

Nic też dziwnego, że gdy niebawem urodzonego we Francji, ale mającego obywatelskie niemieckie Cohn-Bendita władze deportowały za znalezioną u niego instrukcję produkcji koktajli Mołotowa, na ulice Paryża wyszły tłumy skandujące: „Wszyscy jesteśmy niemieckimi Żydami!". A cierpiąca na wieczny lewoskręt prasa ze zgrozą porównywała tę decyzję władz z losami rodziców Daniela, w 1933 r. uciekającymi w przeciwną stronę – z Rzeszy, w której do władzy doszedł Hitler, do Francji.

Tak czy inaczej Daniel Cohn-Bendit stał się na Zachodzie tak wyrazistym symbolem roku 1968 jak Adam Michnik w Polsce. Co w jakiejś mierze tłumaczy

eprasa.pl 16949dbbda

zaproszenie przez szefa „Gazety Wyborczej" swego francusko-niemiecko-żydowskiego kolegi na obchody 40-lecia wydarzeń marcowych w Polsce. Co, niestety, zbiegło się z ujawnieniem jego upodobań seksualnych. Do pięcioletnich dziewczynek zwłaszcza.

Gdy prof. Wojciech Roszkowski zacytował stosowny fragment z książki Cohn-Bendita, który w istocie sam się pochwalił swoimi wyczynami z lat, gdy brał udział w prowadzonych w przedszkolach „badaniach nad dziecięcą seksualnością", oskarżony został o szerzenie w podręczniku do historii i teraźniejszości drastycznych treści. O tym, że w „rewolucji obyczajowej" roku 1968 na pierwszym planie znajdowała się rozwiązłość płciowa, nikt z krytyków Roszkowskiego, rzecz jasna, nawet się nie zająknął.

Pieszczoty w autobusie

Ciekawe, że kwestie związane z seksem w kontekście przemian społecznych końca lat 60. zeszłego wieku eksponował również znany pisarz Jacek Bocheński, socrealista z pokolenia „pryszczatych", późniejszy opozycjonista, w interesującym nas czasie podróżujący po Zachodzie, o czym pisał potem m.in. w esejach zawartych w „Krwawych specjałach włoskich" (1982). W 1996 r. w wywiadzie dla „Plusa Minusa" powiedział mi:

„– Obecnie wielu Polaków, zwłaszcza ludzi młodszych ode mnie, wychowanych w swobodzie obyczajowej, reaguje wściekłością na ponownie wprowadzane skrępowania i rygory wychowania religijnego, zwłaszcza gdy tyczy to seksu, tej najwrażliwszej sfery życia. Otóż marksizm, związany z tak zwanym postępem, miał wyzwolić człowieka i z tej opresji.

– A stał się obskurancki do n-tej potęgi.

– Widzi pan, można powiedzieć ogólnie, że miał być lekarstwem na dramaty ludzkości, ale okazał się trutką, którą ja też połknąłem, jednak połknęło ją wielu, dlatego to jest banalne.

– W pana twórczości ten okres był zaledwie epizodem, znaczonym tomem opowiadań »Zgodnie z prawem« czy

Sławomir Mrożek dostrzegł w młodzieżowej rewolcie polityczno-obyczajowej podkopywanie demokratycznych podstaw Zachodu

reportażami z NRD i ZSRR, ale mocno ciążącym na pańskiej biografii.

– Bo to nie spłynęło po mnie jak woda po gęsi. I nigdy nie udawałem, że to było coś nieautentycznego. To jest część mojej biografii.

– A jak wyglądał ten drugi huragan, drugie przełomowe zderzenie w pana życiu?

– Zupełnie inaczej. Ale jak to przedstawić? Może zilustrować przykładem? Myślę sobie, że przyszły badacz dziejów cywilizacji odkryje kiedyś i uzna za początek nowej epoki taką scenkę, którą panu opiszę. W jakimś obiekcie użyteczności publicznej, w tramwaju albo w autobusie, pojawili się młodzi ludzie: chłopak i dziewczyna. Poszli pod prąd, w kierunku odwrotnym niż wszyscy pasażerowie, tamując ruch. Potrzeba im było więcej miejsca. Wreszcie stanęli pośrodku wozu, odwrócili się twarzami do siebie, a plecami do innych, i swobodnie oddali pieszczotom. Nie sposób wyliczyć, ile zasad złamali. Czy byli aspołeczni?

– Nie.

– Najprawdopodobniej nie czuli, że istnieje coś takiego jak społeczeństwo i że mogłoby to ich do czegokolwiek zobowiązywać. A czy nie potrzebowali intymności? Ależ potrzebowali i właśnie osiągnęli ją w miejscu publicznym, ponieważ we własnym odczuciu tylko oni tam byli. Wypadek ten zaszedł pierwszy raz mniej więcej trzydzieści lat temu, a potem miliony razy. Jego bohaterowie są dzisiaj w sile wieku, wkrótce przejdą na emeryturę. To z nich w znacznej mierze składa się współczesne społeczeństwo. Z tych, którzy na całym świecie łamali w latach sześćdziesiątych wszystkie reguły. Wynaleźli podarte dżinsy, włochatość, rocka, autostop, seks w namiocie, a przy okazji różne rewolucje w zależności od miejsca zamieszkania. Wytoczyli wojnę rodzicom, wypowiedzieli posłuszeństwo organizacjom, palili flagi narodowe. Zadziwiającą rzeczą jest, że teraz od tych ludzi oczekuje się, żeby odtworzyli społeczeństwo tradycyjne, z którym oni nie mają nic wspólnego, jeszcze od czasów tamtego autobusu. Na tym polega najgłębsze nieporozumienie naszych czasów".

Jak się sprawy mają

Czego jak czego, ale nieporozumień nam nie brakuje, a wcześniej też ich było aż nadto. W liście do Sławomira Mrożka datowanym na 8 marca 1977 r. Wojciech Skalmowski relacjonował: „Byłem w niedzielę na obiedzie w Maisons-Laf. i spotkałem tam jednego z młodych bohaterów polskiej kontestacji, niejakiego Michnika. Dosyć mnie zirytował, choć nie potrafię wyłożyć pokrótce czym właściwie. Bezpośrednio tym, że perorował jak młody goszysta na Zachodzie przeciwko »zasranym antykomunistom«, którzy poza tym nic nie robią, gdy tymczasem byli stalinowcy itp. narażają się, siedzą po więzieniach etc. (chodziło o Kuronia etc., a także Kołakowskiego). Zaczyna się już ustalać moda na nawrócenia, podczas gdy ludzie, którzy zawsze wiedzieli, jak się sprawy mają, ale nie wychylali się zanadto spektakularnie, schodzą do roli, która na Zachodzie przysługuje burżujom, reakcjonistom etc.".

Cóż, Wojciech Skalmowski intuicyjnie może antycypował tutaj to, co wyartykułowane zostanie mniej więcej 20 lat później, a mianowicie, że oto polski Marzec '68 był integralną częścią protestów przeciw opresyjnym państwom, w których jednym głosem przemawiali wszelkiej maści goszyści, trockiści, maoiści, palacze zioła i entuzjaści kwasu. Tak miało być w Europie i Ameryce, a jeśli chodzi o Europę Wschodnią, to na pewno w Czechosłowacji i w Polsce. No proszę, a nad Wisłą wciąż jeszcze nie brakuje naiwniaków myślących, że warszawskim studentom pałowanym na Krakowskim Przedmieściu chodziło o jakieś „Dziady", nie wiadomo, przez kogo i po co napisane.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 16949dbbda

„Otrucie królowej Bony” /

Zatruty puchar



Jan Matejko i żałosny koniec monarchini

królowej



Jan Matejko „Otrucie królowej Bony” (fragment) FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE



Leszek Lubicki

Bona zgromadziła w czasie pobytu w Polsce wielki majątek, niespotykany u innych władczyń ówczesnej Europy. Ogromne bogactwo sprowadziło na nią ostatecznie nieszczęście



Bona Sforza, rycina z 1521 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Królowa matka opuściła polską ziemię w 1556 r., po bez mała 40 latach życia nad Wisłą. Zmusił ją do tego jej własny syna, król Polski Zygmunt II August, który nie godził się na poprzedni układ rządzenia krajem. Zresztą sama Bona Sforza doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie będzie już mogła wywierać na kierowanie państwem tak dużego wpływu, jak miało to miejsce za czasów jej uległego męża Zygmunta I Starego.

Nowy król podejrzewał – zresztą jeszcze za życia swojego ojca żywił takie obawy – że opuszczając Polskę, jego matka wywiezie ze sobą mnóstwo kosztowności. Wydał wówczas zarządzenie, aby pod groźbą utraty czci lub nawet śmierci nikt nie ważył się pomagać jej w wyjeździe. Było to niezwykle bolesne dla każdej ze stron, więc po pewnym czasie syn zakaz wycofał. Królowa matka wyruszyła niedługo do rodzinnej Italii, zabierając ze sobą 24 wozy wyładowane srebrem i złotem oraz klejnotami. Po dotarciu na miejsce osiadła na zamku w Bari.

Bona doskonale wiedziała, że do efektywnego sprawowania władzy potrzebne są ogromne… pieniądze. Wówczas bowiem można się uniezależnić od możnowładców, choć bez wątpienia będą oni z tego powodu bardzo niezadowoleni. I właśnie stąd wzięła się ich niechęć do królowej. Już rok po koronacji „zaczęła gromadzić majątki ziemskie – przeważnie za własne pieniądze – [...], których zarząd i administrację gruntownie reorganizowała, korzystając z najlepszych w owym czasie wzorców włoskich, co zwielokrotniło płynące z nich zyski. W ten sposób, budując niezależność materialną dynastii [jagiellońskiej – przyp. red.], starała się zapewnić jej swobodę działania politycznego" (Urbański, 2006).

Bona zgromadziła w czasie pobytu w Polsce wielki majątek, niespotykany u innych władczyń ówczesnej Europy. „Wyjeżdżając do Włoch, nie wszystko przecież mogła załadować na wozy i zabrać ze sobą. Ciężko pracowała, aby dać dynastii niezależność, toteż nie mogła pozwolić, aby zbuntowany syn wszystko stracił. W kraju pozostawiła ogromne majątki, wspaniale zorganizowane i zagospodarowane. Przynosiły one dochody, jakich nie miał jeszcze dotąd żaden król w Polsce. Zygmunt August korzystał z nich w pełni, lecz nie potrafił właściwie ich zużytkować ani też być wdzięczny swojej matce" (Wójcik-Góralska, 1987). A było za co.

Wpływ serialu

Po śmierci pierwszej żony Zygmunta I Starego należało monarchę ponownie ożenić. Wybór padł na włoską księżniczkę. Była nią Bona Sforza d'Aragona, młodsza od króla o 27 lat. Ceremonia koronacji na królową Polski odbyła się w kwietniu 1518 r. Jej imię głęboko utrwaliło się w polskiej tradycji. Bona jest bodaj najbardziej znaną w powszechnej świado-

eprasa.pl 16949dbbda

mości królową Polski (oprócz oczywiście króla Polski Jadwigi Andegaweńskiej), szczególnie wśród ludzi w średnio starszym wieku. Stało się tak zapewne dzięki serialowi emitowanemu w telewizji kilkadziesiąt lat temu, z wybitną kreacją Aleksandry Śląskiej w roli tytułowej.

Do dzisiaj wpływ, który Bona wywarła na nasze dzieje, jest oceniany niejednoznacznie, jednak często negatywnie. Uważa się, że była wybuchowa, zbyt ambitna, wręcz żądna władzy, a nade wszystko zachłanna. Posądzano ją nawet o trucicielstwo, m.in. zamordowanie w ten sposób ostatniego władcy Mazowsza, księcia Janusza III. Zapewne częściowo takie oceny są uzasadnione, niemniej należy także zwrócić uwagę na pozytywy. Bona dbała przede wszystkim o dobro dynastii. Dzięki niej nastąpił w Polsce przełom kulturowy – nad Wisłę dotarł włoski renesans. Królowa rodem z Italii doprowadziła jeszcze za życia Zygmunta Starego do koronacji ich syna, Zygmunta Augusta, na króla Polski, unikając tym samym potencjalnych komplikacji

> **Królowa rodem z Italii doprowadziła jeszcze za życia Zygmunta Starego do koronacji ich syna na króla Polski, unikając tym samym potencjalnych komplikacji**

w kwestii sukcesji po zmarłym władcy. Jako ciekawostkę wspomnijmy, że Bona kazała w ogrodach sadzić warzywa, stąd różne ich odmiany w jednym pęczku nazywamy teraz włoszczyzną. Biografowie królowej zwracają uwagę, że na krzywdzące oceny jej działalności miała wpływ XIX-wieczna literatura, która uczyniła z niej istnego demona. Gdy jednak historycy zaczęli baczniej badać źródła, wtedy „Bona stała się znów wielką, mądrą i zasłużoną dla państwa królową polską" (Wójcik-Góralska, 1987).

Osiem lat po śmierci męża, w roku 1556, królowa Bona opuściła Polskę już na zawsze. Nie mogła porozumieć się z Zygmuntem Augustem w żadnej sprawie. Stosunki między królową



Zygmunt II August

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ALTE PINAKOTHEK

eprasa.pl 16949dbbda

matką a synem były więc, delikatnie mówiąc, oziębłe. I choć utrata wpływów w Polsce bardzo ją drażniła, to jednak miała jeszcze nadzieję odegrać poważną rolę w ojczystych Włoszech. Czekały tam na nią jej własne księstwa dziedziczne, którymi sprawnie zarządzała z oddali. „I tu bowiem Bona, choć działając z daleka i poprzez pełnomocnych administratorów, okazała się rządcą sprawnym i mądrym; historycy włoscy podkreślają, że pod jej panowaniem Bari i Rossano zażywały wyjątkowego dobrobytu" (Bogucka, 1989).

Obraz z kradzieży

Dzieło „Otrucie królowej Bony", którym ilustrujemy tę opowieść, jest pierwszą dojrzałą historyczną kompozycją Jana Matejki. Od czasu drugiej wojny światowej było uważane za zaginione, ale w 1996 r. wypłynęło niespodziewanie na publicznej aukcji. Pewien mężczyzna zgłosił obraz legalnie na licytację, twierdząc, że dostał go w prezencie od starszej pani. Płótno zostało zakupione do Muzeum Narodowego w Krakowie za sumę 222 tys. zł (wraz z opłatą aukcyjną). Szybko jednak okazało się, że dzieło Matejki pochodzi z kradzieży – było ono własnością ponad 80-letniej kolekcjonerki z Krakowa. Informacja ta wyszła od rodziny, która znała jej zbiory, natomiast sama właścicielka kradzieży nie zauważyła, ponieważ cierpiała na zaniki pamięci. Po trzech latach złodziei zatrzymano i skazano. Zgodnie z prawem obraz winien wrócić do jego prawowitych właścicieli, czyli spadkobierców starszej pani. Oni uznali jednak, że skoro płótno jest już w muzeum, to niech tam pozostanie. Rodzina nieżyjącej już wówczas właścicielki uszanowała jej wcześniej wyrażoną wolę o chęci podarowania swoich zbiorów muzeum. Dzięki temu to malarskie dzieło możemy teraz oglądać w Domu Matejki w Krakowie.

Mistrz Jan malowanie tego obrazu rozpoczął jeszcze w czasie studiów w Monachium. Zaprosił do swojej pracowni kolegę z tamtejszej akademii i powiedział ponoć do niego: „Prawda, że podobna do Bony?". Na co przyjaciel miał odpowiedzieć: „A skąd ja mam wiedzieć, jak wyglądała Bona?!". Faktycznie – co za różnica, czyją twarz przedstawił malarz? Ważne jest natomiast, jak ją przedstawił. W rzeczywistości do postaci Bony pozowała mu lokatorka domu, w którym Matejko mieszkał w stolicy Bawarii. Przez trzy dni nie wymienili ze sobą ani słowa. Nasz malarz po prostu nie znał języka niemieckiego. Natomiast do postaci podającego Bonie kielich modelem był wspomniany kolega.

Puchar z trucizną

Już wtedy ten młody, 21-letni adept sztuk plastycznych wiedział – jak pisze Maria Poprzęcka – że „obraz historyczny musi być przede wszystkim komunikatywny w sferze emocji". Obserwator, patrząc na to dzieło, widzi bijącą z niego grozę. To, co koncentruje uwagę patrzącego, to kielich podawany z niezwykłą uniżonością królowej przez jej doktora. Akcja została przez artystę zawieszona właśnie przed momentem kulminacyjnym. Na obrazie Jana Matejki obserwujemy wręcz drobiazgowo dopracowane postaci, a także detale tej kompozycji. Mistrz Jan znany był z tego, że nigdy nie lekceważył nawet najmniej ważnych części swoich dzieł, jak choćby zasłonę czy klejnoty. Jednak najważniejsi są tu ludzie i kielich z trucizną. Dlaczego Bonie podano kielich z zatrutym płynem? Powód jest prosty i stary jak świat. Z zachłanności. Uważa się, że spisek ten ukuł zaufany dworzanin królowej, Włoch, niejaki Jan Wawrzyniec Pappacoda, szpieg Filipa II Habsburga, króla Hiszpanii. Wcześniej pertraktował on u Bony, z namowy Habsburgów, zaciągnięcie pożyczki dla owego Filipa II, syna cesarza Karola V Habsburg, opiewającej na zawrotną kwotę. „Filip walczył wtedy z Francją i papiestwem, potrzebował pieniędzy na wojnę. Bona pożyczyła mu gigantyczną sumę 430 tysięcy dukatów, odpowiednik kilkuletniego dochodu skarbu królewskiego w Polsce" (Nowak, 2019). Wierzytelność ta znana jest historii jako „sumy neapolitańskie". I – jak to bywa w życiu – pożycza się łatwo, ale niechętnie oddaje. Fałszywy Pappacoda, licząc na nagrodę od cesarza, którą później notabene otrzymał, wraz z lekarzem królowej przygotowali truciznę zwaną we Włoszech proszkiem lub balsamem św. Mikołaja. Medyk, Włoch di Matera (Macerata) – jak widzimy na obrazie – podaje monarchini kielich z napojem, twierdząc, że to lekarstwo. Jednak Bona jest nieufna i każe mu najpierw samemu część wypić. Medyk wychyla więc truciznę, a ona pije po nim całą resztę. On umiera, ponieważ chytry Pappacoda nie pozwala wypić mu przygotowanej wcześniej odtrutki, natomiast Bona przeżywa.

> W sposób nagły odeszli z tego świata również paź królowej, majordom **oraz pisarz, który przygotował pierwszą wersję testamentu**

Uważa się, że podtruwano ją już od kilkunastu dni. „Uległa tajemniczej chorobie 8 listopada 1557 r. Mimo opieki sześciu lekarzy stan jej pogarszał się gwałtownie" (Bogucka, 1989). 17 listopada Bona podpisuje pierwszy testament, oczywiście sporządzony przez Pappacodę, w którym praktycznie nic nie pozostawia Zygmuntowi Augustowi. Choć bardzo cierpiąca i słaba, to jednak przypomina sobie następnego dnia, że podpisała dokument. Zmienia go natychmiast w obecności świadków, a dziedzictwo swoje, wraz z prawem do odebrania udzielonej Habsburgom pożyczki, zapisuje jedynemu synowi. Uważa się również, że podano jej później w posiłku drugą część trucizny (miał to uczynić kucharz królowej, który także natychmiast zmarł).

W sposób nagły odeszli z tego świata również paź królowej, majordom oraz pisarz, który przygotował pierwszą wersję testamentu. Pappacoda nie zostawiał świadków. Pisarz sporządzający drugą wersję testamentu zdążył ze strachu zbiec z jego oryginałem. Ta wersja po ponad roku trafia w ręce Zygmunta Augusta. Rozpoczyna on „dyplomatyczną batalię o odzyskanie sum neapolitańskich i praw do księstw włoskich. Udało się tylko odebrać 100 tys. dukatów od Królestwa Neapolu. W polskiej, przybranej ojczyźnie dziedziczki Bari pozostało

eprasa.pl 16949dbbda

poczucie, że Rzeczpospolita została w jakiś sposób wyzyskana, oszukana" (Nowak, 2019). Księstw Bari i Rossano nie udało się odzyskać. Potem przez kilka wieków, aż do końca Rzeczypospolitej szlacheckiej, polscy dyplomaci usiłowali odzyskać ową pożyczkę, jednak to już całkiem inna historia, wychodząca poza ramy opisywanego obrazu. Na płótnie widzimy tylko moment podania trucizny.

Ograbiony syn

Matejko, choć był wówczas na samym początku swojej drogi artystycznej, dobrze już przyswoił sobie zasady kompozycji historycznej. Skupił się na tym, co jest kluczowe dla opisania okoliczności, w których uśmiercono królową – na podaniu kielicha z trucizną, zbyt usłużnym ukłonie lekarza i podejrzliwości królowej. Jest tu także zaufana dwórka Maryna z niespokojnymi oczami, którą bardziej interesują leżące na stoliku kosztowności. Są również stający za kotarą dworzanie, przyglądający się temu wydarzeniu. Czyżby wszyscy wiedzieli, co się dzieje? Gdy patrzymy na obraz, mamy wrażenie, że jesteśmy w teatrze i oglądamy jedną ze scen. I jeszcze scenografia. Artysta nie zaniedbuje form zewnętrznych ówczesnego życia. Odmalował dokładnie wszystkie meble, szaty, czy kosztowności, by odpowiadały realiom epoki. Już na początku swojej twórczości był perfekcjonistą.

Bona umarła następnego dnia po podpisaniu drugiego testamentu, o godz. 4 19 listopada 1557 r. Królowa jednego z najpotężniejszych krajów ówczesnej Europy odeszła w straszliwych bólach, w samotności. Czuwała przy niej tylko jedna osoba – jej spowiednik. Służba w tym czasie rabowała, co się da. Ciało jej pani zostało złożone do prostej, sosnowej trumny i pochowane w zakrystii katedry w Bari. Dopiero wiele lat później, w 1593 r., dzięki córce Annie Jagiellonce wzniesiono sarkofag i ostatecznie królowa Bona spoczęła w grobowcu w bazylice św. Mikołaja w Bari. Jak pisał Paweł Jasienica: „Bona zmarła [...] otruta przez zausznika Habsburgów. Generalnym spadkobiercą uczyniła Zygmunta Augusta, który poprzednio działał przeciwko matce, uważał ją za osobistość zdolną do wszystkiego, nawet do zadawania jadu, i głośno o tym rozprawiał [...]. Niewdzięczność i potwarze – oto nagrody za usługi, które znakomita Włoszka świadczyła Polsce przez lat czterdzieści".



Grobowiec Bony w bazylice św. Mikołaja w Bari FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PORCULLUS MAREK POSTAWKA

Gdy 15 lat później umierał syn Bony, król Zygmunt August, doszło do podobnych wypadków. Choć współcześni historycy nie są tego pewni, to wówczas mówiło się, że jego najbliższe otoczenie, tzw. Sokoły, rzuciło się na kosztowności i grabiło, co tylko miało wartość, nie przejmując się konającym, osamotnionym królem. I również okolicznościami zgonu syna Bony zainteresował się Jan Matejko, malując obraz „Śmierć Zygmunta Augusta w Knyszynie".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Bogucka M., ***„Bona Sforza"****, Warszawa 1989; Urbański M.*, ***„Poczet królowych i żon władców polskich"****, Warszawa 2006; Nowak A.*, ***„Dzieje Polski"****, t. 4, Kraków 2019; Szypowska M.*, ***„Jan Matejko wszystkim znany"****, Warszawa 1985; Wójcik-Góralska D.*, ***„Niedoceniana królowa"****, Warszawa 1987.*

eprasa.pl 16949dbbda

XVII–XVIII w. / Niderlandy duszą Polaków i Litwinów

Holenderski oprawca Rzeczypospolitej



Wojciech Gerson „Handel gdański” FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W POZNANIU



Jakub Wozinski

Skupiając uwagę na zaborcach, zapominamy, że ogromny wpływ na gospodarczy, a w konsekwencji również polityczny upadek Rzeczypospolitej Obojga Narodów miały Niderlandy

Do grona największych wrogów polsko-litewskiego państwa zalicza się tradycyjnie Prusy, Rosję, Turcję i Szwecję. W dziele demontażu polskiej państwowości wzięła także udział Austria, choć wcześniej występowała na ogół w roli sojusznika. Na terytorium Rzeczypospolitej wdzierały się na przestrzeni kilkuset lat także wojska siedmiogrodzkie, zagony tatarskie czy też oddziały kozackie, lecz jak Polska długa i szeroka, jej granic nigdy nie sforsował choćby skromny korpus wojsk niderlandzkich (nie licząc oczywiście najemników w obcej służbie).

Niezrozumienie roli Holandii w doprowadzeniu do ostatecznej katastrofy rozbiorów wynika wprost z nieuwzględnienia czynników natury gospodarczej, handlowej i finansowej. W naszej zbiorowej świadomości historycznej funkcjonuje głównie obraz Polski jako państwa nieszczęśliwie położonego na wielkiej środkowoeuropejskiej równinie, ułatwiającej przemarsze wielkich armii ze wschodu na zachód lub w przeciwną stronę. Równocześnie jednak zupełnie nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak wielki wpływ na nasze dzieje miały (i nadal mają) szlaki handlowe łączące ze sobą Wschód z Zachodem, które okresowo przebiegały przez rodzime terytorium. Dopiero uważne zbadanie naszych dziejów uświadamia nam, że w krytycznym dla polskiego państwa okresie Holandia miała największy udział w odcięciu nas od międzynarodowej wymiany handlowej i skazaniu na powolną gospodarczą agonię. Holenderskie państwo i elity użyły całego arsenału środków, aby pogrążyć Rzeczpospolitą, i niestety ich działania były bardzo skuteczne.

Udane początki

Jeszcze w średniowieczu mogło się wydawać, że Polska i Holandia są wręcz

eprasa.pl 16949dbbda

skazane na bliską i obopólnie korzystną współpracę. Od czasu, gdy w połowie XIII w. przez Wisłę zaczęto na dużą skalę eksportować zboże i drewno, znaczna ich część trafiała do portów Flandrii. Gdy zaś nieco później za sprawą włoskich kolonii nad Morzem Czarnym przez Polskę zaczęły dodatkowo przebiegać północne odnogi jedwabnego szlaku, można już było mówić o współpracy na dużą skalę.

Współdziałanie to zakłócało jednak istnienie wspólnych wrogów: Holandia mozolnie zrzucała przez dziesięciolecia jarzmo dominacji Hanzy, a Polska – współpracującego blisko z hanzeatami zakonu krzyżackiego. W połowie XV w. Holendrom udało się wreszcie ograniczyć wpływy Hanzy i uzyskać swobodę dla swoich statków przepływających przez duńskie cieśniny, natomiast Kazimierz Jagiellończyk w następstwie niezwykle kosztownej wojny trzynastoletniej formalnie odzyskał Pomorze Wschodnie wraz z Gdańskiem. Na gruzach krzyżacko-hanzeatyckiej dominacji w regionie bałtyckim miał odtąd zostać zbudowany nowy układ sił, w którym wiodącą rolę odgrywaliby wspólnie holenderscy kupcy oraz formalnie podległy Polsce Gdańsk.

Ten nowy porządek dość szybko okazał się jednak pozbawiony należytej symetrii między partnerami. Polska niezwykle boleśnie odczuła konsekwencje podbojów tureckich, które stopniowo zlikwidowały handel tranzytowy ze wschodu na zachód prowadzący od wybrzeży Morza Czarnego aż do ujścia Wisły lub ku miastom Rzeszy. Port nad Motławą, przez który wcześniej przechodziły towary wschodnie, wyspecjalizował się więc stopniowo w eksporcie pszenicy, drewna i towarów leśnych. Nie pomogła także katastrofa węgierskiego państwa, które w następstwie tureckich inwazji i podupadnięciu tamtejszych kopalń przestało korzystać z Polski jako swojego handlowego okna na świat.

Zupełnie inaczej przedstawiała się z kolei sytuacja w Holandii, która po upadku handlu kontynentalnego z Bliskim Wschodem i Orientem znacznie zyskała na zwróceniu szlaków handlowych ku Atlantykowi. W efekcie holenderskie porty stały się wielkimi centrami handlu kolonialnego, wzmocniły pełnioną przez siebie funkcję rynków finansowych oraz budowały jeszcze więcej statków niż kiedykolwiek. Już pod koniec XVI w. Holendrzy mieli do dyspozycji na Bałtyku 600–800 statków handlowych, Gdańsk zaledwie kilkadziesiąt.

Holandia miała pierwotnie przynieść Polsce ulgę od panoszącej się na północy kontynentu przez kilka wieków Hanzy, ale okazała się jeszcze bardziej zaborcza niż ona. Narastająca z każdym rokiem dysproporcja finansowa i handlowa między portami flandryjskimi a Gdańskiem sprawiała, że stolica Pomorza stała się ostatecznie holenderską kolonią.

Punktem zwrotnym w relacjach polsko-holenderskich okazała się jednak rewolucja protestancka. Holandia, która znajdowała się na początku XVI w. pod władaniem Habsburgów, stała się dość szybko jednym z najbardziej zbuntowanych regionów imperium zarządzanego z Półwyspu Iberyjskiego. Bunt ten, jak większość tego rodzaju wydarzeń w dziejach, miał także istotne podłoże ekonomiczne. Antwerpia, Brugia czy Gandawa stanowiły najważniejsze ośrodki handlowe Europy, w których cesarze i królowie zapożyczali się m.in. na potrzeby wojen. Transporty srebra z Nowego Świata przez porty w Lizbonie i Sewilli trafiały ostatecznie właśnie do Holandii, której elity chciały się wyemancypować spod dominacji katolickich władców.

W 1568 r. wybuchła mająca trwać aż 80 lat wojna holendersko-hiszpańska, która tylko pozornie miała dla Rzeczypospolitej niewielkie znaczenie, gdyż rozgrywała się z dala od naszych granic i dotyczyła w gruncie rzeczy dominacji w światowym handlu. Dla zbuntowanych przeciwko Habsburgom i papieżowi nizinnych prowincji polsko-litewskie państwo miało jednak wyjątkowe znaczenie, ponieważ głównym źródłem dochodów dla Holendrów stał się zakrojony na dużą skalę handel bałtycki. Polityczni i gospodarczy liderzy Niderlandów określali go nawet mianem „matki wszystkich handlów", ponieważ zapewniał szczególnie wysoki zwrot z zainwestowanego kapitału. Działo się tak, gdyż pełniący w Rzeczypospolitej rolę faktycznej V kolumny Gdańsk w oparciu o uzyskany jeszcze od Kazimierza Jagiellończyka przywilej nie dopuszczał Polaków do pośrednictwa w handlu, a jedynie swoich obywateli, wśród których znajdowało się wielu przedstawicieli holenderskich kupieckich rodów.



Job Adriaenszoon Berckheyde „Giełda w Amsterdamie"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSEUM BOIJMANS VAN BEUNINGEN

Sprawowany przez Gdańsk monopol na eksport towarów drogą morską (zagrożony jedynie okresowo przez Anglików współpracujących z Elblągiem) był odpowiednikiem hiszpańskiej „góry srebra" w Potosi. Sprowadzając na swoich statkach potrzebne na zachodzie Europy zboże, a także dziegieć, smołę czy len, bez których niemożliwe było utrzymanie floty opływającej cały glob, Holendrzy pozyskiwali z handlu z Polską znaczny kapitał także dlatego, że przybywająca na barkach ze swoją pszenicą szlachta nabywała od razu w Gdańsku sprowadzane przez niderlandzkich handlarzy towary kolonialne i dobra luksusowe.

Z oczywistych względów bogactwo Gdańska i jego holenderskich panów było jednocześnie nędzą reszty kraju: polskie miasta, pozbawione tak znacznych przywilejów, zaczęły stopniowo podupadać. Walnie przyczyniła się do tego skupiona na produkcji zbóż szlachta, która stopniowo pozbawiła mieszczaństwo wpływu na państwo. Stan szlachecki w wiekach XVI–XVII miał zresztą dodatkowy powód, aby sprzyjać Holendrom i Gdańskowi – w większości był antyhabsburski. Dodatkowo holenderscy kupcy upowszechnili system wysokooprocentowanych zaliczek na zboże dla szlachty, który zapewniał im krociowe zyski.

Gdański problem

Uczciwie prowadzony handel to sytuacja typu „win-win", korzystna dla obu stron dokonywanych transakcji. W relacjach gospodarczych między Holandią a Rzecząpospolitą oczywistym przegranym było polskie państwo,

eprasa.pl 16949dbbda



Izaak van den Blocke „Apoteoza Gdańska" FOT.WIKIPEDIA

które stało się faktycznym niewolnikiem Gdańska oraz jego niderlandzkiego patrona. Podporządkowani holenderskiemu kapitałowi gdańszczanie skutecznie przekupywali latami szlachtę, aby ta nie naruszała jego przywilejów oraz działała na korzyść obozu antyhabsburskiego.

Stanowiący holenderską ekspozyturę wpływów w regionie Gdańsk przy każdej nadarzającej się okazji torpedował wszelkie inicjatywy na rzecz zbudowania polskiej floty. Jej utworzenie było zaś absolutnie niezbędne do tego, aby Polska przestała być uzależniona od produkcji zboża, dominacji szlachty oraz by mogła wziąć udział w ekspansji kolonialnej oraz ożywić swoje miasta handlem innymi towarami niż tylko produktami rolno-leśnymi.

Gdy w 1568 r. Zygmunt August utworzył Komisję Morską, a w 1570 r. weszły w życie Statuty Karnkowskiego, pozwalające polskiemu królowi na czerpanie dochodów celnych u ujścia Wisły, Gdańsk zareagował jak rasowy sabotażysta. W czasie stoczonej w latach 1576–1577 regularnej wojny z Rzecząpospolitą Gdańsk uzyskał kluczowe wsparcie od blisko współpracującej z Holandią Danii. Przy okazji kolejnych prób podporządkowania sobie miasta, mających miejsce głównie w czasach rządów Zygmunta III Wazy, interweniowały już bezpośrednio sama Republika Zjednoczonych Prowincji lub opłacane przez nią szwedzkie wojska (które były w XVII w. głównym odbiorcą holenderskich subsydiów).

Jak już wspomniano, istotnym czynnikiem wpływającym na to, że Holandia prowadziła w wiekach XVI–XVII niezwykle szkodliwą dla Polski politykę, były różnice religijne. Oba kraje należały do wrogich sobie obozów, które aż do zakończenia wojny trzydziestoletniej prowadziły śmiertelny spór o dominację. Po ogłoszeniu w 1581 r. niepodległości Holandia była najzamożniejszym reprezentantem obozu protestanckiego, który we współpracy z Turcją starał się nieustannie tłamsić kraje podporządkowane Habsburgom oraz Rzeczpospolitą – zarówno na polach bitew, jak i w dziedzinie handlowej. Imperium osmańskie stworzyło dla całego świata katolickiego dość szczelną barierę rozciągającą się od północnych wybrzeży Afryki aż do Kaukazu, większe wyjątki czyniąc jedynie dla protestanckich kupców. W tej sytuacji dla Polski, Austrii i innych krajów katolickich jedynym ratunkiem było wywalczenie sobie dostępu do szlaków morskich. Jednak górująca finansowo już od schyłku XVII w. nad całą resztą kontynentu Holandia skutecznie torpedowała wszelkie inicjatywy w tym zakresie.

Wzmacnianie wrogów

Aby zachować dobrą opinię kraju skupionego na handlu, Holandia przez większość XVII w. wyręczała się w tym dziele Szwedami. Za sprawą holenderskiego kapitału ów ubogi wcześniej kraj stał się siejącym postrach najemnikiem oraz zdołał stworzyć własny przemysł umożliwiający zbrojenia na dużą skalę. Szwedzkie podboje, w tym przede wszystkim decydujące włączenie się do wojny trzydziestoletniej oraz potop, nie byłyby nigdy możliwe bez udziały Holendrów.

Holandia miała także wielki udział we wzmocnieniu pozycji Rosji. Holendrzy pod koniec XVI w. wyparli Anglików z pozycji lidera handlu z północną częścią Rosji przez Archangielsk. To właśnie dzięki istnieniu tego szlaku odepchnięta od Bałtyku Rosja mogła nieustannie nabywać uzbrojenie i sprowadzać specjalistów potrzebnych do budowy manufaktur, kopalń, a później tworzenia floty. Państwo carów nie przetrwałoby zapewne wielkiej smuty bez pomocy Holendrów, którzy pomagali organizować wojsko zaciężne walczące z Polakami w dobie dymitriad.

Współpraca Holendrów z Rosją nie była czymś doraźnym, lecz głęboko przemyślaną strategią mającą na celu powstrzymywanie rozwoju państw katolickich w Europie (w tym przede wszystkim Rzeczypospolitej) oraz sposobem na podtrzymanie prymatu handlu atlantyckiego. Stale zmagająca się z Rosją, Turcją i ze Szwecją Rzeczpospolita nie mogła nawet marzyć o tym, aby odtworzyć szczególnie korzystny dla niej układ gospodarczy z wieków XIV–XV, gdy szlaki handlowe przebiegały bez zakłóceń przez Kraków, Lwów, włoskie kolonie nad Morzem Czarnym i dalej ku Persji, krajom Lewantu czy Indiom. Kolejne najazdy, wojny czy powstania kozackie sprawiły, że wycieńczona zmasowanymi atakami Rzeczpospolita ostatecznie załamała się i od drugiej połowy XVII w. była państwem na tyle osłabionym, iż jej ostateczna klęska była już tak naprawdę przesądzona.

O wadze holenderskich intryg wobec polsko-litewskiego państwa wiele mówi także to, że podejmowane przez Królestwo Hiszpanii w czasie rządów Filipa II (1556–1598) i Filipa III (1598–1621)

eprasa.pl 16949dbbda

wysiłki na rzecz poskromienia Holandii skupiały się z upływem czasu coraz bardziej na próbie przeprowadzenia skoordynowanej akcji przy pomocy Polski lub innego partnera na północy kontynentu. Zaangażowany w ten projekt król Zygmunt III Waza zdołał na przełomie lat 20. i 30. XVII w. stworzyć niewielką eskadrę okrętów, które przebywały w Wismarze w oczekiwaniu na wspólny atak razem z flotami hiszpańską i cesarską. Plany te nigdy nie doczekały się realizacji, ale podejmowane na przestrzeni kilkudziesięciu lat starania polskiego monarchy pokazują wyraźnie, jak wielkie nadzieje wiązał z pokonaniem Holandii i „udrożnieniem" północnych mórz dla swobodnej działalności państw katolickich.

Decydujący cios

Szczególną rolę Holandii w dziele demontażu Rzeczypospolitej najłatwiej zauważyć poprzez to, że gdy w połowie XVII w. gwałtownie załamała się potęga i gospodarka polskiego państwa, nasi przyszli zaborcy wcale nie byli jeszcze tak potężni. Państwo Hohenzollernów urosło w siłę dopiero w następstwie katastrofy potopu, a Rosja awansowała do rangi prawdziwego imperium dopiero w czasie wojny północnej. Na kolana Rzeczpospolitą sprowadził w gruncie rzeczy rozpad obozu katolickiego, który dokonał się wraz z podpisaniem kończącego wojnę trzydziestoletnią pokoju westfalskiego w 1648 r. To właśnie od tego momentu upatrująca w nas wcześniej na ogół sojuszników Austria przestała mieć tak duże względy na kwestie religijne i naszą niepodległość, co ostatecznie zaowocowało wzięciem przez nią udziału w I i III rozbiorze. Jedną z głównych sił napędowych procesu demontażu obozu katolickiego, który miał tak wielkie znaczenie dla bezpieczeństwa Polski, była oczywiście Holandia, w której w XVI w. wielką karierę zrobiło hasło: „Liever Turks dan Paaps" (Raczej turecki niż papieski). Wyrażało ono powszechne wśród protestantów przekonanie, że w celu zniszczenia papistowskiego świata celowe jest nawiązanie bliskiej współpracy ze światem muzułmańskim. Działalność posłów holenderskich na stambulskim dworze sprowadzała się latami głównie do koordynowania kolejnych ataków na katolickie kraje.

Szczególnie aktywną na tym odcinku grupą mieszkańców Holandii byli Żydzi sefardyjscy, którzy w następstwie rekonkwisty rozproszyli się z Półwyspu Iberyjskiego po całej Europie. Na największe swobody mogli liczyć w Holandii i Turcji, które połączyła w ten sposób ważna wspólnota interesów i kontaktów handlowych. Sefardyjczycy żywili szczególną niechęć wobec Królestwa Hiszpanii, lecz aktywnie przeciwdziałali całemu katolickiemu światu, oskarżając go o brak tolerancji oraz przypisując inkwizycji niezliczone zbrodnie. W wiekach XVI i XVII fortuny rozsianych po całej Europie „Conversos" zaliczały się do największych na kontynencie i miały znaczny wpływ m.in. na rozwój Hamburga, który przejmował stopniowo rolę, którą dla całej Europy Środkowej pełnił wcześniej Gdańsk.

W XVIII w. palmę pierwszeństwa w dziedzinach handlowej i gospodarczej przejęła po Holandii Anglia. Pomimo tego Amsterdam odgrywał wciąż rolę jednego z głównych ośrodków pożyczkowych, z którego w znacznym zakresie korzystali nasi zaborcy. Zapożyczali się tu obficie m.in. król Prus Fryderyk II oraz caryca Katarzyna II, której w obliczu rosnących kosztów zadłużenia tamtejsi bankierzy zaproponowali nawet w 1794 r. (zakładającą ostateczną likwidację polskiego państwa) opcję konwersji długu na niższy procent przy jednoczesnym przejęciu zobowiązań króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Oferta ta została oczywiście wykorzystana.



Pieczęć Gdańska

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Działania Holandii podejmowane na szkodę Rzeczypospolitej były zawsze bardziej subtelne niż wielkie najazdy Moskali czy też wrogie przedsięwzięcia ze strony Prus. Polska i Holandia nie miały nigdy żadnych sporów terytorialnych, a skromnej pod względem ludności i zajmowanego obszaru nizinnej republice nie zależało nigdy na bezpośrednim wtargnięciu na terytorium dużo większego od siebie kraju. Jako państwo kupieckie Holandia opierała się zawsze na instrumentach nacisków ekonomicznego i finansowego, a do działań wojennych używała często sił najemnych (w ten sam sposób Wielka Brytania opłacała w XVIII w. wojska z Hesji oraz wypłacała subsydia Prusom). Jej wpływ na sytuację wewnętrzną i pozycję międzynarodową Polski był tym samym decydujący dla jej przyszłych losów, gdyż dotyczył wielkich rozgrywek geopolitycznej, gospodarczej i religijnej na kontynencie.

Holandia, opierając się na Gdańsku, perfekcyjnie wykorzystała świetną koniunkturę na zboże, zapewniając sobie krociowe zyski i zabezpieczenie w czasie niezwykle wymagającego konfliktu z Hiszpanią. W zdominowanej przez antyhabsburską szlachtę Polsce okoliczność ta nie została niestety zinterpretowana jako śmiertelne niebezpieczeństwo, lecz jako powód do dumy i wspaniała okazja do zarobku. Dochodowy handel zbożem stał się rodzajem listka figowego skrywającego latami złożony problem natury handlowej, geopolitycznej i finansowej, zagrażający samym fundamentom polskiego państwa. Nie zaradziwszy mu w porę, Rzeczpospolita znalazła się w połowie XVII w. w śmiertelnej pułapce, z której nie zdołała już się później wydostać.

W szwedzkich skarbcach i muzeach do dziś znajdują się kosztowności zrabowane w czasie najazdów z XVII w. Holandia nie może się poszczycić tego rodzaju przedmiotami, lecz w krytycznym dla całych naszych dziejów momencie odebrała nam coś dużo bardziej cennego: szanse na rozwój gospodarczy, rozkwit miast i handlu, a w konsekwencji także na naprawę ustroju oraz państwa i uniknięcie wielu późniejszych nieszczęść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 16949dbbda

Fragment książki / „Niezwykła Toskania. Sztuka, krajobrazy i antipasti”



Panorama San Gimignano
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WIKIROMAWIKI

Manhattan średniowiecza



Sławomir Koper

Pierwsze zetknięcie z miastem jest zaskakującym przeżyciem. W pewnym momencie na horyzoncie pojawiają się wysokie budowle przypominające wieżowce i dopiero po chwili uzmysławiamy sobie, że to przecież toskańska prowincja i na pewno nie są to drapacze chmur

Hipoteza, że drogi w Toskanii wytyczano ze względu na ich walory widokowe, sprawdza się w przypadku miasteczka nazywanego Manhattanem średniowiecza. San Gimignano liczy obecnie niespełna 8 tysięcy mieszkańców, ale zachowało charakter sprzed wieków, co zawdzięcza 14 wieżom mieszkalno-obronnym wzniesionym w obrębie murów miejskich. Budowle wyglądają bowiem identycznie jak te, które w średniowieczu dominowały w architekturze włoskich miast.

Nie była to zbyt bezpieczna epoka: ciągłe wojny, najazdy obcych wojsk, napady rabunkowe czy bunty pospólstwa. Najbogatsi próbowali zabezpieczyć siebie i rodziny, a przy okazji podkreślić swoje znaczenie. Stąd też pomysł budowy kamiennych wież obronno-mieszkalnych, które miały zapewnić bezpieczeństwo. Na ich dolnych kondygnacjach w ogóle rezygnowano z otworów okiennych, a po wciągnięciu drabin zapewniających komunikację między piętrami budowla stawała się twierdzą trudną do zdobycia. Nie znano jeszcze artylerii, a kamień jest materiałem mało palnym, zatem przy odpowiednich zapasach żywności i wody mieszkańcy mogli przetrwać tam przez wiele tygodni.

San Gimignano powstało jeszcze w czasach etruskich, a swoją średniowieczną pozycję zawdzięczało położeniu na szlaku pielgrzymkowym zwanym Drogą Franków (Via Francigena). Był to jeden z najważniejszych szlaków religijnych epoki ciągnący się od angielskiego Canterbury do Rzymu. Liczył ponad 1600 kilometrów, a jego najbardziej uczęszczanym fragmentem był odcinek prowadzący przez dzisiejszą Francję – stąd też wzięła się nazwa całej drogi.

Dokładny przebieg szlaku znamy dzięki zapiskom brytyjskiego biskupa Sigerica, który w 990 roku udał się do Rzymu, by odebrać paliusz metropolity angielskiego. Duchowny rozpoczął swoją

eprasa.pl 16949dbbda

podróż w Canterbury, cała wyprawa trwała 81 dni, a 62. nocleg wypadł mu właśnie w San Gimignano.



Dolina Val d'Orcia w Toskanii o wschodzie słońca FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GIUSEPPE PARIS

Przerost ambicji

Pierwsze zetknięcie z miastem jest zaskakującym przeżyciem. W pewnym momencie na horyzoncie pojawiają się wysokie budowle przypominające wieżowce i dopiero po chwili uzmysławiamy sobie, że to przecież toskańska prowincja i na pewno nie są to drapacze chmur. Zbliżając się do miasteczka, można dostrzec więcej szczegółów – widać już, że wieże powstały na czworokątnych podstawach, a większość z nich jest zbliżonej wysokości. Nie brakuje jednak także zdecydowanie niższych budowli, a cechą charakterystyczną dla wszystkich jest niewielka liczba otworów okiennych.

Pierwszą wieżę (Torre Rognosa) wybudowano około 1200 roku jako część ratusza miejskiego. Mierzy 51 metrów, a o trzy metry przewyższa ją późniejsza o stulecie Torre Grossa będąca elementem nowego magistratu Palazzo Comunale. Specjalny dekret rady miejskiej regulował, że wieże wznoszone przez mieszkańców nie mogą być wyższe od magistrackich, a gdy zamożne miejscowe rody usiłowały złamać ten przepis, nakazywano im rozbiórkę górnych kondygnacji.

Wież było tu kiedyś aż 72, ale większość z nich uległa zniszczeniu z powodu niezbyt stabilnego podłoża. Patrząc na dzisiejszą panoramę San Gimignano, trudno wręcz uwierzyć, że tak kiedyś wyglądały włoskie miasta. Tylko że we Florencji, w Sienie czy Pizie w czasach renesansu wieże przebudowywano na pałace, natomiast w San Gimignano nadal trwało średniowiecze. Do połowy XIV wieku miasto bogaciło się na ruchu pielgrzymkowym oraz dzięki uprawom krokusa, z którego pozyskiwano najdroższą przyprawę Europy – szafran.

Kres świetności miasta przyniosła katastrofalna epidemia dżumy, która wybuchła w 1348 roku i w ciągu kilku lat uśmierciła jedną trzecią ludności kontynentu. W niektórych włoskich ośrodkach zmarły aż trzy czwarte społeczeństwa, co zadecydowało o ich upadku gospodarczym. Należało do nich między innymi właśnie San Gimignano, które stało się zależne od Florencji i w niczym już nie przypominało dawnego, zamożnego grodu. Z tego też powodu przetrwały tu kamienne wieże, gdyż ich właścicieli nie było stać na renesansowe pałace. Z letargu wyrwało miasteczko dopiero zjednoczenie Włoch w drugiej połowie XIX wieku.

Italia przyciągała coraz więcej turystów z Europy. W ten sposób zapomniane przez Boga i ludzi San Gimignano stało się jedną z atrakcji Półwyspu Apenińskiego. Popularność grodu wzrastała z każdym rokiem – jest bowiem niepodobny do żadnego z innych włoskich miast. W efekcie w 1990 roku zabytkowe centrum wpisano na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Zachwyt Rosjanina

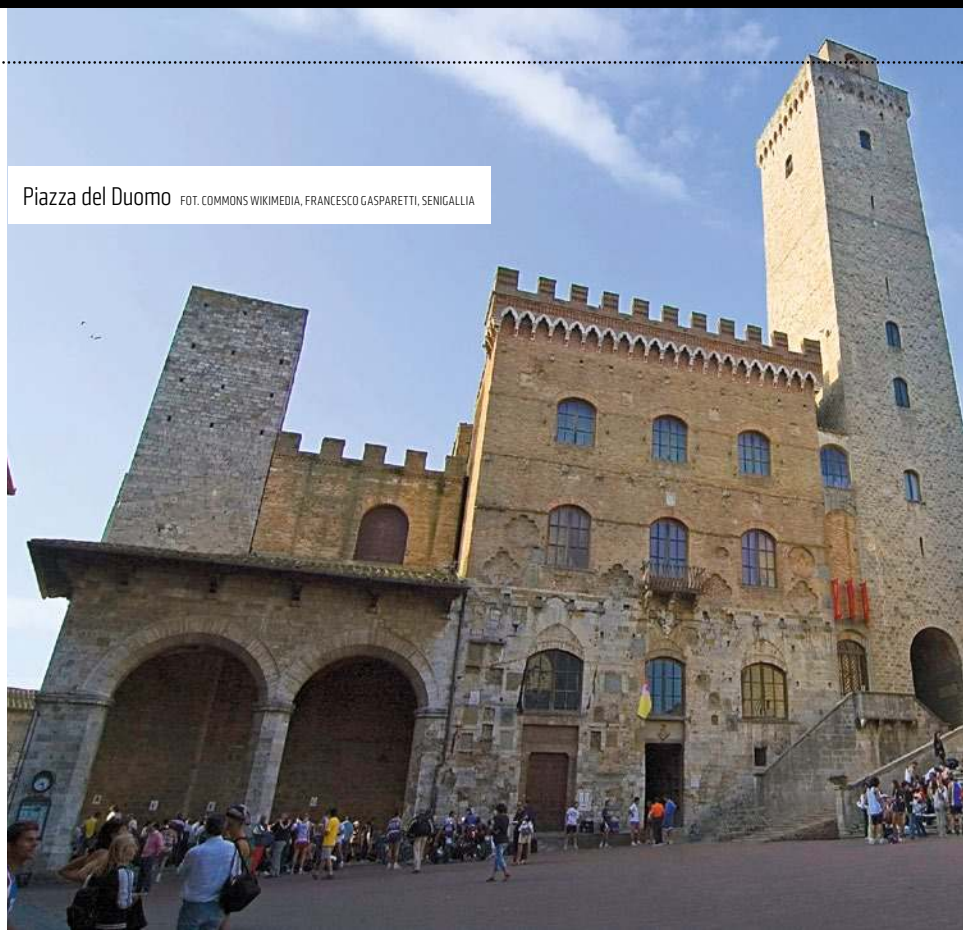
San Gimignano nie mógł pominąć zagorzały wielbiciel Italii, Paweł Muratow. W „Obrazach Włoch" poświęcił miasteczku dłuższy rozdział, opisując swoją wizytę u schyłku belle époque. Trafił tam późną jesienią, docierając ze Sieny do „niewielkiej stacyjki Poggibonsi", by następnie przesiąść się do bryczki. Jesienne krajobrazy wywarły na nim ogromne wrażenie, a ich opis do dzisiaj fascynuje.

Była to Toskania sprzed pierwszej wojny światowej, gdy jeszcze nie zadeptywały jej miliony turystów z całego świata. Inna sprawa, że miejscowa prowincja nawet późną porą roku może urzekać, chociaż osobiście wolę toskańską wiosnę.

„Jesień, wiejska pora roku […] – relacjonował Muratow – kryje w swoim łonie głębię i czystość życia. Ale tutejsza wieś jest obdarzona delikatną duszą artysty. Gleba tu ma nasyconą, bogatą barwę głębokiego brązu. I nie ma nic szlachetniejszego nad srebrzystą zieleń oliwek i brązowe cienie na więdnących wzorzystych liściach winogradu […]. Horyzont Toskanii zawsze jest obwiedziony biegnącymi jedna za drugą delikatnymi liniami niewysokich wzgórz […]. Świat jest tu taki, jakim go stworzył Bóg, który podarował ludziom obficie rodzące drzewa, wino oraz zboże i nie tylko zapowiedział im, że będą pracowali w pocie czoła, lecz także dał im mocne, jak jesienne powietrze rubaszne uciechy oraz jasny, subtelny geniusz artystyczny".

Okolice San Gimignano faktycznie są wyjątkowo urokliwe, a zbliżając się do miasteczka samochodem, w pełni można docenić ich piękno. Nie wiem, którędy ostatecznie dotarł tutaj Rosjanin, ale ja również jechałem ze Sieny i mijałem Poggibonsi. Obecnie jest to ponad 20-tysięczne miasto z kilkoma znaczącymi zabytkami, wśród których znajduje się wieża mieszkalno-obronna z XIII wieku

eprasa.pl 16949dbbda



Piazza del Duomo FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FRANCESCO GASPARETTI, SENIGALLIA

(Torre del Podestà). Ale jedna wieża to nie 14, zatem bez żalu odłożyłem bliższe oględziny Poggibonsi na inną okazję.

Choć był początek lipca, to wczesnym rankiem upał nie dawał się jeszcze we znaki. Dojeżdżając do San Gimignano, nie zauważyłem specjalnego tłoku, a parkingi w pobliżu miejskich murów świeciły pustkami. Bez problemu pozostawiłem więc samochód na placu położonym najbliżej zabytkowego centrum i przez jedną z bram (Porta San Giovanni) zanurzyłem się w przeszłość [...].

„Wjechaliśmy w starą bramę – zwierzał się Rosjanin [...] – i mijając pustą, ze średniowiecznym niedbalstwem wybrukowaną ulicę, zatrzymaliśmy się przed małym prowincjonalnym albergo [gospodą]. Czekało nas tu miłe, znajome wnętrze na poły wiejskiego zajazdu. Odpoczęliśmy w wielkiej wybielonej izbie, ogrzaliśmy się u komina, a potem zjedliśmy śniadanie w towarzystwie oficera, który znalazł się tutaj służbowo, oraz młodego francuskiego malarza przybyłego na plener. Kiedy wyszliśmy, na ulicy było cicho i pusto, tylko w jednym oknie pokazała się czyjaś twarz, ktoś chciał popatrzeć na przyjezdnych. Za tymi pociemniałymi murami, które przetrwały już stulecia, życie toczy się tak, że niekiedy jego nurt staje się wprost niewidoczny".

Niestety, obecnie można już tylko pomarzyć o podobnej intymności zwiedzania, choć – oczywiście – późną jesienią czy wczesną wiosną turystów jest tu znacznie mniej. Natomiast latem pozostaje wizyta o poranku, zanim na okolicznych parkingach pojawią się dziesiątki samochodów i autokarów. Co prawda, zorganizowane grupy turystyczne z reguły są karne i skoncentrowane na swoich przewodnikach, ale ich liczba utrudnia dotarcie do niemal każdego interesującego miejsca.

Średniowieczna rywalizacja

[...] Paweł Muratow zachwycał się pustką San Gimignano, brak turystów docenił również malarz i rysownik Józef Rajnfeld. Ten syn niezamożnego żydowskiego sklepikarza z Warszawy uwielbiał Italię, a w San Gimignano znalazł to, co najbardziej kochał: dawną, oryginalną architekturę, rewelacyjne krajobrazy i – co najważniejsze – fantastyczne freski w kolegiacie Santa Maria Assunta. Uważał nawet, że są lepsze niż dzieła Giotta di Bondone z Florencji i Asyżu.

Rajnfeld po raz pierwszy pojawił się w miasteczku w lipcu 1931 roku i został tam przez kilka tygodni. Twierdził, że jest tak „pięknie, jak tylko można sobie wymarzyć", a w listach do Jarosława Iwaszkiewicza używał określeń z najwyższej półki („bajecznie", „cudownie", „wspaniale"). Zachęcał przyjaciela do przyjazdu, a przy okazji zauważał, że tubylcy są „najgłupszym", ale też „najsympatyczniejszym narodem w Europie". Dodatkowym plusem był fakt, iż życie w miasteczku było stosunkowo tanie.

Iwaszkiewicz nie dał się długo prosić, zresztą z Rajnfeldem łączyło go prawdopodobnie coś więcej niż tylko przyjaźń. Na miejsce dotarł autobusem z Florencji, a pojazd był pełen miejscowych, „których interesy polegają na kupieniu jednej gęsi na tydzień czy jednego wieprza na rok".

„Całe San Gimignano – opisywał skamandryta – jest zbudowane w stylu tej przedziwnej epoki. Całe jest jakąś dekoracją do dziejów, które przebrzmiały czy w ogóle nie nadeszły. Na placu przed katedrą wędrowne trupy śpiewacze dają czasami przedstawienia oper Rossiniego, ale nie dla tych przecie pełnych wdzięku utworów stworzyła średniowieczna rywalizacja te wieże, te mury".

Wprawdzie była to już inna epoka niż przed wybuchem pierwszej wojny światowej, ale w miasteczku czas się zatrzymał, a okoliczna ludność żyła tak, jakby od stuleci nic się tu nie zmieniło. Potężne wieże stały praktycznie opuszczone, „pomiędzy ich żółtymi kamieniami wyrosły graby i oliwki, a mieszkania pod wieżami zubożały i stały się puste".

„Nie, nie stały puste – prostował Iwaszkiewicz. – Zajęli je fryzjerzy. Pod każdą wieżą mieści się przynajmniej jeden salone, czyli zakład fryzjerski. Obok składów ze starym fajansem, ubogimi tekstyliami, batami i przyborami dla pięknych wołów sieneńskich, obok bud z owocami – wszędzie są barbieri. Ich zakłady, oddzielone od wąskiej uliczki frędzlowatą firanką, stoją zazwyczaj pustkami za dnia [...]. Dopiero wieczorem schodzą się wszyscy razem do jasno

eprasa.pl 16949dbbda



oświetlonych sklepów i przy ogólnym goleniu bród zaczynają się rozmowy o wszystkim, co stało się w ciągu upalnego dnia [...]. Przy okazji można nawet zrobić małą transakcję, tu kupić coś, tam usłyszeć o jakimś interesie. Do godziny dwunastej, gdy wszyscy już w całym paese [wieś] śpią, pełne są jeszcze golarnie niespokojnego, młodego elementu".

Coś w miastach włoskich pozostało z tego obyczaju do dzisiaj, ale już w formie atrakcji turystycznej. Wielokrotnie widywałem bowiem mobilne zakłady fryzjerskie pod murami zabytkowych kamienic, gdzie golenie przypominało celebrację ważnego obrzędu. Nie był to współczesny barber modelujący brodę, lecz dwóch cyrulików z namaszczeniem dokonujących skomplikowanego zabiegu. Delikwent w pozycji półleżącej na rozkładanym fotelu pod parasolem i archaiczne narzędzia z brzytwą na czele. Wprawdzie kosmetyków używano jak najbardziej współczesnych, ale namydlanie szczęki przypominało misterium. Patrzyłem na te zabiegi jak zahipnotyzowany, chociaż wiedziałem, że jest to tylko popis dla turystów – podobna atrakcja jak kataryniarz czy gadająca papuga.

Józef Rajnfeld odwiedził San Gimignano jeszcze dwa razy. Najdłużej przebywał tu w latach 1935–1937 – przez kilkanaście miesięcy. Radość obcowania z ulubionym miejscem zakłócały mu jednak problemy finansowe i paszportowe. Zapisał się nawet do Akademii Sztuk Pięknych we Florencji, by utrzymać włoską wizę, aczkolwiek raczej rzadko pojawiał się na zajęciach. Udało mu się opublikować kilka rysunków w stołecznym „Skamandrze", ale tak naprawdę żył z datków od przyjaciół i rodziny. Coraz gorzej dogadywał się też z Iwaszkiewiczem, któremu w listach zarzucał zbytnie zajmowanie się „warszawskimi sprawami". Miało go to odsuwać od pozycji niezależnego artysty, dla którego ojczyzną był cały świat.

Wieczór w pensione

[...] Mimo biedy i poczucia niezrozumienia Rajnfeld czuł się jednak na swój sposób szczęśliwy w San Gimignano. Tak przynajmniej można wywnioskować ze wspomnień Czesława Miłosza, który trafił tam wiosną 1937 roku. Znalazł plastyka bez większych problemów, chociaż nie znał jego adresu. Zresztą miasteczko



Józef Rajnfeld. Rysunek Romana Kramsztyka

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARTYZM.COM



SŁAWOMIR KOPER
„NIEZWYKŁA TOSKANIA. SZTUKA, KRAJOBRAZY I ANTIPASTI"
FRONDA

wydało mu się „jakby opuszczone przez mieszkańców", zatem nie miał problemu ze zlokalizowaniem przybysza znad Wisły.

Rajnfeld mieszkał w pensjonacie „za murami z jakimś jasnowłosym Anglikiem, też malarzem". Bez wątpienia stanowili parę, zwłaszcza że Miłosz po romansie z Iwaszkiewiczem i poznaniu warszawskiego środowiska gejowskiego bez problemu rozpoznawał symptomy homoseksualizmu.

„Pamiętam ten wieczór z Rajnfeldem i jego przyjacielem – wspominał przyszły noblista – w ogródku ich pensione. Piliśmy wino, patrząc w ciemność pełną świetlików latających nad parowem i nad winnicami. Rajnfeld, czarnowłosy, z okrągłą twarzą, wydawał mi się ujmujący i radosny. Właśnie ta radość i jakby nadmiar energii życiowej pozostały w moim wspomnieniu i później, podczas wojny, próbowałem sobie wyobrazić, co się z nim stało. Nawet mgliście sobie przypominam, myślałem, że jeżeli pozostał we Włoszech, to dobrze dla niego".

Niestety, Rajnfeld opuścił Włochy i osiadł we Francji. Związał się tam z Janem Lechoniem, który pełnił wówczas funkcję attaché kulturalnego Ambasady Polskiej w Paryżu. Jednak musiało zajść między nimi coś złego, gdyż w dniach klęski Francji w 1940 roku Lechoń odmówił pomocy swojemu kochankowi w ewakuacji, z czego zresztą czynił sobie potem gorzkie wyrzuty na łamach „Dzienników". Zrozpaczony Rajnfeld, wiedząc, jaki los czekałby go z rąk hitlerowców, popełnił samobójstwo. Miał wówczas 32 lata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Powyższy tekst jest fragmentem książki Sławomira Kopra pt. „Niezwykła Toskania. Sztuka, krajobrazy i antipasti" (Fronda). Z tekstu usunięte zostały przypisy, śródtytuły pochodzą od redakcji.

eprasa.pl 16949dbbda

80. rocznica D-Day / Z nieba i z morza

Czerwone plaże Normandii



Piotr Włoczyk

Gdy alianccy żołnierze szykowali się na morzu do desantu na okupowaną Francję, już od kilku godzin spadochroniarze zaciekle walczyli z Niemcami, starając się zabezpieczyć dojścia do plaż. Ed Shames i Ray Lambert opowiedzieli „HDR" o tamtym piekielnym dniu

FOT. COMMONS.WIKIMEDIA/ROBERT F. SARGENT/NATIONAL ARCHIVES AND RECORD ADMINISTRATION

Byłem przerażony, tak samo jak wszyscy inni w moim samolocie. Każdy, kto mówi, że skakał wtedy nad Normandią na luzie, jest albo kłamcą, albo durniem – przyznawał bez ogródek w rozmowie ze mną Ed Shames, żołnierz amerykańskiej 101. dywizji powietrzno-desantowej.
– Byliśmy ostrzeliwani z każdej strony, mnie osobiście kojarzyło się to z pokazem sztucznych ogni w parku rozrywki. Niemcy rzucili na nas wszystko, co mieli. Pociski dziurawiły samolot i niektórzy odnosili rany, zanim jeszcze skoczyli! Ogień był tak silny, że niemal niemożliwe było, żeby samolot przedarł się bez szwanku. Na niebie pełno było wtedy naszych maszyn. Tylko mój batalion był przerzucany na pokładach 47 samolotów Dakota. A my byliśmy jedynie niewielką częścią desantu powietrznego. Spośród tych 47 samolotów dwa zostały zestrzelone – w jednym leciało 17 żołnierzy, a w drugim 18.

Zanim doszło do największego desantu morskiego w historii, alianccy spadochroniarze zostali zrzuceni (ok. sześciu godzin wcześniej) w Normandii na tyły wojsk niemieckich strzegących plaż. Ich zadaniem było rozpętanie tam piekła, by maksymalnie utrudnić Wehrmachtowi obronę wybrzeża. Precyzyjnie sporządzone plany szybko wzięły jednak w łeb i noc wraz z chaosem wywołanym ogniem artylerii przeciwlotniczej zrobiły swoje: skoczkowie zazwyczaj lądowali kompletnie nie tam, gdzie powinni.

– Tylko jednemu samolotowi z mojego batalionu udało się zrzucić spadochroniarzy tam, gdzie mieli lądować według planów, ale niestety spotkał ich tragiczny los. Cała reszta – w tym ja – została mocno rozproszona. Niektórzy z nas lądowali 50 mil dalej, niż powinni! Na tym tle miałem więc dużo szczęścia – zostałem zrzucony „tylko" cztery–pięć mil od planowego miejsca – wspominał weteran.

Murowany zawał

Ed Shames był żołnierzem kompanii Easy, której zmagania we Francji

eprasa.pl 16949dbbda

zostały uwiecznione w słynnym serialu „Kompania braci", wyprodukowanym przez Toma Hanksa i Stevena Spielberga. W jego rolę wcielił się kanadyjski aktor Joseph May. I faktycznie, walki w Normandii to w przypadku Shamesa i jego kolegów z oddziału iście filmowa historia.

– Kiedy w końcu skoczyłem w ten labirynt wybuchów, myślałem, że spadanie trwa całe dnie, ale to były przecież sekundy. Proszę sobie wyobrazić, że słyszałem, jak kule dziurawią mój spadochron. Nigdy nie zapomnę tego dźwięku – wspominał w rozmowie ze mną Shames. Gdy wylądował, nie widział, jak okiem sięgnąć, żadnego amerykańskiego żołnierza. Zamiast tego wszędzie wokół niego były… krowy.

– Wylądowałem na terenie gospodarstwa produkującego mleko (śmiech) – opowiadał Shames. – Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję, co było o tyle niefortunne, że to właśnie ja powinienem najlepiej wiedzieć takie rzeczy. Byłem przecież sierżantem operacyjnym! To ja przedstawiałem żołnierzom plany działań, tłumaczyłem ludziom z mojego batalionu, gdzie wylądujemy i jak wyglądają nasze cele. A w tamtym momencie sam nie miałem zielonego pojęcia, gdzie jestem. Na szczęście nad naszymi głowami latały specjalne samoloty wskazujące kierunki siłom inwazyjnym (latały z północy na południe). Było to rozwiązanie pomyślane właśnie na takie sytuacje. Wiedziałem więc, gdzie mam iść, ale wciąż nie miałem bladego pojęcia, gdzie się znajdowałem. I teraz najlepsze: gdybym wtedy wiedział, gdzie wylądowałem, to zapewne nie rozmawiałbym dzisiaj z panem.

O co chodziło? Shames wylądował w Carentan, które było najprawdopodobniej jednym z najgorszych miejsc do rozpoczęcia działań przeciw Niemcom. Stacjonowała tam bowiem silna jednostka pancerna Wehrmachtu i każdy ze spadochroniarzy wiedział, że trzeba się trzymać jak najdalej od tego miasteczka.

– Gdybym wiedział, że wylądowałem w Carentan, natychmiast zszedłbym z tego świata na zawał. Ale na szczęście dla mojego serca nie wiedziałem, gdzie byłem – śmiał się spadochroniarz ze 101. dywizji. – Po jakichś pięciu minutach natknąłem się na pierwszego żołnierza. Szybko dołączyli do nas inni. Widać było po ich twarzach, że byli podobnie przerażeni jak ja. Tylko oczywiście ja nie mogłem dać po sobie poznać, że się boję – byłem w końcu sierżantem, więc szli za mną jak kaczuszki (śmiech).

Niedługo grupka amerykańskich spadochroniarzy po raz pierwszy starła się z Niemcami. Ich przeciwnicy ewidentnie nie spodziewali się tak „gorącej" nocy.

– Wracali do miasteczka po jakiejś balandze, słychać było, że mieli bardzo przyjemny wieczór. Wywiązała się strzelanina. Jedna z kul wyrwała mi kawałek mięsa w miejscu, gdzie nos styka się z czołem (śmiech). Dosyć szybko wysłaliśmy Niemców na tamten świat i ruszyliśmy przed siebie. Mieliśmy zabezpieczyć dwa strategicznie ważne mosty na rzece Douve. Chodziło o to, żeby nie przepuścić niemieckich oddziałów pancernych, które mogły zagrozić lądowaniu na plaży „Utah". Mieliśmy osłonić desant morski. Ale najpierw musieliśmy dostać się do tych mostów. Po drodze dołączali do nas kolejni żołnierze. Przeszliśmy na drugi brzeg rzeki i gdy w końcu dotarliśmy do naszego mostu, na miejscu było już 100 chłopaków. Ja przyprowadziłem ze sobą 18 ludzi. Była godz. 3.50, D-Day. Dziesięć minut później dowiedziałem się, że zostanę awansowany na oficera. Mieliśmy na miejscu tylko 118 ludzi z batalionu, który liczył ok. 600 żołnierzy! Po drugiej stronie mostu byli Niemcy. Nie pozwalali nam zapomnieć o sobie, ale my również nie oszczędzaliśmy kul. Tkwiliśmy naprzeciwko siebie przez trzy dni. Niemcy nie przeszli jednak na drugą stronę, by zaatakować naszych chłopców lądujących na plaży „Utah".

Polowanie na krzyże

Gdy Ed Shames zajął pozycję przy moście nad Douve, Ray Lambert, sanitariusz 1. Dywizji Piechoty US Army, szykował się właśnie do desantu na drugą plażę, którą zająć mieli wtedy Amerykanie – „Omaha".

– O brzasku 6 czerwca, gdzieś w okolicach godz. 3, staliśmy kilkanaście kilometrów od wybrzeża Normandii. Gdy wyszedłem na pokład i spojrzałem na morze, byłem zdumiony. Nigdy w życiu nie widziałem tylu okrętów. Wyglądało to tak, jakby cała US Navy zebrała wszystkie swojej jednostki ze wszystkich mórz i oceanów i ustawiła je przy wybrzeżu Normandii. Ten widok, szczególnie pancerniki i niszczyciele, łagodził nieco nasze obawy – wspominał w rozmowie ze mną Lambert.

Lądowanie na plaży „Omaha" upowszechnione zostało za sprawą hollywoodzkiej superprodukcji „Szeregowiec Ryan" i to z Amerykanami najczęściej kojarzony jest desant w Normandii, ale przy okazji okrągłej rocznicy nie można zapomnieć, że na trzech innych normandzkich plażach („Gold", „Juno" i „Sword") lądowali Brytyjczycy oraz Kanadyjczycy.

– „Omaha" była najlepiej chroniona spośród wszystkich plaż. 16. pułk miał poprowadzić atak, ponieważ byliśmy też pierwsi w Afryce i na Sycylii. Mniej więcej kilometr od plaży zaczął się ostrzał z karabinów maszynowych, artylerii i moździerzy. Kilometr od plaży! Pociski uderzały w rampę, robiąc mnóstwo hałasu, wszędzie dookoła wystrzeliwały w górę słupy wody. Im bliżej brzegu, tym ludzie coraz głośniej się modlili – wspominał Ray Lambert. – Stałem w lewym przednim rogu barki. Po otwarciu rampy zasypał nas grad pocisków z karabinu maszynowego MG 42. Ja dostałem w prawy łokieć. Część naszych chłopaków, wyskakując z barki, wpadała na druty kolczaste rozłożone w wodzie przez Niemców. Mieli na sobie tyle sprzętu, że wywracali się, tracili równowagę i się topili. Pierwszym zadaniem było więc wyciągnięcie żołnierzy z wody, nie tylko tych z naszej barki. Kiedy już wszyscy żywi zostali wyciągnięci na brzeg, przeszliśmy do naszej zasadniczej pracy. Pośród dochodzących do naszych uszu przerażających dźwięków wyciągaliśmy rannych żołnierzy spomiędzy martwych. To było pandemonium. Jęki rannych i umierających, świszczące kule karabinowe, wybuchy pocisków moździerzowych… Gdy rok wcześniej lądowałem na Sycylii, wydawało mi się, że nie może być już gorzej. Okazało się jednak, że D-Day był dużo trudniejszym doświadczeniem.

Na pokładzie barki desantowej Lamberta było 27 ludzi, w tym siedmiu sanitariuszy. Jak szacował mój rozmówca,

eprasa.pl 16949dbbda

podczas D-Day straty wśród nich sięgnęły 60 proc. (zabitych i rannych). W jednej z początkowych scen „Szeregowca Ryana", gdy sanitariusze próbują uratować na plaży ciężko rannego żołnierza, niemiecki snajper bezlitośnie strzela mu w głowę... Ray Lambert z ogromnym napięciem oglądał tamtą scenę.

– Przeżyłem podobną sytuację. Doszło do tego kilka godzin po rozpoczęciu inwazji. Byliśmy wciąż przygwożdżeni na plaży i nasi żołnierze zdobywali umocnienia, z których Niemcy zasypywali nas ogniem. W tamtym momencie byłem już dwukrotnie ranny, lała się ze mnie krew i wiedziałem, że długo tak nie pociągnę. Zawołałem do siebie jednego z moich podkomendnych, sanitariusza Raymonda Lepore'a, żeby wydać mu instrukcje na kolejne godziny, kiedy mnie już nie będzie – gdzie znosić naszych rannych chłopców i jak zorganizować dalszą pracę w tych piekielnych warunkach. Staliśmy twarzą w twarz, bo w ciągłym huku inaczej nic nie było słychać. Gdy tylko skończyłem wydawanie rozkazów, kula przeleciała przez głowę Raya...

Choć mogłoby się wydawać, że służba sanitariusza była na froncie zajęciem relatywnie bezpieczniejszym niż walka z karabinem w ręku, to w trakcie zmagań z Niemcami rzecz miała się zupełnie inaczej.

– Polowanie na sanitariuszy zaczęło się już w Afryce Północnej. Byłem świadkiem tego barbarzyństwa, ponieważ brałem też udział w operacji „Torch". Czerwony krzyż na hełmie był wtedy jak wyrok śmierci. Niemcy wychodzili z założenia, że jeżeli wybiją do nogi sanitariuszy, to mocno spadnie morale żołnierzy, którzy będą się czuli pozostawieni na pastwę losu. Mieli nadzieję, że w takim przypadku żołnierze nie będą przejawiali tak bardzo ofensywnej postawy. Dlatego usłyszeliśmy od dowództwa, że jeżeli chcemy, to możemy przestać nosić oznaczenia z krzyżami. To naprawdę miało sens i oczywiście skorzystaliśmy z tej możliwości. Dlatego podczas D-Day nikt z mojej grupy sanitariuszy nie miał czerwonych krzyży na hełmach ani opasek na ramionach – opowiadał Lambert. – Myślę, że tego dnia udało mi się uratować ok. 15–18 żołnierzy. Oczywiście większość z nich to ci, którzy się topili, bo takie akcje były najłatwiejsze. Tych z urwaną nogą albo z wielkim szrapnelem wbitym w brzuch było wtedy niezwykle ciężko uratować i wymagało to oczywiście o wiele więcej czasu.



Edward Shames FOT. WIKIPEDIA

Salut Trumpa

Ranny sanitariusz przeżył na plaży „Omaha" chwile grozy, gdy omal nie utonął, ratując żołnierza zaplątanego w drut kolczasty, szamotającego się w wodzie. Lambert pomógł mu się wykaraskać z opresji, objął go i razem szli w kierunku brzegu.

– Byliśmy do pasa w wodzie. Nagle czuję na swoich plecach powalające uderzenie. To była rampa barki desantowej, która na nas wpłynęła. Kierujący nie zauważył nas i spuścił nam na plecy rampę. Momentalnie zostaliśmy przygnieceni do dna. Szarpałem się, walczyliśmy, ale to było daremne. Taka rampa ważyła ok. tony. Mocno krwawiłem i nie miałem już prawie sił. Modliłem się, żeby Bóg dał mi jeszcze ostatnią szansę. Chciałem uratować jeszcze tylko tego jednego żołnierza. I wtedy zdarzył się nieprawdopodobny cud. Czuję, że nagle ta rampa się podnosi... Mogliśmy wstać, chociaż palił mnie kręgosłup – uderzenie poważnie go uszkodziło. Barka wycofała się i wyładowała żołnierzy w innym miejscu. Człowiek kierujący nią albo zorientował się, że jest nie w tym miejscu, co trzeba, albo zobaczył, że ogień jest tu zbyt intensywny, i postanowił popłynąć gdzie indziej. I to nas uratowało.



Ray Lambert
FOT. U.S. AIR FORCE MASTER SGT. ANDY M. KIN

Lambert wytrzymał na plaży „Omaha" trzy i pół godziny, aż zemdlałem po trzecim postrzale. – Doczekałem przybycia czwartej fali sił inwazyjnych. Koledzy załadowali mnie na barkę desantową, która po wysadzeniu żołnierzy zabrała ze sobą rannych. Przytomność odzyskałem dopiero na pokładzie statku płynącego do Anglii – opowiadał sanitariusz.

6 czerwca 1944 r. na plażach Normandii wylądowało niemal 160 tys. alianckich żołnierzy (73 tys. Amerykanów i 83 tys. Brytyjczyków oraz Kanadyjczyków). Wybrzeża broniło ok. 50 tys. Niemców. W trakcie D-Day zginęło 4,4 tys. alianckich żołnierzy, a ponad 5 tys. odniosło rany.

Ed Shames i Ray Lambert zmarli w 2021 r. (pierwszy w wieku 99, a drugi 100 lat). Sanitariusz z „Omaha" zdążył jeszcze wziąć udział w ostatniej okrągłej, 75. rocznicy D-Day. Podczas ceremonii na plaży ówczesny prezydent USA zrobił mu nie lada niespodziankę, opowiadając zgromadzonej tłumnie publice o jego poświęceniu tamtego dnia. Na koniec Donald Trump powiedział: „Wolny świat oddaje ci cześć", po czym stanął naprzeciw Lamberta i zasalutował mu.

Z kolei mający żydowskie pochodzenie Ed Shames swoją słodką chwilę satysfakcji przeżył kilkanaście lat po zakończeniu wojny. Shames wraz ze swoją 101. dywizją przebył szlak bojowy od Normandii aż do alpejskiego Berchtesgaden – do „Orlego Gniazda". Amerykańscy żołnierze pozabierali z tamtej rezydencji zbudowanej dla nazistowskich dygnitarzy co cenniejsze „pamiątki". – Ja np. zabrałem stamtąd butelkę bardzo, ale to bardzo drogiego koniaku Hennessy – opowiadał mi Shames. – I wypiłem go z bliskimi podczas... bar micwy mojego syna (śmiech).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 16949dbbda

REPUBLIKA

Adrian Klarenbach zaprasza do Telewizji Republika na obiektywną i subiektywną ocenę najważniejszych wydarzeń mijającego tygodnia z udziałem przedstawicieli polskiej sceny politycznej.



AGORA KLARENBACHA

W KAŻDY PIĄTEK

20:00

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

eprasa.pl 16949dbbda



Szymon Czechowicz „Męczeństwo św. Floriana”

FOT. COMMONS.WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

IV–V w. n.e. / Prześladowania chrześcijan

Święci legioniści



Tomasz Stańczyk

Chcieli wiernie służyć cesarzom rzymskim, ale nie zamierzali wyrzec się wiary w Chrystusa. Nawet jeżeli oznaczało to męczeńską śmierć

Na Bramie Floriańskiej od strony Starego Miasta w Krakowie znajduje się płaskorzeźba przedstawiająca mężczyznę w zbroi, trzymającego sztandar i konew, z której leje się woda. To św. Florian, patron strażaków, męczennik za wiarę – rzymski legionista. Brama Floriańska jest jedyną ocalałą z wież obronnych Krakowa. Ale i ona miała zostać wyburzona. Niebezpieczeństwo zagrażało jej trzy razy – w XIX w. i na początku następnego stulecia. Czy św. Florian uratował wieżę swojego imienia? Kto chce, niech w to wierzy, a kto nie chce, niech widzi w tym czysty przypadek. Święty Florian, pośmiertnie związany z Polską, był właśnie jednym z prześladowanych za wiarę w Chrystusa żołnierzy rzymskich legionów.

Urodził się w Aelium Cetium (dziś Sankt Pölten w Austrii) ok. roku 250 i był oficerem rzymskich legionów w prowincji Noricum. Za czasów cesarza Dioklecjana rozszalały się straszliwe prześladowania chrześcijan. Tropiono ich także w armii. Niejaki Akwilinus wykrył w 304 r. 40 chrześcijan w oddziale dowodzonym przez Floriana. Gdy nie chcieli się oni wyrzec wiary w Chrystusa, zostali skazani na śmierć. Dowiedziawszy się o tym, Florian – sam chrześcijanin – postanowił podzielić los swych współtowarzyszy. Z kolei według innej opowieści o św. Florianie ociągał się on z wykonywaniem represyjnych zarządzeń Dioklecjana, a najpewniej zaniechał ich. Kolejna wersja głosi, że Akwilinus kazał Florianowi zabić owych 40 chrześcijan, a on oczywiście nie zgodził się na to. Miał też odmówić złożenia ofiary bogom uznawanym przez Imperium Rzymskie. Akwilinusowi odpowiedział: „Słuchać ciebie we wszystkim, co do żołnierstwa należy, gotów jestem, ale na to mię nigdy nie zniewolisz, abym się diabłom kłaniać miał” (Piotr Skarga, „Żywoty Świętych Starego i Nowego Zakonu”). Pobicie kijami nie złamało Floriana – nie zamierzał wyrzec się wiary. Modlił się na moście, z którego miał być zrzucony do rzeki Enns z kamieniem przywiązanym do szyi. Nikt z żołnierzy nie chciał tego zrobić. Znalazł się jednak śmiałek, ale czyn swój przypłacił kalectwem. Jak bowiem pisał ks. Skarga: „Wnet uczuł rękę Boską zuchwalec on, bo wnet oczy mu przepukły i wyciekły”.

Ciało męczennika woda wyrzuciła na kamień, a „orzeł go strzegł pilnie i od zwierza bronił”. Po śmierci Florian ukazał się żonie (inna wersja mówi o niewieście Walerii), polecając, by zabrała jego ciało i pogrzebała w oznaczonym miejscu. Kobieta położyła ciało na wozie

eprasa.pl 16949dbbda

i – obawiając się żołnierzy Akwilinusa – przykryła je chrustem. Skwar był tak wielki, że woły nie miały już siły iść dalej, ale wówczas kobieta wzniosła ręce ku niebu i prosiła o zmiłowanie – „i oto cud się stał: naraz widzi wytryskujące z ziemi źródło, z wyborną wodą, której też owe woły niezwłocznie się napiwszy, pokrzepione ruszyły dalej w drogę z ciałem Świętego" (P. Skarga).

Po wydaniu w 313 r. przez cesarza Konstantyna edyktu mediolańskiego, który wprowadzał swobodę wyznania, prześladowania chrześcijan ustały. Wierni wybudowali wówczas na grobie męczennika Floriana kaplicę, później w XI w. powstały w tym miejscu klasztor i kościół Benedyktynów pw. św. Floriana (w obecnym Sankt Florian w Austrii).

Szczątki świętego sprowadził do Polski książę Kazimierz Sprawiedliwy. Legenda hagiograficzna głosi, że gdy biskup krakowski Gedko przyjechał do Rzymu z prośbą o relikwie jakiegoś świętego, papież Lucjusz III zaprowadził go do bazyliki św. Piotra i pokazał mu liczne zgromadzone tam relikwie. Wówczas z grobu św. Floriana wysunęła się kartka z napisem: „Chcę do Polski". Tuż przed Krakowem konie ciągnące wóz zatrzymały się we wsi Kleparz i nie chciały ruszyć w dalszą drogę. Uznano to za znak z nieba. Kazimierz Sprawiedliwy ufundował na Kleparzu (dziś dzielnica Krakowa) kościół św. Floriana. Książę nie zostawił jednak na Kleparzu całego ciała św. Floriana, a jedynie jego ramię. Reszta relikwii trafiła do katedry na Wawelu.

Dlaczego św. Florian został patronem strażaków? Według jednej z jego hagiografii Florian miał być początkowo spalony. Zachęcał nawet do tego żołnierzy, mówiąc, że nie obawia się śmierci, i prosił o podłożenie ognia pod stos, a on w imię Boga pójdzie do nieba. Żołnierze zawahali się i ostatecznie Florian został utopiony. Inna wersja mówi, że podczas pożaru Krakowa w 1528 r. święty pojawił się nad płonącymi domami i lał wodę z konwi, ratując miasto.

Setnik spod krzyża

Pierwszym żołnierzem rzymskim, który poniósł śmierć za wiarę, miał być setnik, świadek konania Chrystusa na krzyżu. Ewangelie nie wymieniają jego imienia. Mateusz Ewangelista pisał: „Setnik zaś i ci, którzy z nim byli, strzegąc Jezusa, ujrzawszy trzęsienie ziemi i wszystko to, co się działo, przerazili się wielce, mówiąc: Zaiste, ten był synem Bożym" (Mt 27, 54). Marek Ewangelista przypisuje te słowa wprost setnikowi, a padły one, gdy usłyszał wołanie Chrystusa: „Boże mój, Boże mój, czemuś mię opuścił?" (Mk 15, 39).
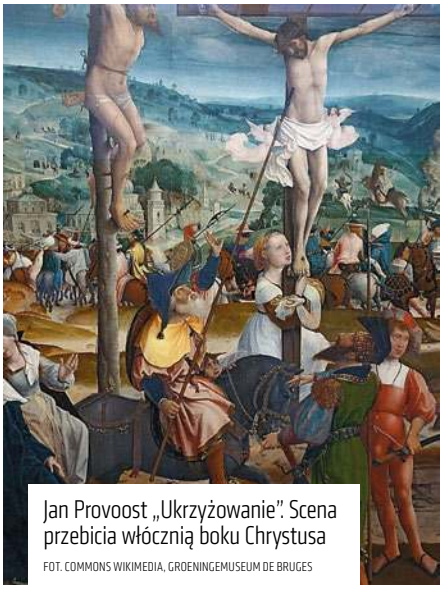


Płaskorzeźba z wizerunkiem św. Floriana na Bramie Floriańskiej w Krakowie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MACH240390

Imię setnika – Kasjusz – pojawia się pierwszy raz w apokryficznej Ewangelii Nikodema (ok. V w.). Jego historię podaje książka „Żywoty Świętych Pańskich na wszystkie dnie roku", kompilacja z dzieł ks. Piotra Skargi, o. Prokopa Leszczyńskiego i Ottona Bitschnau von Tschaggunsa.

To właśnie setnik Kasjusz miał być tym żołnierzem, który „nie wiedząc, co czyni, pochwycił włócznię i silnie ją wtłoczył w bok Zbawiciela. W tej chwili światło łaski Bożej oświeciło poganina i uznał, że Jezus jest prawdziwie Synem Bożym". Kasjusz nie wiedział, dlaczego przebił ciało Chrystusa włócznią, był to jednak plan Boży: „Był on wybranym narzędziem, aby się Pismo święte wypełniło. Serce zostało otworzone, krew i woda wypłynęła, znaczy, że z Serca Jezusowego, jak z źródła, płyną na ludzkość strumienie łask przez Sakramenta święte, do których każdy wyznawca Chrystusa ma wolny przystęp".



Jan Provoost „Ukrzyżowanie". Scena przebicia włócznią boku Chrystusa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GROENINGEMUSEUM DE BRUGES

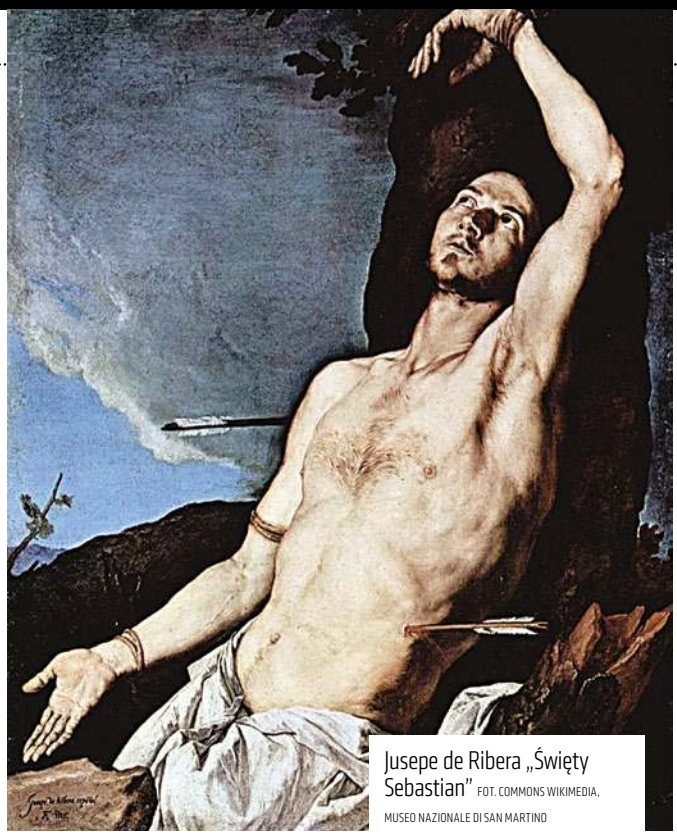
Kasjusz uwierzył w zmartwychwstanie Chrystusa i nie dał się przekupić arcykapłanowi Świątyni Jerozolimskiej, którzy nakłaniał go, by opowiadał, że uczniowie Jezusa wykradli z grobu ciało ukrzyżowanego. Kasjusz odszukał ich i przyjął chrzest oraz imię Longinus. Udał się potem do rodzinnej Cezarei Kapadockiej i opowiadał o śmierci Chrystusa oraz o jego zmartwychwstaniu, nawracając wielu ludzi, „co gdy doszło do uszu Piłata i żydów, ci Longina zgubić postanowili". Setnika oskarżono o dezercję i podburzanie ludności. W 61 r. został ścięty mieczem.

Przeszyty strzałami

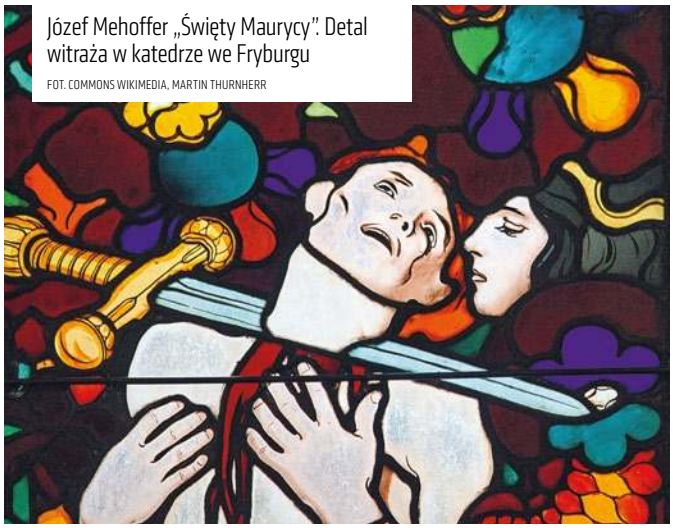
Urodzony w Narbonie, wychowany w Mediolanie św. Sebastian był oficerem pretorianów cesarza Dioklecjana (a być może Maksymiana współrządzącego cesarstwem). Ukrywał swą wiarę, zgodnie z zaleceniem biskupów, by niepytany chrześcijan się nie przyznawał. Nie z obawy przed śmiercią, lecz dlatego, by przyznanie się nie skutkowało obarczeniem grzechem zabójstwa sędziów wydających wyrok śmierci. Wobec nierzadkiego wówczas u chrześcijan pragnienia męczeństwa biskupi obawiali się, czy każdy wytrzyma perspektywę śmierci i nie załamie się, nie wyrzeknie wiary. Także dlatego radzili nie przyznawać się do wiary w Chrystusa.

Historia św. Sebastiana wiąże się z losami braci bliźniaków Markusa i Marcellinusa, pochodzących ze znacznej rzymskiej rodziny. Dioklecjan przymuszał ich do zaparcia się Chrystusa. Aby złamać opór braci przed wyrzeczeniem się wiary, cesarz sprowadził ich rodziny.

eprasa.pl 16949dbbda



Jusepe de Ribera „Święty Sebastian" FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSEO NAZIONALE DI SAN MARTINO



Józef Mehoffer „Święty Maurycy". Detal witraża w katedrze we Fryburgu
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MARTIN THURNHERR

Liczył, że prośby i płacze matek, żon i krewnych złamią Markusa i Marcellinusa. „Dzieci malutkie – pisał ks. Skarga – ręce podnosząc a płacząc, nogi swych ojców obłapiały […], żony owdowienie swoje ukazywały, łzy rzewne wylewając a prosząc, aby samych siebie i ich ze sobą nie gubili".

Świadkiem tych rozdzierających scen był Sebastian. Obawiał się, że Markus i Marcellinus mogą ulec presji rodziny, dlatego powiedział im, że dziwiłby się, gdyby te łzy i prośby zwyciężyły, „bo nie daj Chryste, abyśmy dla tych marnych i krótkich pociech wyznania świętego i wielkiego imienia Twego odstąpić, a twymi dobrodziejstwami, w którychś i krew swoją za nas wylać raczył, wzgardzić mieli". Po co w takiej sytuacji żyć? – pytał retorycznie.

Przypomniał im słowa Chrystusa, że kto się go przed ludźmi zaprze, tego Chrystus zaprze się przed Ojcem swoim w niebie. Zamierzał pokrzepić ich osobistym przykładem: „Daj Boże mnie przed wami za Pana mego krew przelać, żebyście na moje męczeństwo patrzyli" (P. Skarga). Mowa ta niespodziewanie otworzyła możliwość ratunku. Markus i Marcellinus byli oddani pod straż niejakiemu Nikostratowi, który przetrzymywał ich w swoim domu. Jego żona sześć lat wcześniej straciła mowę, ale pod wpływem słów Sebastiana nagle przemówiła i uwierzyła w Chrystusa. Także jej mąż w tym momencie się nawrócił. Małżonkowie zaproponowali braciom, żeby uciekali. Ci jednak odmówili, ponieważ pod wpływem słów Sebastiana stali się gotowi na śmierć za wiarę.

Legenda św. Sebastiana głosi, że tego dnia nakłonił on do chrztu 64 osoby (inna wersja mówi o 12 osobach), w tym rodziców obu braci, a także Agrestiusa Chromatusa – prawdopodobnie prefekta rzymskiego – oraz jego syna Tiburtiusa. Chrztu udzielił kapłan Polikarp. Między Sebastianem a Polikarpem doszło do sprzeczki. Mężczyźni kłócili się, kto ma pozostać w Rzymie z nowymi chrześcijanami. Obaj chcieli zostać, a to oznaczało pewną męczeńską śmierć. Sprzeczali się – jak podaje Skarga – w obecności „Gaja, papieża rzymskiego, Słowianina i Dioklecjanowi powinowatego" (Skarga pisał o papieżu Kajusie, który pochodził z Dalmacji – stąd uważał go za Słowianina). Papież skłonił Polikarpa do ustąpienia, by nadal mógł służyć wiernym. Sebastian został więc z nowo nawróconymi w domu Kastulusa, urzędnika w pałacu cesarskim. „Tam noc i dzień na modlitwach i płaczu i postach trawiąc, prosili P. Boga, aby mogli być godni korony męczeńskiej" (Skarga). Gdy Zoe, żona Nikostrata, poszła modlić się do grobu św. Piotra, schwytali ją ludzie Dioklecjana i powiesili za nogi. Dowiedziawszy się o tym, Trankwilinus, ojciec braci, zauważywszy jakby ze wstydem, że kobiety wyprzedzają mężczyzn na drodze do korony męczeńskiej, poszedł do grobu św. Piotra i tam został ukamienowany. Tiburtiusa, Markusa i Marcellinusa przybito gwoździami do słupów i w ten sposób umarli.

Sebastiana przyprowadzono zaś do cesarza Dioklecjana, który dziwił się, że wierzy on w Chrystusa i nie chce się pokłonić rzymskim bogom. Sebastian odparł, że kłaniał się dopóty, dopóki nie poznał nauki o Jezusie. Wściekły cesarz skazał go na śmierć. Oprawcy przywiązali Sebastiana do słupa i przeszyli go strzałami. Scena ta uwieczniona została później na wielu obrazach.

Jednak według jednej z hagiografii św. Sebastian wcale wówczas nie umarł. Ciało – jak się wydawało, martwe – zabrała do domu Irena, żona Kastulusa. Tam „Pan Bóg cudownie go zleczyć raczył i ożywić na większą jeszcze koronę i przykład a potwierdzenie chrześcijaństwa" (P. Skarga). Proszono następnie Sebastiana, aby – skoro cudem ocalał – się ratował. On jednak odmówił. W niedługim czasie Sebastian, słysząc, że nieopodal przejeżdża orszak Dioklecjana, wyszedł mu naprzeciw i zwrócił się do niego następującymi słowami: „Cesarzu, na próżno prześladujesz chrześcijan. Będą oni twoimi najwierniejszymi poddanymi, tylko pozwól im wyznawać swoją wiarę" (Anna Zahorska, „Żołnierze Święci"). Dioklecjan jednak w odpowiedzi kazał zatłuc Sebastiana kijami, a ciało

eprasa.pl 16949dbbda

wrzucić do kloaki. Część relikwii świętego znajduje się w rzymskiej bazylice św. Sebastiana za Murami.

Dziesiątkowani

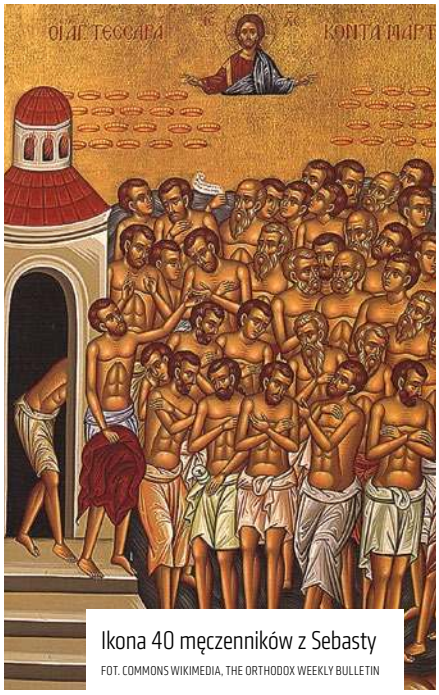
Za czasów Dioklecjana żył także inny męczennik, św. Maurycy. Miał być dowódcą rzekomego, złożonego wyłącznie z chrześcijan, Legionu Tebańskiego, „mocnych sercami i zbroją, ale wiarą w Chrystusa daleko mężniejszych żołnierzy" (P. Skarga). Historycy kwestionują istnienie takiego legionu, lecz nie wykluczają, że w innym mniejszym oddziale – być może kohorcie – dowodzonym przez chrześcijanina Maurycego służyli wyznawcy Chrystusa.

Współrządzący z Dioklecjanem Maksymian wyruszył na wyprawę do Galii, by poskromić bunt szerzący się w tej prowincji. W intencji zwycięstwa kazał uczcić pogańskich bogów i złożyć im ofiary. Dowiedziawszy się o tym, Maurycy i jego żołnierze odmówili przyłączenia się do uroczystości i rozłożyli się obozem gdzie indziej. Według innej wersji Maurycy nie wykonał rozkazu przeprowadzenia obławy na chrześcijan, którzy mieli być ukarani śmiercią. Cesarz Dioklecjan, na wieść o tej niesubordynacji, zagniewany kazał dołączyć oddziałowi do reszty wojsk i złożyć ofiary. Maurycy i jego żołnierze odpowiedzieli, że będą wiernie służyć cesarzowi i posuną się dla niego do wielu rzeczy, „ale do bałwochwalstwa nigdy; dać chcemy cesarzowi, co cesarskie, a co Bożego, Bogu" (P. Skarga). Wówczas Dioklecjan kazał zdziesiątkować żołnierzy Maurycego. Choć mogli się bronić, to nie zrobili tego. Maurycy oświadczył cesarzowi, że zdziesiątkowanie tylko umocniło pozostałych w wierze. Cesarz kazał ponownie przeprowadzić dziesiątkowanie. I to nie złamało legionistów chrześcijan: „Nigdy na to nie zezwolimy, abyśmy Boga naszego, który nas stworzył i odkupił, zaprzeć się mieli". Maurycy i jego żołnierze nie zamierzali stawiać oporu swoim katom. Wszyscy zostali zabici. Na miejscu kaźni św. Maurycego Zygmunt I, król Burgundów, ufundował klasztor (dziś w Saint-Maurice w Szwajcarii).

Wczesna legenda mówiła o włóczni należącej do św. Maurycego. Miał się znajdować w niej gwóźdź z krzyża, na którym umarł Chrystus, jednak w XIII w. papież Grzegorz IX uznał, że jest to relikwia Męki Pańskiej – Włócznia Przeznaczenia, którą setnik Kasjusz (po chrzcie Longinus) przebił bok Chrystusa. Kopię włóczni przekazał cesarz Otton III Bolesławowi Chrobremu. Jest w niej fragment owego gwoździa. Włócznia ta znajduje się dziś w skarbcu katedry na Wawelu.

Zamrożeni

Choć w 313 r. został wydany edykt mediolański, to Licyniusz, współrządzący z cesarzem Konstantynem, w swojej wschodniej części Cesarstwa Rzymskiego nie zaprzestał prześladowania chrześcijan. Tymczasem większość żołnierzy rzymskiego Legionu XII „Fulminata" stanowili właśnie wyznawcy Chrystusa. Gdy przebywali w Sebaście (dziś Sivas w Turcji) i kazano im złożyć ofiarę na cześć uznawanych przez państwo bogów, 40 żołnierzy wystąpiło z szeregów z deklaracją, że nie wezmą udziału w uroczystości. Prefektowi prowincji rzymskiej, w której znajdowała się Sebasta, powiedzieli: „Jesteśmy żołnierzami cesarza i dotychczas służyliśmy mu wiernie, ale jesteśmy także sługami Chrystusa, i Panu temu i Królowi również chcemy pozostać wiernymi, a żadna ziemska siła wierności tej w nas nie osłabi" (A. Zahorska).



Ikona 40 męczenników z Sebasty

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, THE ORTHODOX WEEKLY BULLETIN

Żołnierzy pobito i wtrącono do lochu. Modlili się tam i śpiewali psalmy. Miał się ukazać im Chrystus, który przemówił do nich: „Dobrzeście rozpoczęli; wytrwajcie do końca, takich bowiem tylko oczekuje korona niebieska". Ponieważ nie zaparli się wiary, zostali skazani na okrutną i powolną śmierć. Wpędzono ich na zamarznięte jezioro, odebrawszy wpierw ubrania. Mogli się jednak uratować. Na brzegu jeziora została zbudowana chatka, w której palił się ogień. Wnoszono do niej na oczach nagich żołnierzy odzież i jedzenie. Nie wymagano nawet wyparcia się Boga słowami. Wystarczyło, żeby weszli do chaty… Nie zrobili tego jednak, przez noc modlili się i śpiewali psalmy. Strażnik Aglaius, poganin pilnujący chaty, spostrzegł w pewnym momencie jasne światło wokół żołnierzy, choć była noc. Zmożony czuwaniem zdrzemnął się, a wtedy przyśnił się mu anioł, który przyniósł 39 koron. Strażnik zrozumiał, że są one przeznaczone dla umierających na mrozie. Zapytał anioła, dlaczego nie ma 40. korony, ale nie uzyskał na to odpowiedzi. Ze snu wybudził go wchodzący do chaty nagi człowiek – był to jeden z 40. Gdy strażnik pojął, dlaczego widział 39 koron, „na duszę jego padło nagle światło, zrzucił zbroję, miecz i ubranie i pospieszył, aby zająć miejsce wśród trzydziestu dziewięciu. Patrzcie – zawołał – chcę zdobyć czterdziestą koronę" (A. Zahorska). Nad ranem nikt z nich już nie żył. Nie przeżył także ten, który chciał się uratować – zmarł nagle w ciepłej chacie.

Zamarznięte ciała wrzucono na wóz. Jeden z żołnierzy, Meliton, dawał jednak oznaki życia, więc go zostawiono. Matka podźwignęła syna i biegła z nim, wołając: „Dziecko moje, skończ mężnie razem z towarzyszami twymi, abyś w tyle nie został i nie stracił korony wiekuistej" („Żywoty Świętych Pańskich…"). Meliton skonał na rękach matki, która wrzuciła następnie jego ciało na wóz, by został spalony razem z innymi. Popiół z resztkami kości wysypano do rzeki. Chrześcijanie mimo to uratowali znaczną część relikwii tych męczenników.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 16949dbbda



Inessa Armand FOT. DOMENA PUBLICZNA

Krupska i Armand / Kobiety wodza bolszewików

Małżeński trójkąt Lenina



Mikołaj Iwanow

Przez wiele lat stosunki Lenina z Inessą Armand były jedną z najlepiej chronionych tajemnic partii komunistycznej

Moskwa, 12 października 1920 r. Z Dworca Kazańskiego do centrum miasta rusza pochód żałobny. Za trumną w pierwszym szeregu idą wódz bolszewików Włodzimierz Lenin i jego żona Nadieżda Krupska w otoczeniu licznych notabli nowego reżimu, członków Rady Komisarzy Ludowych i Komitetu Centralnego partii. Dalej w pochodzie żałobnym suną tysiące zwolenników Lenina i delegatów pracowniczych z całego kraju. Zgromadzeni żegnają 46-letnią Francuzkę Inessę Armand, jedną z czołowych działaczek bolszewickich i aktywistek powstającej Międzynarodówki Komunistycznej. Armand zmarła na cholerę, której miała się nabawić w drodze z sanatorium w Kisłowodzku do Moskwy, podczas postoju na stacji w Biesłanie.

„Kiedy szliśmy za jej trumną, Lenina nie można było rozpoznać. Szedł z zamkniętymi oczami i wydawało się, że zaraz upadnie" – wspominała po latach inna słynna bolszewicka działaczka Aleksandra Kołłontaj. Krupska we wspomnieniach opisuje ten pogrzeb w podobny sposób: „Obawiałam się, że śmierć Inessy wykończy Wołodię. Płakał i patrzył w jeden punkt". Francuzka została pochowana na placu Czerwonym w Moskwie, na nekropolii pod murem Kremla, w zbiorowym grobie wraz ze słynnym amerykańskim komunistą i kronikarzem rewolucji bolszewickiej Johnem Reedem.

Co łączyło z tą kobietą przywódcę bolszewików i dlaczego razem z nim za trumną szła jego żona? Przez wiele lat stosunki Lenina z Inessą Armand były jedną z najlepiej chronionych tajemnic partii komunistycznej. Dopiero po rozpadzie ZSRS i upadku komunizmu prawda na ten temat powoli zaczęła wychodzić na jaw.

Paryskie noce

Inessa Armand urodziła się w 1874 r. w Paryżu jako Elisabeth Pécheux d'Herbenville. Jej ojciec, śpiewak operowy Théodore Pécheux d'Herbenville, zmarł, kiedy ona miała pięć lat. Do Moskwy Inessa trafiła w wieku 15 lat, jej wychowaniem zajęły się babcia i ciotka. Do 35. roku życia zdążyła już dwukrotnie wyjść za mąż; jej drugi mąż, Władimir Armand, „zaraził" ją rewolucyjnymi pomysłami. W 1904 r. Inessa wstąpiła do Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji. Za udział w rewolucji 1905 r. została zesłana na północ Rosji, skąd w 1908 r. uciekła do Szwajcarii. W tym samym czasie jej drugi mąż umiera na gruźlicę. Inessa Armand, wówczas już matka pięciorga dzieci,

eprasa.pl 16949dbbda



Inessa Armand. Zdjęcie z 1916 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

zostaje sama, ale nadal działa na rzecz rewolucji. Kontaktuje się z francuskimi socjalistami, tłumaczy literaturę rewolucyjną, broni licencjatu z nauk ekonomicznych.

Koledzy bolszewicy ciepło wypowiadali się o Armand. „Lekceważenie materialnych warunków życia, uważny stosunek do towarzyszy i chęć podzielenia się z nimi ostatnim kawałkiem to główne cechy jej charakteru" – wspominała ją rewolucjonistka Ludmiła Stal. Wielu pisało o jej miłości do życia, radości, którą ze sobą niosła, szczególnie zwracając uwagę na jej urodę i urok. Nic więc dziwnego, że wywarła ona tak ogromne wrażenie na Leninie.

W 1909 r. dochodzi do historycznego spotkania – Armand poznaje przywódcę bolszewików. Od dawna był jej idolem, to przecież pod wpływem jego książek stała się socjalistką. Ich romans trwał zaledwie kilka lat, ale – jak się okazało – miał on dla Lenina znaczenie wykraczające poza zwykłą przygodę miłosną. Przez kilka lat mieszkali i pracowali w Paryżu, zupełnie nie kryjąc swej miłości przed nikim z kręgu znajomych socjalistów. „Lenin nie spuszczał mongolskich oczu z tej małej Francuzki" – zauważył francuski socjalista Charles Rappoport. W swoich listach Lenin zwracał się do niej per „drogi przyjacielu" i okazywał jej niezwykłą troskę i czułość.

Co ciekawe, o wszystkim wiedziała również żona Lenina – Nadieżda Krupska. I przyjmowała to z całkowitym zrozumieniem, ponieważ ich życie małżeńskie nie należało do udanych. Początki były jednak zupełnie inne. Lenin w 1887 r. został skazany na zsyłkę na Syberię i przebywał tam przez trzy lata, co nie było jednak aż tak ciężkie, ponieważ wraz z nim przebywała tam jedna z jego największych zwolenniczek – Nadieżda Krupska. Pomimo trudnych warunków życia nie miała ona wątpliwości, że chce zawrzeć z nim związek małżeński. Ale namiętność, która wybuchła na początku ich związku, nie trwała długo i wkrótce przerodziła się w zwykłą przyjaźń i współpracę. Wydawało się wręcz, że Lenin przez kilka lat tłumił swój pociąg do kobiet, całkowicie poświęcając się sprawie rewolucji.

Nadieżda Krupska przeżyła w tym okresie wiele trudnych doświadczeń związanych ze swoją kobiecością, szczególnie gdy dowiedziała się, że ze względu na problemy zdrowotne nie będzie w stanie urodzić mężowi syna.

Wielu badaczy przypuszcza, że po zakończeniu zsyłki na Syberię ustało także ich życie intymne. Jednak silna przyjaźń, która ich połączyła, trwała aż do śmierci. Na emigracji – najpierw w Zurychu, a potem w Paryżu, gdy spędzali dużo czasu sami – Krupska zapewniała Leninowi komfort psychiczny, umożliwiając mu pracę twórczą. Była dla niego żoną, sekretarzem do spraw partyjnych, sekretarzem naukowym, a także kucharką. W Paryżu utrzymywali się przeważnie z przekazów pieniężnych wysyłanych z Rosji przez matkę Lenina – wdowę po generale. Lenin, mimo że miał już prawie 40 lat, nadal nie był samodzielny finansowo.

Kiedy w jego życiu pojawiła się Inessa Armand, zakochał się w niej na zabój. Te kręcone włosy, pociągające rysy twarzy, duże, błyszczące oczy, pełna wdzięku sylwetka... A w dodatku buntowniczy charakter – Lenin był zafascynowany kochanką.

Brat bratu

Inessie również nieobce były zdrady małżeńskie, nawet te najbardziej kontrowersyjne... Jako młoda dziewczyna dostała posadę nauczycielki języka francuskiego w rodzinie Armandów – bardzo bogatych fabrykantów. Po roku poślubiła najstarszego syna, Aleksandra Armanda. Para doczekała się czworga dzieci i wszystko wyglądało w tym małżeństwie prawie idealnie, ale Inessa niespodziewanie zdradziła męża, zakochując się w 18-letnim... bracie męża, Władimirze. Wyszła następnie za tego o 10 lat młodszego od niej chłopaka i miała z nim jeszcze jedno dziecko. Wkrótce jednak Władimir zmarł na gruźlicę.

Lenin poznał Inessę Armand, gdy ona miała 35 lat, a on 39. W tym czasie u żony Lenina rozwinęła się już choroba Gravesa-Basedowa (nadczynność tarczycy), prowadząca do pojawienia się wyłupiastych oczu i powodująca drżenie, pocenie się i biegunkę. Chora Krupska doskonale rozumiała, że nie ma szans w konkurencji z Inessą. Dlatego zdecydowała się na życie w trójkę. Ten przedziwny, jak na tamte czasy, związek był oparty również na bliskości intelektualnej. Inessa była pochłonięta pracą rewolucyjną, a Lenin zapewniał jej błyskotliwą karierę w partii bolszewickiej. Świadkowie ich romansu zgodnie twierdzą, że nowa wybranka Lenina była bardzo inteligentna, myślała w sposób niekonwencjonalny, ale była też dość emocjonalna.

Krupska w swoich wspomnieniach podkreśliła, że dowiedziawszy się o ich romansie, zaproponowała rozwód, na co Lenin się nie zgodził. Z zachowanej

eprasa.pl 16949dbbda



Pogrzeb Inessy Armand
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

korespondencji wynika, że powstał klasyczny trójkąt miłosny. Chora Krupska wyjątkowo tolerancyjnie patrzyła na romans męża. Co więcej – w tej dziwnej dwuznacznej sytuacji zaprzyjaźniła się z Armand. Krupska tak to wspominała: „Kiedy przyszła Inessa, zrobiło się wygodniej i zabawniej". Również kochanka Lenina z zachwytem wypowiadała się o swojej przyjaciółce: „Zakochałam się w niej niemal od pierwszego spotkania. W stosunku do swoich towarzyszy ma jakąś szczególną uroczą miękkość i czułość".

Jak pisała Inessa do Lenina przebywającego w Krakowie: „Pawie cała działalność tutaj, w Paryżu, była połączona tysiącem wątków z myślą o Tobie. Rozstaliśmy się, rozstaliśmy się, mam nadzieje, na chwilę, mój drogi. I to bardzo boli. Wiem, czuję, że nigdy tu nie przyjedziesz! Patrząc na znane tylko nam miejsca, zdałam sobie sprawę, jak dużą rolę odgrywasz w moim życiu, że prawie wszystkie czynności tutaj, w Paryżu, były powiązane tysiącem wątków z myślą o Tobie. Wtedy wcale cię nie kochałam, ale nawet wtedy rodziło się we mnie poczucie uwielbienia Ciebie. Nawet samo spotkanie z Tobą, czasami rozmowa z Tobą byłaby dla mnie radością i nikomu nie mogłoby to zaszkodzić. Trochę się do Ciebie przyzwyczaiłam. Uwielbiałam nie tylko słuchać, ale także patrzeć, kiedy mówisz. Po pierwsze Twoja twarz ożywa, a po drugie niezwykle przejmująco było na to patrzeć, bo wtedy tego nie zauważyłeś... Całuję Cię mocno. Twoja, Armand".

Nie brakuje opinii, że Lenin był tak zakochany, iż był nawet gotów porzucić sprawę rewolucji. „Och, te »czyny«, to podobieństwa czynów, namiastki czynów, przeszkoda w czynie, jak ja nienawidzę próżności, kłopotów, pustych obietnic, ale jestem z tym wszystkim nierozerwalnie i na zawsze związany!" – pisał Lenin do kochanki.

W 1912 r. Inessa, za namową Lenina i przy jego bezpośrednim udziale, napisała broszurę „O kwestii kobiet", w której opowiadała się za pełną wolnością w sprawach miłości i małżeństwa. „W państwie socjalistycznym – pisała – tradycyjny związek małżeński powinien zniknąć, a na jego miejsce powinna przyjść wolna miłość".

Słabość wodza

Lenin niewątpliwie był fanatycznym komunistą. Przez całe życie kłócił się nawet z najbliższymi przyjaciółmi w sprawach dotyczących rewolucji, rzadko tolerował odmienne poglądy. Sprawując władzę, lekką ręką podpisywał tysiące rozkazów egzekucji. Czy sentymentalizm był mu obcy? Miłość do Inessy w końcu zaczął traktować jak swoją słabość. Zdecydował się więc zerwać z nią i całkowicie poświęcić życie walce z caratem i budowie komunizmu na świecie.

W 1912 r. wysłał Armand – nielegalnie – do Rosji z misją partyjną. Jego była kochanka została wówczas aresztowana za pracę konspiracyjną i całą jesień i zimę 1912 r. spędziła w więzieniu w Petersburgu. Jednak dzięki swemu wpływowemu pierwszemu mężowi 20 marca 1913 r. została zwolniona (za ogromną kaucją). Leczyła się następnie w sanatorium na gruźlicę. Po czterech miesiącach uciekła za granicę.

Wraz z wybuchem pierwszej wojny światowej Inessa, przebywając w Paryżu z polecenia Lenina, rozpoczęła akcję agitacyjną wśród francuskich robotników, namawiając ich do rezygnacji z pracy. Po rewolucji lutowej w kwietniu 1917 r. Inessa przybyła do Rosji przez Niemcy w słynnym „zaplombowanym wagonie", wraz z Leninem i innymi bolszewikami.

„Towarzyszka Inessa" pozostała wierna do końca życia swemu przywódcy i rewolucji. Brała udział w rewolucji październikowej i pracowała dla rodzącego się państwa sowieckiego, bez wahania godząc się na wszystkie zbrodnie, które spadły na narody byłego imperium rosyjskiego z woli jej ukochanego.

W 1919 r., w ramach sowieckiej misji dyplomatycznej, wyjechała ponownie do Francji, próbując nawiązać kontakty między rządem Lenina a Francją. W latach 1919–1920 Armand stała na czele wydziału kobiecego Komitetu Centralnego partii bolszewików. Jej prawą ręką na tym stanowisku została Aleksandra Kołłontaj. Była kochanka Lenina została organizatorką i liderką I Międzynarodowej Konferencji Komunistycznej Kobiet (1920). W tym samym roku zmarła na cholerę.

Na koniec ciekawostka: w 1968 r. w legendarnej gdańskiej stoczni im. Lenina zbudowano dla ZSRS duży statek handlowy, który otrzymał nazwę „Inessa Armand". Czy pływa on wciąż pod rosyjską banderą? Tego już niestety nie udało mi się ustalić.



Włodzimierz Lenin i Nadieżda Krupska
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 16949dbbda



Tomasz Stańczyk

Nieumiarkowane życie seksualne to cecha burżuazyjna, szkodząca rewolucji – stwierdzał Włodzimierz Iljicz, dodając, że od „teorii szklanki wody" młodzież wprost oszalała



Sowiecki plakat propagandowy FOT. COMMONS WIKIMEDIA, REGIONALNE MUZEUM W ZAPOROŻU, ADAM JONES

XX w. / Moralność komunistyczna

Leninowski seks

Pewnego razu Klara Zetkin, niemiecka rewolucjonistka, spotkała się z Włodzimierzem Leninem, by porozmawiać o seksie (ale nie między nimi). Kwestie seksualne interesowały Zetkin w kontekście walki klasowej i rewolucji. Temat ten był tak ważny, że w 1948 r. przetłumaczono na polski broszurę, w której znajdował się zapis wypowiedzi Lenina (publikacja została wydana z myślą o... „pracownikach bezpieczeństwa", czyli ubekach). Jak bowiem pisano we wstępie: „Zagadnienia moralności i życia osobistego są częścią składową zagadnienia walki klasowej, jaka toczy się obecnie w Polsce".

Życie seksualne nie było więc czymś obojętnym dla ludzi wprowadzających w życie „przodujący ustrój", czymś, co nie miało wpływu na walkę klasową. Jak podkreślano, pracownik organów bezpieczeństwa winien być człowiekiem o wysokim poziomie moralnym. Do niego więc adresowano myśli Lenina o seksie.

Włodzimierz Iljicz rozpoczął swe wywody od stwierdzenia, że odnosi się z nieufnością do różnych teorii płciowych i nie ufa tym, którzy ciągle i uporczywie pochłonięci są zagadnieniami płci. Przyrównał ich do fakirów, którzy wpatrują się we własny pępek.

„Wydaje mi się – konkludował Włodzimierz Iljicz – że obfitość teorii płci, które najczęściej okazują się hipotezami – na domiar często dowolnymi – wypływają z potrzeb osobistych. Mianowicie z dążenia, by usprawiedliwić przed moralnością burżuazyjną własne nienormalne lub wybujałe życie płciowe".

Klara Zetkin, kontynuując rozmowę, powiedziała, że świat starych uczuć i myśli trzeszczy w posadach, obecne stosunki społeczne rozluźniają się i rozpadają. A krytyczny stosunek do społeczeństwa burżuazyjnego powinien prowadzić do potępienia zakłamanej moralności płciowej. Lenin zgodził się z rozmówczynią, stwierdził jednak, że trzeba problem rozważać po marksistowsku. W przeciwnym razie dojdzie do tego, że nie będzie się uważać zagadnienia płci i małżeństwa za część głównego zagadnienia społecznego, a wręcz przeciwnie – wielkie zagadnienie społeczne stanie się tylko dodatkiem do spraw płciowych. Przywołał powiedzenie króla Salomona, że wszystko ma swój czas, i zapytał retorycznie Klarę Zetkin: „Powiedzcie proszę, czy dzisiaj jest czas na to, aby całymi miesiącami kobiety pracujące zajmowały się tym, jak kochać i być kochaną, jak się zalecać i zaloty przyjmować?". A przecież teraz myśli kobiet nie na to powinny być zwrócone, lecz na rewolucję. To ona odrodzi małżeństwo i życie płciowe.

Przywódca Rosji bolszewickiej z wyrzutem pytał niemiecką komunistkę,

eprasa.pl 16949dbbda

dlaczego w jej kraju partia zajmuje się uświadamianiem kobiet w sprawach płci, małżeństwa, w tym u Aborygenów (Lenin powiedział dosłownie: „u negrów australijskich") lub w świecie starożytnym, podczas gdy naprawdę ważne są inne problemy.

Zetkin odpowiadała „swemu niecierpliwemu przyjacielowi", że krytykowała takie metody pracy partyjnej i obecnie sprawy płci i małżeństwa nie są już głównymi tematami zebrań partyjnych.

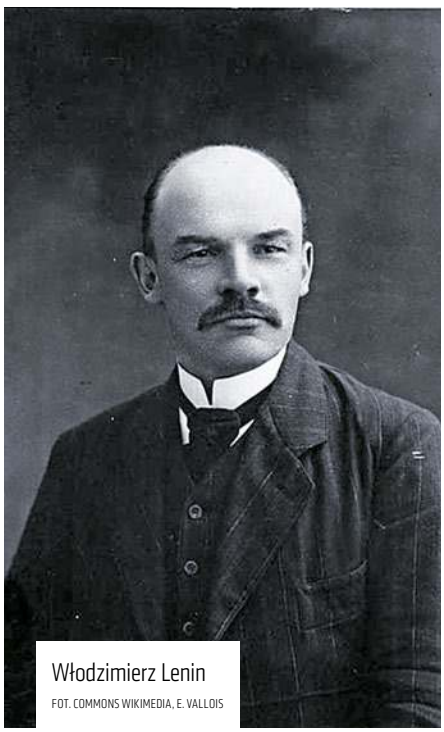


Klara Zetkin FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Szkodliwe wybryki

Kontynuując wymianę myśli, Lenin zauważył, że zdaje sobie sprawę z tego, iż jest traktowany jako filister, ale znosi to ze spokojem. „Żółtodziobe pisklęta, które ledwo wykluwają się z jajek burżuazyjnych poglądów, są straszliwie mądre" – stwierdził ironicznie. Ale trudno, trzeba się z tym pogodzić, nie mogąc temu nic zaradzić. Trzeba pogodzić się także z tym, że młodzież choruje na „nowoczesne" podejście do zagadnień płci i na nadmierne zainteresowanie tym tematem.

Wbrew temu, co mówiła Zetkin, informatorzy Lenina donosili mu, że w komunistycznej młodzieżówce niemieckiej sprawy płciowe są ulubionym tematem rozmów. „To są wybryki szczególnie szkodliwie dla ruchu młodzieżowego, szczególnie niebezpieczne" – podkreślał Włodzimierz Iljicz. Tłumaczył swojej rozmówczyni, że można w ten sposób łatwo nadmiernie pobudzić i podsycić zainteresowanie życiem seksualnym (w oryginale „płciowym"). A konsekwencją jest roztrwonienie zdrowia i sił młodzieży. Trzeba się temu przeciwstawić. Towarzyszki partyjne powinny prowadzić planową pracę z młodzieżą. „To podnosi duchowo i przenosi je ze świata macierzyństwa indywidualnego w świat macierzyństwa społecznego". Co Lenin miał na myśli, mówiąc o „macierzyństwie społecznym", tego już nie wyjaśnił. Dodał, że kobiety powinny przezwyciężyć „ograniczoność swej mieszczańskiej, indywidualistycznej domowej i rodzinnej psychiki". Jak wynika z wcześniejszych słów Włodzimierza Iljicza, przezwyciężanie tej ograniczoności kobiecej psychiki nie może jednak polegać na zajmowaniu się sprawami miłości i zalotów.



Włodzimierz Lenin FOT. COMMONS WIKIMEDIA, E. VALLOIS

Lenin zauważył, że stare wartości rozpadają się, następuje „rozkład, gnicie małżeństwa burżuazyjnego". W tej sytuacji odczucia ludzi ulegają szybkim przeobrażeniom, przy czym „podniecające pragnienie rozkoszy łatwo osiąga niepohamowaną siłę". Nadchodzi jednak rewolucja w dziedzinie małżeństwa i stosunków płciowych. Oczywiście – jak zapewniał Lenin swą rozmówczynię – nie chodzi o propagowanie „mnisiego ascetyzmu". Jednak Włodzimierz Iljicz bardzo wątpił, czy to dobrze, że sprawy płciowe stają się centralnymi w psychice młodzieży. Obawiał się, że następstwa tego stanu rzeczy mogą być katastrofalne.

Młodzież zaś – rozwijał ten wątek Lenin – traktuje swoje stanowisko w sprawach płciowych jako rewolucyjne i komunistyczne. „Chociaż nie jestem bynajmniej ponurym ascetą – zapewniał – to jednak tak zwane »nowe życie płciowe« młodzieży – a często i dorosłych – dość często wydaje mi się odmianą zwyczajnego burżuazyjnego domu publicznego". Nie ma to nic wspólnego ze swobodą miłości – taką, jak ją pojmują komuniści.

Teoria „szklanki wody"

Włodzimierz Iljicz zapytał Klarę Zetkin, czy znana jest jej teoria „szklanki wody", po czym nie czekając na odpowiedź, oświadczył: „Od tej teorii »szklan-

eprasa.pl 16949dbbda

ki wody« nasza młodzież oszalała, wprost oszalała". A jeszcze twierdzi ona, że to teoria marksistowska. Jest wręcz przeciwnie, a w dodatku jest to teoria antyspołeczna. „Oczywiście! Pragnienie wymaga zaspokojenia – zgadzał się Lenin. – Ale czyż człowiek normalny w normalnych warunkach położy się na ulicy w błoto i będzie pił z kałuży? Lub nawet ze szklanki, której brzegi noszą ślady dziasiątków warg". Włodzimierz Iljicz oświadczył, że jako komunista nie ma najmniejszej sympatii dla teorii „szklanki wody", nawet gdy przedstawia się ją jako „miłość wyzwoloną". Przypomniał, że ta teoria nie jest nowa. Głoszono ją w literaturze pięknej połowy XIX w. i przedstawiano wówczas jako „emancypację serc". Ale w praktyce burżuazyjnej oznaczało to „emancypację ciała". Zaznaczył skromnie, że co do strony praktycznej nie może wydać sądu. Taki sąd o „emancypacji ciała" mogłaby wydać Aleksandra Kołłontaj, jego towarzyszka partyjna. I choć błędnie przypisywano jej stworzenie teorii „szklanki wody", to jednak z zapałem wdrażała ją w życie.

Lenin zastrzegał się, że jego krytyka nie oznacza chęci propagowania ascetyzmu płciowego. Komunizm ma przynieść nie ascetyzm, lecz radość życia wynikającą także z życia miłosnego. Zalecał młodzieży sport i wszelkiego rodzaju ćwiczenia sportowe, wycieczki. To bowiem daje jej więcej niż referaty i dyskusje na temat płci oraz tzw. używanie życia.

„Ani mnich, ani Don Juan, ale i nie zdemoralizowany mieszczanin, jako coś pośredniego" – takie było stanowisko Lenina w sprawach płciowych. Opowiadał Klarze Zetkin o jednym z młodych towarzyszy, bardzo utalentowanym. Ale cóż z tego, gdy rzuca się z jednej awantury miłosnej w drugą? Lenin obawiał się, że nic z niego dobrego nie będzie. „Nie ręczę też – dodawał – za pewność i nieustępliwość w walce tych kobiet, u których romans osobisty przeplata się z polityką, ani za mężczyzn, lecących za byle spódniczką i dających się usidlić każdej młodej kobiecie. Nie, nie, to nie ma nic wspólnego ze sprawą rewolucji".

Wzburzony Lenin zerwał się, uderzył pięścią w stół i zaczął chodzić po pokoju, monologując: „Rewolucja wymaga skupienia, napięcia sił. Od nas, od jednostki. Nie znosi ona stanów orgiastycznych […]. Niepowściągliwość w życiu płciowym – to cecha burżuazyjna: jest ona oznaką rozkładu. Proletariat – to klasa wschodząca. Nie jest mu potrzebne oszołomienie, które by go ogłuszało lub pobudzało […]. Samoopanowanie, samodyscyplina to nie niewola, są one niezbędne i w miłości".



„Najlepsze robotnice i chłopki – do partii!"
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Ochłonąwszy, Włodzimierz Iljicz stwierdził, że zagadał się tak, ponieważ przejęła go groza niebezpieczeństwa wisząca nad młodzieżą. A gdy szkodliwe zjawiska burżuazyjnego społeczeństwa zaczynają wdzierać się w świat rewolucji, lepiej walczyć z nimi zawczasu.

W Związku Sowieckim odrzucono teorię „szklanki wody" na rzecz ascetyzmu w sferze seksu. Lenin nie zdążył już przeczytać wydanej w 1924 r. pracy psychologa Arona Zalkinda pt. „Dwanaście przykazań seksualnych rewolucyjnego proletariatu". Z pewnością by ją pochwalił. Zalkind sprzeciwiał się przedwczesnemu rozpoczynaniu życia seksualnego, uważał, że przed zawarciem małżeństwa konieczna jest abstynencja seksualna. Miłość powinna być monogamiczna i „monoandryczna" (jedna kobieta, jeden mężczyzna), z tym że nie powinno się często zmieniać partnera seksualnego. Z relacji miłosnych należy wykluczyć takie elementy podboju seksualnego jak flirt, zaloty, kokieteria. Nie powinno się tolerować żadnych perwersji seksualnych. Po wymienieniu tych i pozostałych przykazań Zalkind stwierdzał, że partia komunistyczna w interesie rewolucji może ingerować w życie seksualne ludzi.

Dzika praca kobiet

Lenin obiecywał kobietom pełne równouprawnienie z mężczyznami i wyzwolenie. Co rozumiał przez to ostatnie, wyłożył na konferencji robotnic moskiewskich w 1919 r. Mówił, że nawet przy całkowitym równouprawnieniu obu płci kobieta jest faktycznie ujarzmiona. Wykonuje bowiem wciąż „najbardziej dziką i ciężką pracę". Co nią jest? Prowadzenie gospodarstwa domowego, zajmowanie się dziećmi. Na domiar złego jest to praca przytępiająca, niewydajna. Prowadzenie domu przez kobiety nazwał innym razem czymś poniżającym i niewymownie bezpłodnym.

Kobieta może jednak zostać wyzwolona ze stanu „niewolnicy domowej" dzięki tworzeniu jadłodajni, żłobków i „domów dziecięcych" (zapewne przedszkoli). Pozwoli to jej zostać kobietą robotnicą. Klara Zetkin pisała w broszurze pt. „Socjalne stanowisko kobiety" (1905), że myśl o emancypacji kobiety nie mogła się pojawić „dotąd, pokąd nie pojawiły się huczące maszyny; one to stały się oswobodzicielkami kobiety, one stały się zaczątkiem ekonomicznej samodzielności kobiety". Rozmówczyni Lenina najwyraźniej uważała, że wolność i emancypacja „od kuchennego garnka" – jak to określiła – polega na przejściu kobiety z pracy domowej do pracy w fabryce. Tam może zarobić własne pieniądze, a dzięki temu „zyskuje możność pożycia niezależnego, bez udziału mężczyzny".

Wyzwolona od prowadzenia domu kobieta mogła zająć się polityką. Lenin kreślił taką perspektywę: „Przed kobietą robotnicą otwiera się szerokie pole działalności politycznej, która będzie polegać na tym, by kobieta swoimi zdolnościami organizatorskimi dopomagała mężczyźnie". Zwraca uwagę słowo „dopomagała", mało kojarzące się z równouprawnieniem. Polityka miała więc być domeną mężczyzn. I w „przodującym ustroju" – w Związku Sowieckim – rzeczywiście taka była.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 16949dbbda



Wojna domowa w Hiszpanii / Niezastąpieni legioniści i Regulares

Oddział Legión Extranjera w Constantina, w marszu na Madryt FOT. MUSEO REINA SOFIA

Afrykańska pięść Franco



Arkadiusz Karbowiak

Zwycięstwo prawicy w wojnie domowej byłoby niemożliwe, gdyby nie determinacja i poświęcenie ze strony hiszpańskiej Armii Afrykańskiej

Żołnierze tej formacji (hiszp. Ejército de África) byli bitni, posiadali doświadczenie bojowe i znakomite umiejętności. Składała się ona zasadniczo z dwóch komponentów. Pierwszym był Legión Extranjera (Legia Cudzoziemska). Była to formacja powołana do życia w 1920 r., aby prowadzić walki z rebeliantami w hiszpańskim protektoracie Maroka Północnego. Pogłębiające się tam od 1911 r. chaos i anarchia wymagały utrzymywania licznych jednostek wojskowych. Te, które składały się z żołnierzy poborowych, słabo radziły sobie w starciach z coraz liczniejszymi zbrojnymi grupami kabylskich partyzantów (Kabylowie to jeden z narodów berberyjskich), a ponoszone przez nie straty budziły niezadowolenie hiszpańskiej opinii publicznej. Dlatego jeszcze w 1911 r. zdecydowano się stworzyć tzw. Regularne Siły Tubylcze (Fuerzas Regulares Indígenas), złożone z Marokańczyków, ale dowodzone przez hiszpańskich oficerów. Był to drugi komponent Armii Afrykańskiej.

Osiem lat później do bazy francuskiej Légion Étrangère w Sidi bel Abes przybył wysłany tam przez ministra wojny ppłk José Millán-Astray, weteran wojny na Filipinach, który w Maroku był dowódcą taboru (odpowiednik batalionu) Regulares. Miał on zorientować się, jak funkcjonuje francuska Legia Cudzoziemska. Po powrocie, uzbrojony w stosowną wiedzę, podpułkownik wygłosił 14 maja 1920 r. wykład, któremu przysłuchiwali się wyżsi oficerowie armii i marynarki wojennej. Przedstawił on wówczas swoje obserwacje. W ten sposób, na podstawie dekretu króla Alfonsa XIII, powstał Tercio de Extranjeros (nazwa „Tercio", czyli pułk, nie przyjęła się i dlatego w późniejszym okresie posługiwano się słowem „Legión"). 2 września nominację na dowódcę legii otrzymał ppłk José Millán-Astray. Dziewięć dni później w Ceucie otwarto biuro rekrutacyjne.

Baltasar Queija Vega był pierwszym legionistą, który zginął w walce. Doszło do tego 7 stycznia 1921 r. podczas obrony jednego z terenowych posterunków, który zaatakowali rebelianci. Co ciekawe, w kieszeni jego munduru znaleziono napisany przez niego wiersz, w którym opisywał on chęć spotkania się ze zmarłą ukochaną. W ten sposób powstał, zaśpiewany po raz pierwszy w teatrze w Maladze, utwór „El novio de la Muerte", czyli „Oblubieniec Śmierci" (słowa: Fidel Prado, muzyka: Juan Costa). Pieśń stała się hymnem legii. Co roku możemy wysłuchać ją podczas uroczystości religijnych, które odbywają się w Wielki Czwartek w Maladze. Motyw śmierci był ciągle obecny w legii; często nawiązywał do niego zresztą sam ppłk Astray. On też określił kanon zachowań legionistów, który był oparty do pewnego stopnia na

eprasa.pl 16949dbbda

kodeksie bushido. Legia stała się swego rodzaju wspólnotą losu, złączoną duchem walki, bezprzykładnym i bezinteresownym poświeceniem, a także pogardą dla śmierci (stąd popularny w legii był okrzyk „Viva la Muerte" – „Niech żyje śmierć").

Stały napływ ochotników spowodował, że stworzono trzy bandery, czyli bataliony, składające się z trzech kompanii strzeleckich i jednej broni maszynowej. Astray w następujący sposób witał w szeregach legionu nowych żołnierzy: „Legioniści – przybywacie, aby umrzeć. Legion otwiera przed wami drzwi. Znajdziecie w nim uczucie, ochronę, rodzinę. Oferuję wam zapomnienie, zaszczyty i chwałę. Będziecie dumni, że jesteście legionistami!".



Mapa hiszpańskiego protektoratu w Afryce, 1924 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTECA VIRTUAL DEL PATRIMONIO, SOGERESA MADRID

Hiszpański trzon

W przeciwieństwie do modelu francuskiego, gdzie Légion Étrangère był formacją stricte cudzoziemską, w przypadku Legión Extranjera zdecydowaną większość żołnierzy stanowili Hiszpanie (przykładowo w 1930 r. odsetek obcokrajowców wynosił jedynie 17,5 proc.). Jeżeli chodzi o skład narodowościowy, to na 9 kwietnia 1922 r. w legii służyło 195 Portugalczyków, 149 Kubańczyków, 105 Francuzów, 91 Niemców, 75 Argentyńczyków, 66 Anglików, 52 Włochów i po kilkudziesięciu Meksykanów, Chilijczyków, Austriaków, Szwajcarów, kilkunastu Rumunów, Bułgarów i Kolombijczyków. Motywacje żołnierzy były różne. Legionista Llorente Aguilella, który zdezerterował z armii kubańskiej, aby wraz z trzema towarzyszami zaciągnąć się do hiszpańskiej legii, tak to tłumaczył: „Uchwyciłem się pomysłu wyjazdu do Afryki, zaciągnięcia się do legii, w celu walki za Hiszpanię, przeżycia wojny z jej przygodami. To mnie uwiodło, wydawało się, że to moja przyszłość".

W lipcu 1921 r. na rozkaz wyższego komisarza w protektoracie, gen. Damaso Berenguera, legionistów przerzucono do wschodniej części Maroka, gdzie sytuacja stała się dramatyczna. Było to wynikiem klęski, którą wojskom hiszpańskim zadali rifeńscy powstańcy (Rifenowie – grupa plemion berberskich). Władze obawiały się wówczas nawet zajęcia Melilli. Dlatego pojawienie się w tym mieście legionistów zostało przyjęte – nie tylko przez tamtejsze władze, lecz także przez zwykłych mieszkańców – z wielką radością i ulgą. Wspomniana katastrofa armii hiszpańskiej wywołała w kraju głęboki wstrząs. Po raz kolejny okazało się, że do walki z powstańcami potrzebne są sprawnie dowodzone jednostki zawodowe. A taką był właśnie Legión Extranjera.

Postawy służących w nim żołnierzy kształtowali dowódcy. Największe piętno w tym względzie odcisnął niezwykle odważny w walce, wspomniany wyżej ppłk José Millán-Astray. 17 września 1921 r. w wąwozie Amadi został on ranny w klatkę piersiową. Szybko powrócił do służby i już 10 stycznia 1922 r. raniono go po raz drugi, tym razem w nogę. Trzecia rana w rękę skutkowała gangreną i koniecznością amputacji kończyny, a czwarta spowodowała utratę jednego oka. Pomimo swej charyzmy oraz bezinteresownej służbie ojczyźnie 13 listopada 1922 r. płk José Millán-Astray został odwołany ze stanowiska dowódcy Legión Extranjera. Jego następcą został ppłk Rafael Valenzuela, jednak już 5 czerwca 1923 r. poległ on podczas ataku rebeliantów na konwój, który miał za zadanie dostarczyć amunicję i żywność do posterunku Tizzi-Asa. Trzy dni później dowództwo legii objął ppłk Francisco Franco. Nie był to łatwy czas, ponieważ intensywność walk w Maroku rosła. Rifenowie zaatakowali także Maroko



Żołnierze Legión Extranjera z głowami powstańców berberyjskich w Maroku, 1922r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BARCELONA INDYMEDIA ORRA

eprasa.pl 16949dbbda



Generał José Milán-Astray

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Francuskie, czego skutkiem było porozumienie i współpraca wojskowa między Francją i Hiszpanią w zakresie zwalczania powstańców.

Przełomowe znaczenie w wojnie z Rifenami miało lądowanie sił hiszpańskich 8 października 1925 r. pod Alhucemas (pierwszy raz w historii podczas desantu morskiego użyto czołgów), które odmieniło losy wojny. Klęski zadawane przez armie francuską i hiszpańską siłom powstańczym Abd el-Krima skłoniły marokańskiego przywódcę do poddania się Francuzom 26 maja 1926 r. Armia hiszpańska walczyła jeszcze z jego podkomendnymi do 5 lipca roku następnego. Legión Extranjera poniósł podczas wojny w Maroku (w latach 1921–1927) straty w wysokości 1987 zabitych i 6096 rannych. Stłumienie powstania w protektoracie było możliwe głównie dzięki legionistom. Nie ma jednak co ukrywać, że kampania marokańska była wyjątkowo brutalnym konfliktem. Legioniści często rozstrzeliwali wziętych do niewoli jeńców, czasami ścinali im głowy lub okaleczali ich, co widać zresztą na fotografiach. Rebelianci nie byli im dłużni. Jeńców hiszpańskich mordowali i – zgodnie ze swoimi zwyczajami – kastrowali. Obie strony postępowały wobec siebie z niezwykłą bezwzględnością, która zresztą zazwyczaj charakteryzowała konflikty kolonialne.

Kolejne wyzwanie stanęło przed legionistami w październiku 1934 r., gdy wybuchło powstanie w Asturii. Jego inspiratorami byli skupieni w Komitecie Rewolucyjnym socjaliści, komuniści i anarchosyndykaliści. Ostrze rebelii, powiązanej z ogólnokrajowym strajkiem generalnym, wymierzone było w centroprawicowy rząd. Po konsultacjach ze stojącym na czele sztabu generalnego armii hiszpańskiej gen. Francisco Franco premier Alejandro Lerroux oraz minister wojny Diego Hidalgo nakazali skierowanie Legión Extranjera w rejon objęty rewoltą. Z Ceuty do Asturii przetransportowano Banderę V i VI, tabor (batalion) Regulares oraz batalion lekkiej piechoty afrykańskiej. Siły te pod wodzą płk. Juana Yagüe ruszyły na asturyjskie miasta, aby przywrócić ład i porządek. 10 października 1934 r. Regulares wkroczyli do Gijón. Stamtąd przemieścili się do Oviedo, gdzie wspólnie z Legionarios toczyli do 16 października zacięte walki z lewicowymi bojownikami. Dwa dni później siły rewolucyjne poddały się gen. Lopezowi Ochoa. Kampania asturyjska kosztowała legionistów 13 zabitych i 46 rannych. Pięciu żołnierzy legii odznaczono za męstwo okazane w czasie starć. Kapral López Sánchez otrzymał indywidualny medal wojenny. Duże straty poniosły oddziały rewolucyjne – 1084 bojowników zginęło lub zostało rozstrzelanych (do tej drugiej kategorii zaliczyć należy ok. 200 osób).

Na pomoc Franco

Wybuch Alzamiento Nacional (Powstania Narodowego) w lipcu 1936 r. sprawił, że legioniści stanęli przed koniecznością realizacji najważniejszego i najtrudniejszego z dotychczasowych zadań. Dla dowodzących rebelią hiszpańskich generałów było jasne, że jeśli powstanie ma się udać, to po szybkim opanowaniu 17 lipca Maroka priorytetową kwestią musi być przetransportowanie Armii Afrykańskiej na kontynent. Generał Franco wierzył, że posiadająca duże doświadczenie bojowe oraz wysokie morale formacja poradzi się sobie z przeciwnikiem i przechyli szalę zwycięstwa na korzyść obozu narodowego. Dowódcą kontyngentu legii walczącego na południu Hiszpanii mianowano znanego z okresu tłumienia powstania w Asturii płk. Yagüe. Ponieważ marynarka wojenna opowiedziała się po stronie władz republikańskich, gen. Franco nakazał przerzut żołnierzy drogą lotniczą za pomocą pięciu (a następnie sześciu) posiadanych samolotów, z których każdy mógł zabrać po 15–16 osób. W ten sposób 20 lipca rozpoczął się most powietrzny (wspierany od 29 lipca przez niemieckie, a następnie włoskie samoloty). 29 lipca pojawiło się w Sewilli 21 tercios (pod wodzą ppor. Francesco Gassola) należących do 17. kompanii V Bandery. W ciągu kolejnych dni dyslokowano pozostałą część batalionu.

W Sewilli gen. Gonzalo Quiepo de Llano opanował centrum miasta i rozgłośnię radiową. Miał wówczas pod swoją komendą grupę żołnierzy, członków Guardia Civil, Guardia de Assalto, falangistów i karlistów z milicji Requetes. Nadawane przez niego komunikaty wskazywały, że miasto jest w rękach powstańców, ale w rzeczywistości robotnicze dzielnice opanowane były przez skrajnie lewicowe formacje paramilitarne. Dopiero 22 lipca kontrolę nad nimi przejęli rebelianci, co w dużej mierze było zasługą żołnierzy V Bandery mjr. Antonia Castejóna.

W leżącym przy granicy z Portugalią Badajoz zasłużyli się oni chwalebnie, a także haniebnie. Miasta broniło ok. 2 tys. milicjantów i 500 żołnierzy armii regularnej. Walki miały zacięty charakter. Poświęcenie Legionarios było widoczne szczególnie 14 sierpnia, gdy podczas szturmu olbrzymie straty

eprasa.pl 16949dbbda

poniosła 16. kompania dowodzona przez kpt. Pereza Cabarello, atakując bagnetami z hymnem legii na ustach. Pokaz opanowania, niezwykłego hartu ducha i pogardy w obliczu śmierci zawarł on w meldunku skierowanym do płk. Yagüe: „Mam 14 legionistów. Posiłków nie potrzebuję".

W bitwie o Badajoz poległo lub zostało rannych 185 żołnierzy wojsk nacjonalistycznych (aż 106 należało do IV Bandery Legión Extranjera). Badajoz stało się znane nie tylko dzięki krwawym walkom, lecz także za sprawą masakry, do której doszło po ich zakończeniu. Egzekucje jeńców republikańskich dokonywane były już w trakcie trwających zmagań zbrojnych. Po zdobyciu miasta Regulares oraz falangiści rozstrzelali co najmniej 1341 osób, wykorzystując do tego m.in. arenę, na której odbywały się walki byków. Przyznał to zresztą w rozmowie z amerykańskim dziennikarzem sam płk Yagüe, wskazując, że nie mógł zostawić na swoim zapleczu 4 tys. „czerwonych" (w rzeczywistości ta liczba wydaje się obejmować rozstrzelanych w Badajoz w latach 1936–1937).

Abstrahując od tych okrucieństw, choć dokonywano ich w mniejszej skali właściwie w każdym zajmowanym mieście – także w odwecie za zabójstwa prawicowych działaczy – to należy jednak podkreślić, że osiągnięcia militarne legionistów i Regulares muszą budzić podziw. Tempo natarcia prowadzonego w ciągu czterech tygodni i jego sukcesy były wręcz oszałamiające. Armia Afrykańska przebyła 500 km, opanowała setki miejscowości, a uderzając od strony Andaluzji, doprowadziła po zdobyciu Méridy do połączenia z działającymi na północy wojskami gen. Emilio Moli, dzięki czemu przy granicy z Portugalią powstało terytorium kontrolowane przez siły nacjonalistyczne.

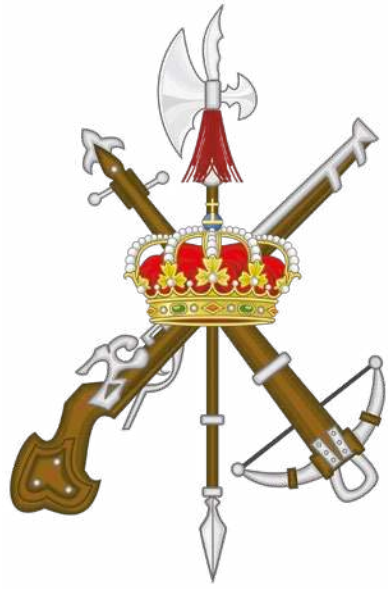
Nad Ebro

Legionarios wraz z Regulares stali się swoistą pięścią armii powstańczej. Kierowano ich na najbardziej newralgiczne odcinki frontu. Brali udział w bitwach pod Brunete, pod Teruel, a w walkach nad Ebro dali pokaz niezwykłego bohaterstwa. Przykładem jest tu postać ppor. Giuseppe Borghese de Borbon. 22 września 1938 r., dowodząc 11. kompanią IV Bandery, został ranny w nogę podczas ataku na okopy przeciwnika nad Ebro. Nie przeszkodziło mu to jednak zlikwidować trzyosobowej obsługi gniazda ckm-u, a następnie wesprzeć ogniem swoich podkomendnych. W czasie kontrataku czerwonych utrzymywał swoją pozycję aż do momentu, gdy został ciężko raniony w eksplozji granatu. Ale nawet wtedy, aż do samej śmierci z powodu wykrwawienia, zagrzewał swoich żołnierzy do walki. Za swoją postawę podporucznik został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Laurowym św. Ferdynanda.

O determinacji Legionarios świadczy również przypadek żołnierzy VI Bandery, którzy 10–11 maja 1937 r. w okolicach Toledo odpierali ataki republikańskiej piechoty wspartej czołgami, tracąc w tym czasie 475 ludzi (zabitych, rannych i zaginionych). W Toledo mieści się sławna twierdza Alcázar, gdzie rok wcześniej bronili się przed republikanami powstańcy pod dowództwem płk. José Moscardó. Okrążenie Toledo zostało przerwane 27 września 1936 r., gdy z obrońcami połączyły się oddziały V Bandery kpt. Carlosa Tiede Zedena, niemieckiego oficera z okresu wielkiej wojny, dowódcy 19. kompanii V Bandery, oraz 1. kompania Regulares por. Luisa Lahuerty (Marokańczycy, „świętując" zwycięstwo, zmasakrowali wówczas w szpitalu św. Jana 200 rannych republikańskich milicjantów).

Emblemat hiszpańskiego Legionu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HERALDER



Okres wojny domowej był dla legii czasem rozwoju. Poza istniejącymi siłami powstało wtedy dodatkowo 10 batalionów (w sumie było ich więc 18). Zaciągali się do nich także cudzoziemcy, którzy chcieli walczyć o katolicką i narodową Hiszpanię. Do takich osób należał jedyny Australijczyk walczący po stronie gen. Franco – Joseph Nugent Bull z Sydney. Pochodził on z głęboko wierzącej katolickiej rodziny. Jego brat, Gerard, który miał na niego wielki wpływ, był katolickim intelektualistą. Bull zaciągnął się do legii 16 października 1937 r., a ponieważ nie znał hiszpańskiego, wcielono go do kompanii francuskich ochotników im. Joanny d'Arc (potem 67. kompania XVII Bandery). Ranny pod Teruel, nie mogąc pełnić służby liniowej, trafił do jednostki transportowej. Zginął w 8 września 1940 r. jako pilot RAF.

Nie wszyscy wolontariusze wytrzymywali jednak trudy służby. Frank Thomas, Walijczyk z Cardiff, który wstąpił w październiku 1936 r. do legii, został dość szybko ciężko ranny, ale po wyleczeniu zdezerterował. Ukrył się wśród żołnierzy tzw. Brigada Irlandesa (XV Bandera) złożonej z Irlandczyków i rozwiązanej wiosną 1937 r. ze względu na brak jakiejkolwiek wartości bojowej (znalazł się w gronie osób odesłanych do Irlandii).

1 kwietnia 1939 r. wojna domowa w Hiszpanii dobiegła końca. Legionarios złożyli w jej trakcie niemałą daninę krwi – 7645 zabitych, 28 972 rannych, 776 zaginionych (Regulares – 11 500 poległych i 55 468 rannych). Hiszpańska legia cudzoziemska, która w latach 30. tak zawzięcie, a nierzadko też okrutnie stawiała tamę komunizmowi, wciąż jest jedną z najbardziej wartościowych jednostek armii hiszpańskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

LITERATURA:

Alvarez J.E., ***„The Spanish Foreign Legion in the Spanish Civil War, 1936";*** *Ballenilla y Garcia de Gamara M.,* ***„La legión española (1920–1927). La creación de una unidad colonial";*** *Keene J.,* ***„Fighting For Franco: International Volunteers in Nationalist Spain during the Spanish Civil War";*** *Othen C.,* ***„Franco's International Brigades: Adventurers, Fascists, and Christian Crusaders in the Spanish Civil War";*** *Scurr J.,* ***„The Spanish Foreign Legion".***

eprasa.pl 16949dbbda



Warszawa, wrzesień 1939 r. Stanowisko ciężkiego karabinu maszynowego FOT. NAC

1939 r. / Dalsze losy oficerów Wojska Polskiego

Uznani za poległych



Marek Gałęzowski

Sądzono, że zginęli we wrześniowych bojach, lecz przeżyli. Jeden z nich zmarł w obozie Auschwitz, drugi był autorem antykomunistycznej broszury wydanej podczas okupacji

Gdy po bitwie nad Bzurą nieliczni żołnierze rozbitych po zaciętym boju armii „Poznań" i „Pomorze" przebili się do Warszawy, było już wiadomo, że zbliża się także kres zmagań o stolicę Polski. Jej obrońcy jednak nie tylko nadal trwali na szańcach, lecz także podejmowali działania zaczepne. W nocy z 23 na 24 września 1939 r. uderzenie na Niemców oblegających miasto przeprowadziły bataliony zgrupowania ppłk. Leopolda Okulickiego. Polacy zaatakowali na odcinku Blizne – Chrzanów – Jelonki. W sukurs przyszedł im Batalion Stołeczny mjr. Józefa Spychalskiego. „Wypad ten sięgnął aż do szosy Blizne-Babice, gdzie został zatrzymany ogniem wszystkich rodzajów broni" – pisał Apoloniusz Zawilski. Straty polskie w tym drugim ataku nie były duże, wyniosły bowiem tylko dwóch zabitych. Jednym z nich miał być por. Juliusz Freisler, dowódca 1. kompanii ckm Batalionu Stołecznego. Informację o śmierci porucznika podał w sporządzonym krótko po ataku raporcie ppłk Okulicki, a dowódca Armii „Warszawa", gen. Juliusz Rómmel, mianował go za okazane męstwo – pośmiertnie – kapitanem. I jako poległy, spoczywający na cmentarzu w Babicach, Freisler został

eprasa.pl 16949dbbda





Porucznik Juliusz Freisler FOT. WIKIPEDIA

wymieniony w „Księdze pochowanych żołnierzy polskich poległych w II wojnie światowej. Żołnierze września", opublikowanej w 1993 r. A jednak ten dzielny porucznik wówczas nie zginął.

Obrońca Warszawy

Pochodził z Nowego Sącza i tam uczył się w II Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego. Po maturze przyjęto go do Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej. Ukończywszy ją w 1933 r., został mianowany podporucznikiem i przydzielony do 10. pp w Łowiczu. Drobne problemy z dyscypliną („przebywanie w nieodpowiednim towarzystwie [i] chodzenie po mieście w stanie podchmielonym") stały się przyczyną nagany i czterotygodniowego aresztu domowego w kwietniu 1935 r. Ale w tym samym roku zdarzyło się coś, co pozbawiło tę naganę znaczenia. W czasie ćwiczeń Freisler uratował bowiem życie jednemu ze swoich żołnierzy, sam jednak uległ ciężkiemu zranieniu – wybuch granatu wyrwanego z ręki podkomendnego pozbawił go oka i spowodował ciężką ranę prawej ręki, co zakończyło się najpewniej amputacją dłoni. Inwalidztwo stało się przyczyną zwolnienia młodego oficera z wojska. Freisler odwołał się jednak od tej decyzji, prosząc o możliwość pozostania w armii. Przychylono się do tego – najpierw został przydzielony do służby administracyjnej, ale i od tej decyzji się odwołał. Wrócił do piechoty i w 1938 r. awansował na stopień porucznika. Kilka miesięcy przed wybuchem wojny przeniesiono go do Kadry Zapasowej 1. Szpitala Okręgowego w Warszawie.

Po wybuchu wojny kadra została ewakuowana na wschodnie ziemie Polski. Wielu jej oficerów, jak mjr Leopold Łojek, ojciec słynnego historyka, dostało się tam do niewoli sowieckiej i padło ofiarą zbrodni katyńskiej. Jednak por. Freisler pozostał w Warszawie, co musiało nastąpić na jego wyraźną prośbę. Bronił stolicy, kilka dni przed 30. urodzinami wziął udział we wspomnianym nocnym uderzeniu na Niemców, po którym nie wrócił do oddziału i został uznany za poległego.

Prawda była inna. Okazało się, że ciężko ranny porucznik odzyskał przytomność w domu przy ul. Wolskiej, gdzie korzystając z pomocy nieznanej sobie wcześniej rodziny, leczył się przez miesiąc, po czym opuścił Warszawę. Opowiedział o tym w marcu 1945 r. płk. Ludwikowi Głowackiemu, przyszłemu historykowi obrony Warszawy i Modlina; jak podał Głowacki, Freisler zmarł jednak jeszcze w tym samym roku.

Losy tego oficera o prawdziwie niezłomnym charakterze w czasie okupacji niemieckiej nie są znane, wiadomo natomiast, czym zajmowali się jego najbliżsi. Wszyscy byli głęboko oddani sprawie niepodległości Polski. Ojciec, pochodzenia niemieckiego, odmówił podpisania folkslisty i wraz z matką Juliusza prowadził w swoim domu przy ul. Nawojowskiej 70 w Nowym Sączu punkt kontaktowy Armii Krajowej. W konspiracji działały ich dzieci – dwie córki i trzech synów. Największe zasługi stały się udziałem Jana, kuriera AK i uczestnika akcji „Burza", a pod okupacją komunistyczną – kuriera Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. Aresztowany przez UB, skazany na karę śmierci, zamienioną na wieloletnie więzienie, opuścił je ze zrujnowanym zdrowiem w 1955 r.

Pochodzenia żydowskiego, religii mojżeszowej

Stacjonujący w Radomiu 72. pułk piechoty, który przyjął za swojego patrona jednego z wybitnych dowódców z czasów powstania styczniowego, płk. Dionizego Czachowskiego, wyruszył na wojnę z Niemcami w składzie 28. DP Armii „Łódź". Od pierwszego dnia września pułk bronił granicy polskiej nad Widawką. Stamtąd w ciągłych walkach zaczął się cofać w kierunku Łodzi, ale 7 września 1939 r. w bitwie pod wsią Chechło uległ rozbiciu. Wśród wielu poległych jego żołnierzy, pochowanych później na cmentarzu w pobliskich Pabianicach, miał być także ppor. rez. Henryk Hamersztajn.

Starszy o rok od Freislera, był Polakiem pochodzenia żydowskiego, religii mojżeszowej, absolwentem II Gimnazjum Państwowego Matematyczno-Przyrodniczego w Radomiu i prawa na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Po uzyskaniu dyplomu odbył służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty w Zambrowie i na

eprasa.pl 16949dbbda



Cmentarz wojenny w Starych Babicach

FOT. STARE-BABICE.PL

Dywizyjnym Kursie Szkoły Podchorążych 15. pp. Uzyskał dobre opinie: „Charakter zrównoważony, usposobienie spokojne, poważne. Energiczne i rzutki. Ambicja osobista i ambicja pracy duża, lojalny i zdyscyplinowany. Wojskowo dobrze wyszkolony, pewny siebie. Rozkazodawstwo dobre. Inteligentny, umysł bystry, orientacja szybka i trafna. Ogólnie dobry".

Jako podoficer rezerwy objął stanowisko dowódcy plutonu w 15. pp, gdzie uznawano go za bardzo energicznego i pracowitego, o wysokim poczuciu honoru. 1 stycznia 1938 r. został mianowany podporucznikiem rezerwy. W tym czasie mieszkał w rodzinnym Radomiu. Brak informacji o wykonywanym zawodzie każe przypuszczać, że mimo ukończenia studiów nie miał stałej pracy.

We wrześniu 1939 r. dowodził plutonem ckm 72. pp. Chociaż również został wymieniony w „Księdze pochowanych żołnierzy polskich", poległych w tej kampanii, nie zginął pod Chechłem, lecz najpewniej został ranny i po zakończeniu walk wrócił do rodzinnego Radomia, gdzie przebywał w czasie okupacji niemieckiej. 10 czerwca 1942 r. został aresztowany przez Niemców za „wypowiadanie pogróżek pod adresem urzędnika" i po trzytygodniowym pobycie w więzieniu radomskim deportowany do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. I tam, już 27 września 1942 r., zginął.

Autor „Czerwonej targowicy"

Opisane wypadki nie należały do jedynych w czasie polskiego września 1939 r. Trzy dni przed rzekomą śmiercią por. Freislera w rejonie Babic w tym samym miejscu miał polec również ppor. rez. 26. pp Adam Radziejowski. Podobnie jak Freisler jest wymieniony wśród pochowanych na cmentarzu w Babicach Starych i podobnie jak on (i ppor. Hamersztajn) był jedynym oficerem w WP o takich personaliach, co dowodzi, że nie może być mowy o pomyleniu go z inną osobą.

Urodzony w 1903 r. w Łucku, uczył się w Kijowie i tam, w gimnazjum filologicznym męskim Polskiego Towarzystwa Popierania Szkoły Średniej, w 1919 r. zdał egzamin maturalny. Jak liczni polscy uczniowie działał w harcerstwie i jako zastępca drużynowego 1. Kijowskiej Drużyny Harcerskiej jeszcze przed maturą wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej. Działalność harcerskich peowiaków była skierowana przeciw bolszewikom, a Radziejowski jako wywiadowca prowadził stałą obserwację kijowskiego węzła kolejowego, był również łącznikiem między komórkami organizacji. Według przełożonych „przez cały czas swej pracy w POW gorliwie i wzorowo pełnił swe obowiązki". Wskutek denuncjacji w szeregach POW, spowodowanej przez tych jej członków, którzy przeszli na stronę bolszewików, w lipcu 1919 r. musiał wyjechać potajemnie z Kijowa, po czym przekradł się przez front do Warszawy.



Po przyjeździe do kraju Radziejowski, chociaż był niepełnoletni, został przydzielony do dyspozycji Oddziału II Sztabu Generalnego WP, a wkrótce na chwilę – po zwycięskiej ofensywie polskiej – miał wrócić do Kijowa. Nie zastał tam już swojego ojca Józefa, również należącego do POW, który w związku z działalnością syna poszukiwanego przez Czeka został aresztowany, wywieziony do Charkowa i tam 26 kwietnia 1920 r., a więc krótko przed wkroczeniem wojsk polskich do Kijowa, rozstrzelany. Był jedną z dziesiątków tysięcy ofiar czerwonego terroru okresu rosyjskiej wojny domowej, tego krwawego preludium zbrodni, które w kolejnych latach pochłonie miliony ludzi.

Po zakończeniu wojny Adam Radziejowski pracował jako urzędnik w Głównym Urzędzie Statystycznym, później wyjechał na Wołyń, gdzie od 1928 r. do wybuchu wojny był referentem politycznym w Wydziale Bezpieczeństwa Urzędu Wojewódzkiego w Łucku, który zajmował się zwalczaniem ruchu komunistycznego. Stopień oficera rezerwy otrzymał dość późno, dopiero w 1936 r., z przydziałem do 24. pp w Łucku. Nie miał jednak natury wojskowego – w opiniach podkreślano jego duże zalety osobiste, stwierdzano jednak, że nie jest przystosowany do służby liniowej, „gdzie wypada miernie". Bardziej krytyczna była ocena dowódcy pułku płk. Antoniego Żurakowskiego, wydana rok przed wybuchem wojny: „Zupełny »cywil«, w szeregach wojska czuje się nieswój, sprzyja temu brak sprawności fizycznej, otyłość i przyzwyczajenie do wygód".

We wrześniu 1939 r. ppor. Radziejowski jako oficer 26. (a nie 24.) pp miał wziąć udział w obronie Warszawy i – jak wspomniano – zginąć pod Babicami. A jednak – jak wynika ze świadectwa Wacława Zagórskiego, po wojnie ważnej postaci uchodźstwa polskiego



pobierania nadmiernych cen

Poszukiwanie

Adam Radziejowski przebywający w Stanach Zjednoczonych poszukuje przyjaciela **Józefa Olechnowicza** który w latach 30 był dyrektorem P; K; O; w Kurytybie i jak sądzę pozostał w Kurytybie w czasie wojny. Kto by wiedział o nim proszę poinformować mnie na adres: Adam Radziejowski

Odznaka 75. pułku piechoty i ogłoszenie z polonijnej gazety „Lud" z 1965 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ANWIT, PBC

eprasa.pl 16949dbbda



w Wielkiej Brytanii – cztery dni wcześniej Radziejowski był jeszcze w Łucku. Nawet jeżeli Zagórskiego zawiodła pamięć, chociaż niewątpliwie znał Radziejowskiego sprzed wojny, to poległego ponoć podporucznika widzimy wkrótce w okupowanej Warszawie – w BIP KG AK i w konspiracji piłsudczykowskiej. Zajmował się problematyką komunizmu, był publicystą pism Konwentu Organizacji Niepodległościowych „Droga" i „Tydzień" oraz autorem broszury „Czerwona targowica", opublikowanej w styczniu 1944 r. przez KON, w której demaskował charakter działalności komunistów w okupowanym kraju. Radziejowski pisał w niej m.in.: „Niewątpliwy i głęboki demokratyzm Polaków nakłada przymus liczenia się z nim każdemu, kto chce u nas wystąpić na widownię polityczną. Toteż każda obca agentura, która przystępuje do działania, musi zasady demokratyczne respektować i co najmniej teoretycznie je wyznawać. Chce ona jednak pod tym samym mianem przemycić zupełnie inną treść. Dlatego do znanego i ustalonego pojęcia trzeba koniecznie dodać jakiś przymiotnik. Tak więc słyszymy o »prawdziwej« demokracji, »sprawiedliwej« i »zreformowanej« i »unowocześnionej«, »zgniłej« itp. Stosownie do potrzeb chwili powstaje dodatkowe określenie, które jakoby doskonali lub obala znaną treść. Doskonale ocenili tę prawdę agenci sowieccy kierujący u nas pracami PPR. Oni, względnie ich skaptowani naiwni pomocnicy, wysunęli zasady demokratyczne. I oni nadali im odpowiednią ilość przymiotników, pomawiając wszystkich o fałszowanie idei demokratycznej. Nie mogli jednak w swej broszurze przemilczeć faktu, iż działają na korzyść Związku Radzieckiego".

W swojej broszurze Radziejowski piętnował także samowolne działania zbrojne komunistów, uznając je za prowadzone w interesie sowieckim, wbrew stanowisku władz Polskiego Państwa Podziemnego: „Prowokacyjne zamachy niestanowiące najmniejszego powodu do złamania okupanta, niedające satysfakcji ani interesowi ani honorowi narodowemu. Są to napady na pojedynczych szeregowców, rzucanie granatów w okna szpitali lub kawiarń itp. Tym niemniej wystarcza to na wywołanie paroksyzmu wściekłości u okupanta, wyrażającego się w postaci łapanek, brania zakładników i egzekucji publicznych. Winnym zostało całe społeczeństwo. Istotnie, jesteśmy winni swego nieprzejednanego stosunku do wroga. Lecz rozgrywka z nim musi być nasza, a nie narzucona nam przez interes sowiecki. Polskie organizacje niepodległościowe stosują nadal swą akcję bojową. Od kul naszych organizacji bojowych padają Niemcy – istotni sprawcy naszych nieszczęść, na których padły wyroki. Bo nam chodzi o samoobronę, nam chodzi o moment oszczędzania krwi społeczeństwa. Krew tę rzucimy wtedy, gdy tego będzie wymagała nasza racja stanu, a nie sowiecka lub czyja inna. W każdym bądź razie za bolszewizm, drugiego naszego wroga – walczyć nie będziemy".

A może Radziejowski jednak poległ we wrześniu 1939 r., a dokumentami na jego nazwisko posługiwała się inna osoba? Musiałaby jeszcze dodatkowo zajmować się jak i on problematyką komunistyczną – wszak tylko taka mogła napisać „Czerwoną targowicę". Poza tym z Radziejowskim ponownie zetknął się w okupowanej Warszawie wspomniany już Zagórski, również działający w KON. Jest jednak jeszcze jeden ślad decydujący, że autor „Czerwonej targowicy" nie tylko nie zginął w 1939 r., lecz także żył jeszcze długo po wojnie. 29 listopada 1969 r. w numerze 48 „Tygodnia Polskiego" (dodatek do „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza") opublikował on artykuł „Drugie pranie", dotyczący książki Józefa Mackiewicza „Nie trzeba głośno mówić", jak również jej odgłosów recenzyjnych. Wspomniał w nim, że był funkcjonariuszem BIP KG AK zajmującym się sprawami wschodnimi, autorem artykułu „Katyń" w piśmie „Tydzień",



lecz przede wszystkim – broszury „Czerwona targowica", napisanej na polecenie kierownictwa KON. Mackiewicza o tym artykule informował Paweł Jankowski, sądzący zresztą, że Radziejowski to pseudonim. Nazwiska tego nie opatrzono też, jak innych osób, przypisem wyjaśniającym w korespondencji między Jankowskim a Mackiewiczem i jego żoną Barbarą Toporską.

*

Losy bohaterów tej opowieści ułożyły się inaczej, niż wskazywałyby na to nieliczne o nich wzmianki, znajdujące się w opublikowanych źródłach. Wypadków, kiedy oficer WP wykazany w „Księdze pochowanych żołnierzy polskich poległych w II wojnie światowej. Żołnierze września" w rzeczywistości zginął w późniejszym okresie wojny albo zmarł wiele lat po niej, jest jeszcze przynajmniej kilka. Ale nawet w biografiach oficerów odgrywających poważniejszą rolę w dziejach walk o niepodległość Polski podczas drugiej wojny światowej napotykamy zagadki dotychczas nierozwiązane. Leopold Okulicki i Józef Spychalski, wspomniani na początku artykułu oficerowie dowodzący atakiem na Niemców w końcowej fazie obrony Warszawy, nie poszli do niewoli i przystąpili do tworzenia konspiracji. Obaj przeszli piekło sowieckich więzień, byli w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, po czym przerzuceni do kraju objęli wysokie stanowiska w AK. Okulicki został jej ostatnim dowódcą; aresztowany przez Sowietów, sądzony w procesie szesnastu, zmarł wkrótce w niewyjaśnionych okolicznościach na moskiewskiej Łubiance. Spychalski, mianowany podpułkownikiem, dowodził Okręgiem Krakowskim AK. W lutym 1944 r. został aresztowany przez Niemców. Wiadomo, że jeszcze latem tego roku był więziony w niemieckim obozie koncentracyjnym Gross-Rosen. Gdzie jednak i kiedy zginął?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl 16949dbbda



Przesiedleńcy z Kresów na jednej ze stacji na Śląsku, lata 1945–1946 FOT. AIPN

Książka miesiąca / Dramat Polaków z Kresów

Wielkie wygnanie

Przesiedlenie w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej 2 mln Polaków z byłych województw wschodnich II Rzeczypospolitej było wydarzeniem bezprecedensowym w naszych dziejach. Zostali oni wykorzenieni, pozbawieni swoich domów, swojej ojcowizny. Profesor Grzegorz Hryciuk, wybitny znawca XX-wiecznych dziejów kresów południowo-wschodnich, zwraca uwagę, że ta historia wciąż nie została dostatecznie opisana. Stan badań w tym zakresie jest bardziej niż skromny. Książka prof. Hryciuka ma szansę zmienić ten stan rzeczy. Opisuje ona skutki decyzji o wymianie ludności pomiędzy Polską a sowiecką Ukrainą. Było to – jak pisze autor – „dzieło inżynierii społecznej epoki totalitaryzmów".

Umowa zawarta we wrześniu 1944 r. zakładała pełną dobrowolność przesiedlenia, wiele udogodnień oraz zakaz stosowania przymusu przez władze. Była to oczywiście kompletna fikcja. Zdecydowana większość Polaków nie chciała opuszczać swoich domów, swojej ziemi. Liczyli oni, że będą dalej żyć w swojej ojczyźnie – we Lwowie, w Tarnopolu, we wsiach nad Dniestrem i Zbruczem. Uważali, że tam, gdzie żyją, jest Polska.

Toteż rozpoczęcie akcji ewakuacyjnej spotkało się z biernym oporem. Między innymi w Rawie Ruskiej, Czortkowie i Tarnopolu początkowo nikt nie zapisał się na wyjazd. We Lwowie chęć opuszczenia miasta zadeklarowało 309 osób, tj. 3,5 promila Polaków. Powszechna chęć pozostania nie dotyczyła jednak Wołynia naznaczonego ludobójstwem Polaków dokonanym przez Ukraińców nacjonalistów. Jeśli ostatecznie ogromna większość naszych rodaków wyjechała, to stało się to głównie z powodu brutalnej presji.

Profesor Hryciuk pisze, że władze sowieckie postanowiły opór Polaków złamać poprzez falę aresztowań „polskiego elementu kontrrewolucyjnego, nacjonalistycznego, antyradzieckiego" na początku 1945 r. Wywołały one wstrząs i przerażenie Polaków. Obawiano się wtrącenia do więzienia lub wywózki na Syberię. Cel Sowietów został w dużej mierze osiągnięty, były nawet kolejki przed punktami „repatriacyjnymi", choć z czasem panika ustąpiła.

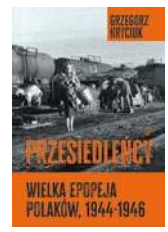
Źródłem dramatów w rodzinach mieszanych było postanowienie, że tam, gdzie mąż był Polakiem, jego żona Ukrainka mogła wyjechać razem z nim. Lecz jeśli mąż był Ukraińcem, tylko żona Polka i jej córki mogły zarejestrować się na wyjazd. „Był to okrutny zapis oznaczający często rozpad rodziny" – stwierdza prof. Hryciuk.

Wbrew umowie władze sowieckie usiłowały – często skutecznie – pozbawić polskich chłopów prawa do wywozu koni, bydła, mebli. Konfiskowano przedmioty ze złota, nawet obrączki ślubne. Nagminne zaniżano wartość i wielkość opuszczanych domów i ziemi. Było wiele przypadków rabunku przesiedleńczego mienia, ściągano haracze za możliwość jego wywozu.

Najbardziej wstrząsające są w książce opisy koszmarnych warunków, w których przesiedleńcy jechali w nowe granice Polski. Jeden z pełnomocników do spraw ewakuacji pisał, że grupa mieszkańców pewnej wsi „siedzi na stali 17 dni z małymi dziećmi na deszczu i wietrze, nie mając dachu nad głową". A i tak był to bardzo krótki czas oczekiwania na wyjazd. Najgłośniejszy był przypadek stacji w Pyszkowicach, na której w strasznych warunkach sanitarnych koczowało tygodniami 7 tys. ludzi, niemal głodując. Z braku paszy padały bydło i konie. Z powodu braku dostatecznej liczby krytych wagonów podstawiano otwarte lory, nawet w zimie, przez co zdarzały się w tych warunkach przypadki śmierci dzieci.

Spośród 885 tys. zamieszkałych na terenie zachodniej Ukrainy Polaków (oraz Żydów) na zachód wyjechało 91,5 proc. Dokonała się więc – trwająca od 1939 r. – niemal zupełna depolonizacja południowo-wschodnich kresów. ©℗

Tomasz Stańczyk



GRZEGORZ HRYCIUK
„PRZESIEDLEŃCY. WIELKA EPOPEJA POLAKÓW, 1944–1946"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

eprasa.pl 16949dbbda

Magiczne Karpaty

Jaką moc ma brzoza, czarny bez, a jaką jawor? Dlaczego tęcza pozbawiała zmysłów? Które liczby uważano za magiczne? Choć chrześcijaństwo zagościło na Podhalu przed wiekami, to w tradycjach i zwyczajach, które przetrwały do współczesności, wciąż dostrzec można elementy pogańskich wierzeń. „Mamy zatem w roku obrzędowym do czynienia po pierwsze z tradycjami starymi, sięgającymi nierzadko początków naszej kultury, po drugie – z warstwą nowszą, związaną z chrystianizacją, a po trzecie – z całym bogactwem wzajemnych powiązań i wywołanych przez nie przemian w widzeniu świata" – piszą autorki.

Elementy magii w góralskim folklorze są dowodem na jego niezwykłe bogactwo. Choć ma on wiele punktów stycznych z tradycjami z innych części Polski, to skrywa w sobie także coś wyjątkowego, nieuchwytnego nigdzie indziej. To połączenie polskich tradycji z dawnymi wierzeniami i rytuałami Wołochów, elementami kultury pogranicza oraz niełatwym klimatem i walką z przyrodą. Życie u podnóża wysokich, niedostępnych turni czy bliskość rozległych, niezamieszkanych przestrzeni miały wpływ na kształtowanie góralskich mitów i wierzeń. Człowiek żyjący z dala od ośrodków miejskich, zmuszony do radzenia sobie z surowymi zimami, często odwoływał się do sił natury, szukał w nich odpowiedzi na swoje codzienne potrzeby.

Magia zawsze pełniła w życiu jednostek kilka kluczowych funkcji, w tym funkcję praktyczną, poznawczą i psychologiczną. W przypadku mieszkańców Karpat rola psychologiczna, zdaniem autorek, była najważniejsza. Wynikała ona „z roli magii jako odpowiedzi na [...] potrzebę ufności. Dzięki stosowaniu zabiegów magicznych, które pozwalały wierzyć we własne siły i dawały złudzenie panowania nad światem, człowiek wyzbywał się lęku i bezradności".

Niech nikogo nie zwiedzie forma książki – autorki celowo zrezygnowały z pisania długiego, etnograficznego wywodu, który niektórym mógłby się wydać nudny. Forma leksykonu jest bardziej przystępna. Wszystkie hasła zostały ciekawie i dokładnie opisane, nie brakuje w nich interesujących przykładów i odniesień do znanych jeszcze współcześnie obrzędów oraz zwyczajów z innych części Polski. ©℗ ***Anna Szczepańska***



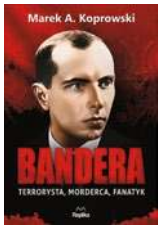
KATARZYNA CEKLARZ, URSZULA JANICKA-KRZYWDA
„GÓRALSKIE CZARY. LEKSYKON MAGII PODTATRZA I BESKIDÓW ZACHODNICH"
TATRZAŃSKI PARK NARODOWY

Pancerna pięść

Dlaczego nasza husaria była w czasach swojej świetności odpowiednikiem dzisiejszych dywizji pancernych? Która broń była w rękach skrzydlatego jeźdźca najbardziej zabójcza? I wreszcie – jak to się stało, że posiadanie tak doskonałej jazdy nie uchroniło Rzeczypospolitej przed upadkiem? Autor jest historykiem, ale – co szczególnie istotne – jest też praktykiem, czyli sam wciela się w rolę husarza. Dzięki temu przystępnie tłumaczy zarówno zwykłą, husarską codzienność, jak i zawiłe meandry wielkiej polityki, która używała jazdy jako narzędzia. ©℗ ***(p.w.)***



KUBA POKOJSKI
„WIELKA KSIĘGA HUSARII"
FRONDA



MAREK A. KOPROWSKI
„BANDERA. TERRORYSTA, MORDERCA, FANATYK"
REPLIKA

PORTRET FANATYKA

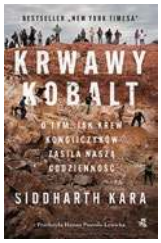
Państwo polskie miało Banderę w swoich rękach. Dlaczego więc nie trafił na szubienicę? Marek A. Koprowski, dziennikarz od lat dbający o pamięć o zbrodni wołyńskiej, tym razem kreśli sylwetkę fanatyka, który stał się motorem napędowym dla najbardziej skrajnego nurtu nacjonalizmu ukraińskiego. Bezlitosnego, wręcz bestialskiego, który wymagał od Ukraińców, by nie bali się popełnić najstraszniejszych nawet zbrodni. ©℗ ***(p.w.)***



WŁADYSŁAW SMOLEŃSKI
„KONFEDERACJA TARGOWICKA"
BIAŁY KRUK 2024

ZATARG NARODOWY

Jakie były przyczyny II rozbioru Polski i czy musiało do niego dojść? Wojna z Rosją w 1792 r. to obrona Konstytucji 3 maja oraz niepodległości Rzeczypospolitej, ale to także ludzie, którzy są „ohydą narodu i zdrajcami ojczyzny", skupieni w konfederacji targowickiej. W książce widzimy pełny obraz tragicznej rzeczywistości tamtych czasów. ©℗ ***L.L.***



SIDDHARTH KARA
„KRWAWY KOBALT"
W.A.B.

POWRÓT KOSZMARU

Straszna teraźniejszość przeplata się tu z jeszcze bardziej potworną historią. Kobalt, metal konieczny do produkcji wydajnych baterii do m.in. smartfonów czy aut elektrycznych, pozyskiwany jest w Kongu przez wielkie koncerny w sposób urągający człowieczeństwu. Autor nie przez przypadek nawiązuje często w książce do zbrodni rozpętanych w Kongu przez Leopolda II. ©℗ ***(p.w.)***

eprasa.pl 16949dbbda





Eliza Radziwiłłówna i Wilhelm Hohenzollern, późniejszy cesarz Wilhelm I FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA, DOMENA PUBLICZNA

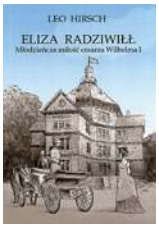
Królewski romans

Kim był autor tej historii miłości Elizy Radziwiłłówny i Wilhelma I, napisanej i wydanej po niemiecku w Stuttgarcie w roku 1929? Leo Hirsch był ostrowianinem, urodzonym w 1903 r. synem tamtejszego kupca kolonialnego – Hermanna Israela Hirscha i Berthy z domu Selka. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, podobnie jak większość Żydów z zaboru pruskiego, rodzina wyjechała do Niemiec. Leo Hirsch poświęcił się literaturze, stał się jednym z pierwszych popularyzatorów twórczości Franza Kafki, interesował się radiem i teatrem, uprawiał krytykę, pisał powieści (m.in. dziejący się w Ostrowie „Lampion"), opowiadania i wiersze. Szykanowany po dojściu hitlerowców do władzy otrzymał nakaz pracy fizycznej. Wycieńczony nią zmarł w berlińskim szpitalu na oddziale gruźlicy w styczniu 1943 r. Kilka tygodni później w Auschwitz zamordowano jego żonę, aktorkę Edith Ester Hirsch.

Opowieść o miłości tytułowych bohaterów wydanej teraz po polsku książki jest – jak pisze w posłowiu dr Ewelina Wanke – „rodzajem fabularyzowanej rozprawki historycznej". Autor – czytamy – „porusza się po Antoninie swobodnie, pokazując, że dobrze zna opisywane przez siebie miejsca. Zabiera przy tym głos w dyskusji o równości urodzenia Elizy i Wilhelma, opowiadając się po stronie Radziwiłłów. Broni ich przed atakami zarówno ze strony im współczesnych, jak i niemieckiej historiografii".

Dla nas, czytelników choćby „Domu Radziwiłłów" Stanisława Cata-Mackiewicza, jest to lektura z wielu powodów zajmująca. Przeszkody, które uniemożliwiły połączenie się dwojga, jak można sądzić, kochających się ludzi, nie wynikały bowiem wyłącznie z wymagań stawianych „wysoko urodzonym". W końcu dlaczego córka polskiego księcia i księżniczki Hohenzollern miałaby być nierówną urodzeniem pruskiemu księciu, regentowi, a następnie królowi Prus i cesarzowi niemieckiemu, nazywanemu m.in. „księciem kartaczy" i „białobrodym"?

Historia młodzieńczej miłości Wilhelma i Elizy rozbudzała swego czasu wyobraźnię autorów romansów, powiedzielibyśmy, „dla kucharek". Dziś zwracamy uwagę na jej aspekty bynajmniej nie romansowe, lecz te poważniejsze, znacznie istotniejsze i nawet, jak się zdaje, ponadczasowe. ©℗ ***Krzysztof Masłoń***



LEO HIRSCH
„ELIZA RADZIWIŁŁ. MŁODZIEŃCZA MIŁOŚĆ CESARZA WILHELMA I"
MUZEUM MIASTA OSTROWA WIELKOPOLSKIEGO

Szwedzi i Sasi w Pułtusku

Starcie pod Pułtuskiem było jednym z epizodów wojny północnej. Autor pisze, że sława zwycięstwa wojsk Karola XII jest wciąż pamiętana i pielęgnowana w szwedzkich jednostkach wojskowych, a „Pułtusk 1703" pojawia się na ich sztandarach. Saski feldmarszałek Adam von Steinau wyprowadził swe wojska z miasta, by stoczyć bitwę. Gdy zorientował się, że przeciwnik ma przewagę, nakazał odwrót. Za późno. Szwedzka kawaleria wpadła na karkach Sasów do miasta, wielu saskich żołnierzy podczas ucieczki utopiło się w Narwi.

Książka opowiada także o brutalnej okupacji Mazowsza, ściąganiu kontrybucji na utrzymanie armii szwedzkiej. Karol XII zapowiadał, że w razie oporu nie będzie oszczędzał nawet niemowląt, a wsie i majątki szlacheckie zostaną spalone. Pierwszymi, którzy zbrojnie przeciwstawili się okupantowi, byli chłopi – strzelcy kurpiowscy, za ich przykładem poszła szlachta.

Autor przedstawia bitwę pod Pułtuskiem i okupację północnego Mazowsza na szerokim tle historycznym. Opisuje początki panowania Augusta II i początek wojny północnej oraz drogę do jego detronizacji i elekcji posłusznego Szwedom Stanisława Leszczyńskiego. ©℗ ***(t.s.)***



KRZYSZTOF WIŚNIEWSKI
„PUŁTUSK 1703. MAZOWSZE PODCZAS WIELKIEJ WOJNY PÓŁNOCNEJ"
OFICYNA WYDAWNICZA „MÓWIĄ WIEKI"

eprasa.pl 16949dbbda

Rozdarty Stanisławów

Ziemia stanisławowska w XX w. znajdowała się w różnych organizmach państwowych. Stulecie zaczęła w monarchii austro-węgierskiej, by po wybuchu wielkiej wojny trafić pod „skrzydła" carskiej Rosji, a następnie powrócić do monarchii Habsburgów, przelotnie załapać się do struktur Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej (ZURL), znaleźć się na 20 lat w rękach Rzeczypospolitej, a potem zostać wcieloną do ZSRS. Następnie od sierpnia 1941 r. była częścią okupowanego przez Niemców dystryktu lwowskiego i znów w lipcu 1944 r. trafiła do sowieckiego „raju", ale tym razem na bardzo długo – aż do 1990 r.

Książka dotyczy okresu pierwszej okupacji sowieckiej i niemieckiej. Zaprezentowane są tu przeróżne aspekty życia codziennego mieszkańców ziemi stanisławowskiej. Do samego Stanisławowa, opuszczonego przez Sowietów 4 lipca 1941 r., wkroczyły oddziały armii węgierskiej. Mieszkańcy miasta z radością powitali przybyłych wyzwolicieli, choć nie wszyscy okazywali ten sam poziom entuzjazmu. Z pewnością o wiele większy był on wśród Polaków ze względu na wielowiekową przyjaźń polsko-węgierską, a zdecydowanie mniejszy wśród Ukraińców mających w pamięci niedawne zniszczenie przez Madziarów w marcu 1939 r. ich państwa, czyli Ukrainy Zakarpackiej.

Te wzajemne ukraińsko-węgierskie relacje nie były jednak aż tak chłodne, skoro szefem tymczasowego zarządu miasta został mianowany Ukrainiec. Pobyt Honwedów zakończył się na przełomie lipca i sierpnia 1941 r. Wówczas pojawiła się w mieście administracja niemiecka, która dokonała nowej hierarchizacji ludności w oparciu o kryterium etniczne. Na jej szczycie stali Niemcy i volksdeutsche, potem cieszący się pewnymi przywilejami Ukraińcy, następnie Polacy, a na samym końcu Żydzi.

Wskazane podziały przekładały się na wiele dziedzin życia. Widoczne one były szczególnie w kwestii uposażeń. Przykładowo: Niemka zatrudniona w drukarni otrzymywała 1,4 tys. zł, a Polka czy Ukrainka pracująca na tym samym stanowisku – 140 zł. To kategoryzacja narodowa była trochę mniej widoczna na poziomie kultury czy rozrywki. W Kołomyi w kinie Wiktoria wyświetlano w styczniu 1942 r. niemiecki film „Róża z Tyrolu". Można go było obejrzeć na bazie klucza narodowościowego w poszczególne dni tygodnia. I tak w soboty i środy film mogli oglądać Niemcy, we wtorki i niedziele Ukraińcy, a w poniedziałki i piątki Polacy (w czwartki sensów nie było). Nieco inaczej kwestie dostępności kina wyglądały w Kałuszu. Tam w grudniu 1941 r. trzy razy w tygodniu film oglądali Ukraińcy, dwa razy Polacy, a raz Niemcy (przebywali tam tylko funkcjonariusze administracji okupacyjnej).

Zdecydowanie większe uprzywilejowanie Ukraińców występowało w sferze edukacji. Sprawowali oni pod nadzorem Niemców pieczę nad jej rozwojem, kształtując sieć szkół i dobierając kadrę nauczycielską. Polacy mogli otrzymać pracę w szkolnictwie tylko wówczas, gdy pojawił się deficyt nauczycieli ukraińskich. Ciekawym aspektem była kwestia demografii. W 1943 r. na ziemi stanisławowskiej mieszkało 384 933 osób, z czego 323 705 było Ukraińcami (84,09 proc.), 51 384 Polakami (13,35 proc.), 2859 Niemcami i volksdeutschami (0,74 proc.). Przedstawicieli innych wspólnot narodowych było 6876 (1,78 proc.), a Żydów 107 (0,003 proc.). Tak niska liczba tych ostatnich związana była z faktem zakończenia procesu ich eksterminacji w dystrykcie lwowskim. ©℗

Arkadiusz Karbowiak



PIOTR OLECHOWSKI
„W CIENIU DWÓCH TOTALITARYZMÓW. ŻYCIE CODZIENNE NA ZIEMI STANISŁAWOWSKIEJ 1939–1944"
WYDAWNICTWO INSTYTUT PILECKIEGO

Nie tylko cudna Florencja

To bez wątpienia jeden z najchętniej odwiedzanych regionów Włoch. Każdy z nas na sam dźwięk słowa „Toskania" ma przed oczyma sielankowy krajobraz, piękne zielone wzgórza, pola winorośli i ciągnące się aż po horyzont drogi otoczone drzewami. Mogłoby się wydawać, że o Toskanii napisano już wszystko, a na rynku wydawniczym oraz w Internecie znaleźć można aż nadto przewodników po tym regionie. A jednak ta książka to zaskakujący powiew świeżości. Nie jest to typowy przewodnik turystyczny. Autor – podkreśla, że jest tą częścią Italii zafascynowany – zabiera swoich czytelników w historyczną podróż po ulubionych miejscach, najpiękniejszych zakątkach i mniej uczęszczanych ścieżkach. W książce tej znajdziemy przede wszystkim wiele wciągających opowieści o ludziach związanych z Toskanią, o jej burzliwych dziejach i wydarzeniach, które ją ukształtowały.

Nie brakuje tu jednocześnie informacji praktycznych (sposób dojazdu, najlepsza trasa, ceny wstępu czy lokalizacje ciekawych restauracji), choć to nie one – i bardzo dobrze – dominują nad resztą treści. Dzięki temu książka staje się uniwersalnym przewodnikiem po Toskanii, który za kilka lat nie straci na wartości. To kolejna już warta uwagi propozycja spod szyldu „Seria z walizką". ©℗

Anna Szczepańska



SŁAWOMIR KOPER
„NIEZWYKŁA TOSKANIA. SZTUKA, KRAJOBRAZY I ANTIPASTI"
FRONDA

eprasa.pl 16949dbbda

/ Felieton



Tyrania konsensusu

Rafał A. Ziemkiewicz

Nauka będąca zorganizowanym systemem podważania dogmatów **obciążona została zadaniem dostarczania dogmatów – a do tego się nie nadaje**

Nauka rozwija się nie tyle dzięki badaniom i odkryciom, ile – przede wszystkim – dzięki pogrzebom. Bo żeby nowe odkrycie czy prawo, choćby nawet genialne, zyskało uznanie i rozgłos, muszą wymrzeć starzy profesorowie, których sitwa zrobi wszystko, żeby ich dawne ustalenia nie zostały odrzucone. Może ktoś powiedzieć, że to bardzo niesprawiedliwa opinia – ale niech najpierw dowie się, kto jest jej autorem: sławny fizyk, noblista, Max Planck.

Przypomniało mi się to zdanie w związku z niedawno wydaną książką „Fałszywy alarm" Bjørna Lomborga. To kolejna już na naszym rynku pozycja otwierająca oczy na największy szwindel naszych czasów, a może nawet wszech czasów, którym jest histeria klimatyczna. Wcześniej mieliśmy fundamentalne „Unsettled" Stevena Koonina (polski tytuł: „Kryzys klimatyczny?"), a niemal równo z Lomborgiem swoją bardzo obszerną pracę „Zmiany klimatu" opublikował polski naukowiec Piotr Kowalczak. Wszystkie te książki wyszły spod piór profesorów, specjalistów w dziedzinie, o której piszą, wszystkie pełne są faktów, wykresów i wyliczeń demaskujących brak naukowych podstaw histerii, którą wokół nadchodzącej rzekomo zagłady rozpętano w zachodnim świecie i która wyrządza nieopisane szkody społeczeństwom oraz gospodarkom, jednocześnie dając gigantyczne zyski wielkim koncernom i światowej plutokracji.

Doświadcza człowiek nad tymi książkami podobnego uczucia, jak – takie mi przyszło do głowy skojarzenie – nad historią tzw. pryszczatych, czyli intelektualistów, którzy gorliwie zaangażowali się w komunizm. Jak to możliwe? Jak tylu ludzi z takimi tytułami do przewodzenia zbiorowości mogło do tego stopnia zgłupieć? Jak można z dobrej woli kolportować kłamstwa tak bardzo niewytrzymujące jakiejkolwiek rzeczowej krytyki, nie tylko z pozycji naukowych, lecz także – najzwyczajniej – zdroworozsądkowych?

Nie będę tu cytował ustaleń Lomborga czy Koonina, trzeba po prostu je poznać. Poza rzetelną dawką wiedzy wspomniane książki dają też wgląd w świat kapłanów nauki, w jego parafeudalne hierarchie, układy i rozmaite środowiskowe „kapliczki", czyli po części sitwy, a po części sekty, budowane wokół szczególnie sławnych profesorów, organizacji i uczelni, które tak dogryzły Planckowi. To one właśnie popychają ludzi zawodowo racjonalnych do żyrowania i wspierania narracji skrajnie irracjonalnej.

Nie przypadkiem używam tu określenia „kapłani nauki". Szaleństwo klimatyzmu jest jednym z kolejnych podobnych, mających to samo źródło: to, że epoka oświecenia uczyniła z nauki religię. Nauka będąca zorganizowanym systemem podważania dogmatów obciążona została zadaniem dostarczania dogmatów – a do tego się nie nadaje. Jak to ujął Karl Popper, nauka może udowodnić ze stuprocentową pewnością, że coś jest nieprawdą, ale nie może na sto procent wykazać, że coś jest prawdą. Każda teoria naukowa, którą kiedykolwiek sformułowano, także te uważane dziś za kamienie milowe, była po jakimś czasie poddawana krytyce i żadna się w całości nie ostała.

Sięgnięto więc po narzędzia religijne: sobory, tu zwane „kongresami klimatologów", na których obowiązujące dogmaty są przez kapłanów ustalane w drodze głosowania. Reszta to już kwestia mediów i „ramienia świeckiego", które narzucą je masom. Tak jak narzuciły wywiedziony z Darwina zachodni nacjonalizm czy równie „naukowy" komunizm oparty na teorii Marksa. Co do których też był w naukowych gremiach, do pewnego momentu, tak bardzo nas dziś dławiący „konsensus". ©℗

eprasa.pl 16949dbbda



Piotr Semka

/ Felieton

Wysocki mój i wasz

Daleko jeszcze do jesieni, ale oglądając telewizję, przypadkowo trafiłem na powtórkę spektaklu Teatru Telewizji z 1978 r. (w reżyserii Andrzeja Wajdy), będącego adaptacją dramatu Stanisława Wyspiańskiego pt. „Noc listopadowa". Każda generacja myśli o wydarzeniach historycznych poprzez najbardziej wyraziste odbicia tamtych chwil w teatrze, powieści czy filmie. Dla mnie wybuch powstania listopadowego zawsze już kojarzyć się będzie z Jerzym Stuhrem w roli por. Piotra Wysockiego. Zarówno Stuhr senior, jak i Stuhr junior nie są specjalnie lubiani dzisiaj po prawej stronie, ale wierzcie mi, że senior zagrał wówczas rolę życia. Pamiętam, że po obejrzeniu spektaklu zainteresowałem się postacią, którą odgrywał aktor Teatru Starego. I mam wrażenie, że Wysocki jest jednym z tych herosów polskich zrywów, którzy całym swoim życiem poświadczali, że są godni tego miana.

Wyspiański doskonale pokazał w swoim dramacie, jak na zew bogini Nike odpowiadają niekiedy pospolici – wydawałoby się – ludzie. Bo przecież młody Wysocki, potomek szlachty zaściankowej z okolic Łodzi, wskoczył na podium przywódcy buntu całkowicie niespodzianie. Choć kto wie, czy ta specyficzna sceneria Łazienek nie pchała go w kierunku wielkości? Wyspiański oglądał ogród łazienkowski na przełomie stycznia i lutego 1898 r. Był to jedyny jego pobyt w dawnej stolicy. Tak naprawdę zresztą nie planował wizyty w Łazienkach. Do syreniego grodu przybył, aby zaprezentować swoje projekty witraży na wystawie konkursowej Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Ale wizyta w naznaczonym historią parku zrobiła na nim tak ogromne wrażenie, że natychmiast po powrocie do Krakowa napisał swój słynny dramat.

> W parku łazienkowskim, który był świadkiem jego wspaniałego wejścia na scenę historii, **jest dziś tylko niewielkie popiersie Wysockiego**

Wysocki szybko oddał władzę, którą uzyskał w noc listopadową, starszym od siebie oficerom. Jedyną nagrodą za to, że zainicjował zryw, było mianowanie go kapitanem, natomiast w trakcie powstania wywalczył sobie na polach bitew stopień pułkownika. A było tych walk sporo – wojował pod Wawrem, w Olszynce Grochowskiej, pod Dobrem i Okuniewem. Ostatni raz bił się we wrześniu 1831 r., broniąc reduty na warszawskiej Woli. Rosjanie wzięli go do niewoli 7 września, ale dopiero po pewnym czasie zorientowali się, kogo mają w ręku.

Furia zemsty na Wysockim była wręcz przerażająca. Poznał twierdze w Bobrujsku oraz w Zamościu, gdzie trzymany był w okrutnych warunkach. Dwukrotnie skazano go na śmierć przez powieszenie, ale w końcu ukaz carski uchylił wyrok. Wysocki trafił do wsi Aleksandrowsk pod Irkuckiem, gdzie miał odbyć karę 20 lat ciężkich robót. Mimo beznadziejnego położenia (był przykuty do taczek kopalnianych) udało mu się uciec. Niestety, daleko nie uszedł. Pojmany przez Kozaków został skazany na karę półtora tysiąca kijów. Wszyscy byli przekonani, że jest to wyrok śmierci, a jednak jakimś cudem Wysocki tę kaźń przeżył. Potwornie skatowany trafił do kopalni miedzi w Akatui, a następnie do Nerczyńska. Wreszcie w 1843 r. osiedlił się w Akatui. Już wtedy był żywą legendą – Adam Mickiewicz uwiecznił go przecież w III części „Dziadów". Niektórzy dopatrywali się też Piotra Wysockiego w postaci podchorążego z dramatu „Kordian" Juliusza Słowackiego.

W końcu na mocy amnestii carskiej w 1857 r. pozwolono mu na powrót do kraju. I te ostatnie 20 lat życia były okresem jego chwały (choć w bardzo skromnych warunkach). Wysocki dożył jeszcze momentu, kiedy w Paryżu w 1867 r. opublikowano jego pamiętnik. Gdy zmarł w Warce 6 stycznia 1875 r., na jego pogrzeb przybyły setki ludzi. Czy wobec tak ogromnych zasług Polska uczciła go dostatecznie? W parku łazienkowskim, który był świadkiem jego wspaniałego wejścia na scenę historii, jest dziś tylko niewielkie popiersie Wysockiego. Nieco większy pomnik podarowała mu w 2007 r. (w 150. rocznicę powrotu z zesłania) jego rodzinna Warka. Stolica uczciła go ulicą na odległym Bródnie. Czy naprawdę nie można było mu poświęcić jakiejś większej ulicy przylegającej do tak ważnych w jego życiu Łazienek i znajdującego się tam do dziś gmachu Szkoły Podchorążych? ©℗

eprasa.pl 16949dbbda



IV w. n.e. / Wojny bratanka Konstantyna

Julian Apostata wśród pogańskich uczonych. Obraz Edwarda Armitage'a

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/WALKER ART GALLERY NATIONAL MUSEUMS LIVERPOOL

Postrach perskiego świata



Sławomir Koper

Julian Apostata starał się odwrócić bieg historii i zepchnąć potężne chrześcijaństwo na margines. Rzadko kiedy pamięta się jednak, że ten pogański cesarz był też świetnym wodzem, który gromił Persów

Właściwie nikt nie mógł się podziewać, że urodzony w 331 r. Julian, bratanek Konstantyna Wielkiego, zostanie kiedyś cesarzem. Jego stryj miał trzech synów, pomiędzy których podzielił cesarstwo, a oni po śmierci ojca w 337 r. wymordowali swoich krewnych, uznając ich za zagrożenie dla swojej władzy. Ofiarą rzezi padli także ojciec Juliana i jego najstarszy brat, a z masakry ocaleli właściwie tylko Julian i jego brat Gallus. Obu oszczędzono ze względu na młody wiek, ale kolejne lata spędzili na internowaniu w jednym z majątków cesarskich.

Tymczasem cesarstwem wstrząsały wojny domowe i najazdy barbarzyńców. Ofiarą bratobójczych walk padło dwóch starszych synów Konstantyna Wielkiego, a do tego doszły jeszcze uzurpacje ambitnych wodzów. Najbardziej krwawa była wojna ostatniego pozostałego przy życiu potomka Konstantyna, Konstancjusza II, z uzurpatorem Magnecjuszem. W 351 r. w bitwie pod Mursą po obu stronach padło 50 tys. żołnierzy i cesarstwo właściwie już nigdy nie podniosło się po tym ciosie.

Konstancjusz II nie był najlepszym dowódcą, ale miał szczęście do wojen domowych. Jego głównym zajęciem poza likwidacją kolejnych uzurpatorów były walki na rubieżach imperium. Syrii zagrażali Persowie, Galii Germanie, a najazdy barbarzyńców zza Dunaju pustoszyły prowincje bałkańskie. Cesarz zdawał sobie sprawę, że osobiście nie podoła wszystkim niebezpieczeństwom, i w tej sytuacji mianował cezarem (młodszym cesarzem, sam nosił tytuł Augusta) Gallusa. Natomiast Julian ruszył na studia do Aten, gdyż tak naprawdę zawsze interesowała go jedynie filozofia.

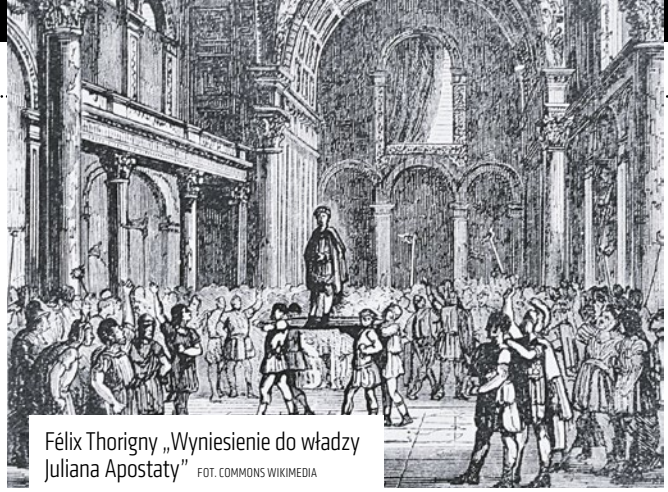
Panowanie Gallusa trwało tylko trzy lata – został uznany za zdrajcę, aresztowany i stracony. W tym czasie Galia padła ofiarą najazdu plemion germańskich z Alemanami na czele, którzy planowali osiedlić się w tej prowincji na stałe. W tej sytuacji Konstancjusz uznał, że powinien wysłać na Zachód ostatniego przedstawiciela dynastii, Juliana. Jego samego bowiem zatrzymywały najazdy na Bałkany, a sytuacja na wschodzie groziła wybuchem wojny z Persją.

Zwycięzca z Galii

Julian różnił się od innych członków cesarskiej rodziny. Był bowiem intelektualistą i jak wielu mu podobnych pozostał wierny wierzeniom pogańskim. Uwielbiał filozofię grecką, z którą nie mogła się równać doktryna Kościoła. Misteria eleuzyjskie, kult Mitry dostarczały przeżyć intelektualnych i mistycznych, a także pozostawiały miejsce na własną interpretację. Kościół natomiast narzucał własną doktrynę, jedną dla wszystkich, tępiąc wszelkie odstępstwa. Tradycyjne kulty były stworzone dla indywidualistów i pozostawiały dużo miejsca na własne przemyślenia.

Do tego dochodziły jeszcze ciągłe walki zwolenników różnych odłamów chrześcijaństwa. Co chwilę pojawiały się nowe schizmy i herezje, których zwolennicy toczyli ze sobą regularne walki.

eprasa.pl 16949dbbda



Félix Thorigny „Wyniesienie do władzy Juliana Apostaty" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Chrześcijaństwo zamiast jednoczyć obywateli cesarstwa, stało się przyczyną zamieszek i niepokojów. Choć brzmi to absurdalnie, to jednak podczas wewnętrznych walk pomiędzy chrześcijanami zginęło więcej wiernych niż w wyniku wszystkich prześladowań cesarzy rzymskich!

Julian starannie ukrywał jednak swoje preferencje religijne. Członek panującej rodziny musiał być chrześcijaninem, zatem wierzenia pogańskie kultywował w całkowitej tajemnicy. I udało mu się ją skutecznie zachować.

Jesienią 355 r. Konstancjusz wezwał Juliana do Mediolanu i mianował go cezarem, czyli współrządcą imperium. Było to ogromne zaskoczenie, ale wbrew pozorom rozumowanie cesarza było całkowicie zrozumiałe. Należało coś uczynić z ostatnim męskim przedstawicielem dynastii. Konstancjusz nie miał dzieci i obawiał się, że jest to zemsta losu za wymordowanie członków własnej rodziny. Zdecydował się więc obdarzyć Juliana godnością cezara i skierować go na front do Galii, która była w znacznej części okupowana przez plemiona germańskie. Ryzykował niewiele – jeżeli Julian wykonałby zadanie, to cesarstwo odzyskiwało utracone tereny. Natomiast w przypadku niepowodzenia cała odpowiedzialność spadłaby na kuzyna i jako skompromitowany w oczach opinii publicznej przestałby się on liczyć jako ewentualny pretendent do tronu.

Szanse Juliana były niewielkie, skoro otrzymał zaledwie kilkuset żołnierzy. Historia płata jednak czasami niespodzianki i niedawny student okazał się doskonałym wodzem i organizatorem. Opierając się na tamtejszej ludności, stworzył sprawną armię, a przy okazji cieszył się autentycznym poparciem miejscowych, którym ku oburzeniu urzędników obniżył podatki. Uznał bowiem, że mieszkańcy Galii i tak za bardzo ucierpieli podczas najazdów, a lepiej otrzymać terminowo mniejsze kwoty niż liczyć na coś, co może nigdy nie wpłynąć. I tu się nie pomylił.

Walki z Germanami w Galii trwały kilka lat, a ich finałem była bitwa pod Argentoratum, czyli dzisiejszym Strasburgiem, która zadecydowała o losach kampanii. Bezpośrednią przyczyną starcia było to, że Julian odrzucił kategoryczne żądanie Alemanów, by wycofał swoje wojska z północnej Galii. Germanie byli zresztą bardzo pewni siebie, gdyż dysponowali wojskami trzykrotnie silniejszymi od cezara, a warto pamiętać, że plemiona zza Renu w niczym już nie przypominały dawnych barbarzyńców, z którymi walczyli Tyberiusz czy Germanik. Były to dobrze wyposażone wojska ustępujące Rzymianom właściwie tylko pod względem dyscypliny.

Król Alemanów, Chnodomar, zamierzał wykorzystać ukształtowanie terenu, by złapać Juliana w pułapkę. Rzymianie na lewym skrzydle atakowali jednak bardzo ostrożnie i ukryci germańscy wojownicy nie zdołali zaskoczyć legionistów. Niewiele lepiej poszło najeźdźcom w centrum i na prawym skrzydle, chociaż Julian w pewnej chwili musiał użyć odwodów, gdy załamała się rzymska jazda. Ostatecznie Alemanowie rzucili się do ucieczki, a Chnodomar dostał się do niewoli. Julian przywrócił granicę na Renie.

Koronacja w Paryżu

Główną siedzibą cezara w Galii zostało niewielkie miasteczko leżące w kraju Paryzjów, na małej wysepce na Sekwanie. Nazywano je wówczas Lutecja Parisiorum i był to oczywiście późniejszy Paryż. Wygląda więc na to, że dzisiejsi Francuzi wiele zawdzięczają Julianowi. To dzięki niemu ich obecna stolica po raz pierwszy pojawiła się w historii, a zainteresowanie cesarza wywarło pozytywny wpływ na dalsze losy Lutecji.

Niedoszły filozof szybko zaadaptował się w nowym otoczeniu. Ściągnął do siebie przyjaciół i z ich pomocą starał się kontynuować dawny tryb życia. I zdaje się, że godność młodszego współrządcy imperium w zupełności go zadowalała. Nie przejawiał większych ambicji, nie stanowił zagrożenia dla władzy Konstancjusza. Możliwe zresztą, że liczył na pokojowe przejęcie tronu, przecież Konstancjusz nadal nie miał następcy. Był znacznie młodszy od kuzyna, cieszył się również dobrym zdrowiem. A może rzeczywiście rola wielkorządcy zachodniej części imperium w pełni mu wystarczała?

Pięć lat po powołaniu Juliana na stanowisko cezara Konstancjusz zażądał od niego posiłków na wojnę z Persją. Julian bronił się, jak mógł, wskazywał na zagrożenie germańskie i na obietnice dane żołnierzom (zaciągali się wyłącznie do służby na terenie Galii). Wysłannicy cesarza byli jednak bezwzględni i zarządzili koncentrację wojsk galijskich pod Paryżem. Tam zamierzano dokonać selekcji, po czym wybrane oddziały miały odmaszerować na wschód. Julian rozpoczął swoją własną grę. Nie miał najmniejszego zamiaru wypełnić polecenia kuzyna i pozostać w Galii bez doborowych wojsk. Z jednej strony faktycznie obawiał się Germanów, ale z drugiej uważał wierne sobie oddziały za najlepszą rękojmię bezpieczeństwa.

Wysłannicy cesarza popełnili fatalny błąd. Koncentracja armii w jednym miejscu zakończyła się buntem i legioniści okrzyknęli Juliana Augustem. Cezar urządził zwyczajne w takiej sytuacji przedstawienie, bronił się przed nową godnością, groził samobójstwem, aż wreszcie ustąpił. Został podniesiony przez swoich podwładnych na tarczy, co od tej pory miało stać się stałym symbolem cesarskich intronizacji.

Julian nie planował czekać bezczynnie za Alpami. Udało mu się przekonać do tego własnych żołnierzy, tłumacząc, że takie postępowanie zakończy się klęską. Podjął działania zaczepne, a w jego sztabie opracowano śmiały plan opanowania Bałkanów.

Była to akcja jak z najlepszego filmu o komandosach. Niewielki doborowy oddział załadowano na łodzie i pod osobistym dowództwem Juliana wyruszyli

eprasa.pl 16949dbbda

w dół Dunaju. Legioniści przepłynęli setki kilometrów w głąb wrogiego terytorium i bez rozlewu krwi opanowali Sirmium, stolicę prowincji bałkańskich. Potężna armia Dunaju uznała władzę Juliana, a dokonał tego oddział liczący zaledwie 3 tys. żołnierzy.

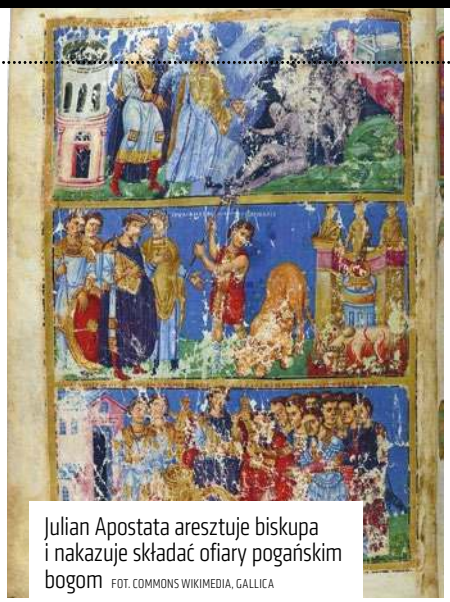
Pomimo tego sukcesu Juliana faworytem w zbliżającym się starciu pozostawał Konstancjusz. Miał przewagę militarną i poparcie większości mieszkańców imperium. Julianowi dopisało jednak szczęście. W listopadzie 361 r. Konstancjusz niespodziewanie zachorował na malarię i zmarł. Przed śmiercią zachował się jednak jak dynasta i wyznaczył następcą swojego rywala, ostatniego męskiego przedstawiciela rodziny.

Apostata

Jeszcze przed śmiercią Konstancjusza Julian oficjalnie przyznał się do swoich praktyk religijnych. A pod koniec 361 r. rozpoczął wydawanie zarządzeń w sprawach wyznaniowych. Otwarto zamknięte świątynie pogańskie i nakazano zwrot majątku zagarniętego przez gminy chrześcijańskie. Imperator nie zamierzał natomiast prześladować chrześcijan – planował politykę tolerancji i równouprawnienia. Nie miał jednak zamiaru przyglądać się bezczynnie wzajemnym prześladowaniom wyznawców Jezusa. Jego celem był pokój religijny w państwie i prawo do swobodnego wyznawania dla każdego.

Efekty były odwrotne od zamierzeń. Doszło do zamieszek i teraz wszyscy zwalczali wszystkich. Poganie brali odwet za lata prześladowań, a chrześcijanie nie zaprzestali wzajemnych sporów. Były ofiary w ludziach, dochodziło do podpaleń i gwałtów. Ludzie żyjący w IV w. nie byli przygotowani na tolerancję religijną i pod tym względem chyba niewiele zmieniło się do dnia dzisiejszego.

Julian zdawał sobie sprawę ze słabości tradycyjnych wierzeń. Chrześcijanie górowali organizacyjnie i pomimo wszelkich sporów doktrynalnych stanowili zwartą organizację. Cesarz próbował zatem stworzyć coś podobnego – zorganizowaną hierarchię pogańską z arcykapłanami zamiast biskupów i ze sobą samym jako najwyższym kapłanem.



Julian Apostata aresztuje biskupa i nakazuje składać ofiary pogańskim bogom FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GALLICA

Ostatecznie nie bez powodu nosił tytuł pontifex maximus. I chociaż oficjalnie głosił hasła tolerancji i równouprawnienia, to zdecydowanie popierał kulty pogańskie.

Sprawy religijne zaprzątały cesarza, ale jednocześnie szykował wyprawę przeciwko Persji, mającą być kontynuacją wojny, która rozpoczęła się jeszcze za czasów Konstancjusza II. Ten ostatni nie odniósł większych sukcesów, a wręcz stracił wiele miast w zachodniej Mezopotamii, w tym kluczową twierdzę Amidę. Zachowanie Juliana wydaje się tu pozbawione logiki: państwo rozdzierały spory religijne, a kilkumiesięczna nieobecność władcy mogła mieć nieobliczalne konsekwencje. Tym bardziej że Persowie – najwyraźniej uważając cesarza za groźnego przeciwnika – proponowali rozwiązania pokojowe stosunkowo korzystne dla Rzymian.

Julian jednak odrzucił je, gdyż potrzebował sukcesu militarnego do dalszych rozgrywek religijnych, a zwycięska kampania wzmocniłaby jego pozycję i przyciągnęła wielu niezdecydowanych. Państwo rzymskie pozostawało od lat w defensywie na froncie perskim, a ostatnie sukcesy zanotowali jeszcze władcy pogańscy! Imperatorzy popierający chrześcijaństwo regularnie ponosili klęski i teraz poganin miał odwrócić złe fatum.

Cesarz wyruszył na wschód w marcu 363 r., wiodąc ze sobą 65 tys. ludzi. Armii towarzyszyło ok. tysiąca jednostek pływających wiozących na pokładach sprzęt i żywność. Siły Juliana posuwały się wzdłuż Eufratu, zagłębiając się w terytorium wroga. Julian wydzielił 20-tysięczny korpus, który pod wodzą Prokopiusza (kuzyna cesarza) i Sebastiana miał ubezpieczać główne siły od północy. Działania tego korpusu podczas kampanii miały okazać się mocno zagadkowe, sugerujące wręcz zdradę jego dowódców.

Perska pułapka

Początkowo cesarz odnosił sukcesy. Poddały się mu twierdze Anata i Pirisabora, a po kilkudniowym oblężeniu zdobyto miasto Mazaamalcha. Persowie nie ułatwiali życia Rzymianom, otwierając śluzy i zalewając drogi. Najeźdźcy posuwali się z trudem, tym bardziej że w pobliżu pojawiły się regularne oddziały armii perskiej.

Niebawem okazało się, że w sztabie rzymskim znajdują się zdrajcy. Imperator wybrał się z niewielkim oddziałem na rozpoznanie i niespodziewanie napotkał duże siły perskie. Sprawność fizyczna i szybka odsiecz uratowały cesarza. Bez wątpienia ktoś poinformował wroga o planowanym wypadzie i musiał to być ktoś z najbliższego otoczenia władcy.

Spisek czy zdrada jednej osoby? Biorąc pod uwagę dalsze wydarzenia, można podejrzewać, że był to jednak spisek.



Solid z wizerunkiem Juliana Apostaty FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NUMISMATIC.ORG (ANS)

Pod koniec maja armia rzymska dotarła do brzegów Tygrysu. Po ciężkich walkach sforsowano rzekę, docierając na przedpola stolicy państwa perskiego – Ktezyfontu. W bitwie pod murami miasta

eprasa.pl 16949dbbda



Posąg bogini Wiktorii

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GIOVANNI DALL'ORTO

Rzymianie odnieśli zwycięstwo, ale nie wykorzystano okazji do wkroczenia do stolicy za uciekającymi Persami. Dowodzący na tym odcinku komes Wiktor (chrześcijanin) powstrzymał legionistów, tłumacząc, że obawiał się zasadzki. Wyjaśnienie było mocno nieprzekonywujące – podczas wojny podobnych okazji nie można marnować. Ryzyko istnieje zawsze, ale szansa zdobycia bez oblężenia stolicy wroga była niepowtarzalna. Opanowanie miasta przybliżyłoby zakończenie wojny. Prawdopodobnie byłby to decydujący sukces Rzymian, a do takiego rozwoju wypadków opozycja chrześcijańska nie mogła dopuścić! Dlatego Wiktor nie wkroczył do Ktezyfontu, a Julian stracił niepowtarzalną okazję. Oblężenie stolicy nie wchodziło w rachubę, ponieważ miasto było zbyt silnie umocnione, a w przypadku nadejścia perskich posiłków Rzymianie znaleźliby się w okrążeniu.

W tej sytuacji Julian postanowił zakończyć wyprawę. Cel strategiczny został osiągnięty, Rzym okazał swoją siłę i widać było perspektywy na zawarcie korzystnego traktatu pokojowego. Aby przyspieszyć marsz, spalono flotę, która nie mogła płynąć pod prąd. Wkrótce zaczęły się problemy aprowizacyjne, Persowie palili łąki i pola uprawne, brakowało paszy i żywności. Przeciwnik szarpał wojska Juliana ciągłymi atakami i w czasie jednego z takich starć, 26 czerwca 363 r., cesarz odniósł śmiertelną ranę.

Kto zabił Juliana?

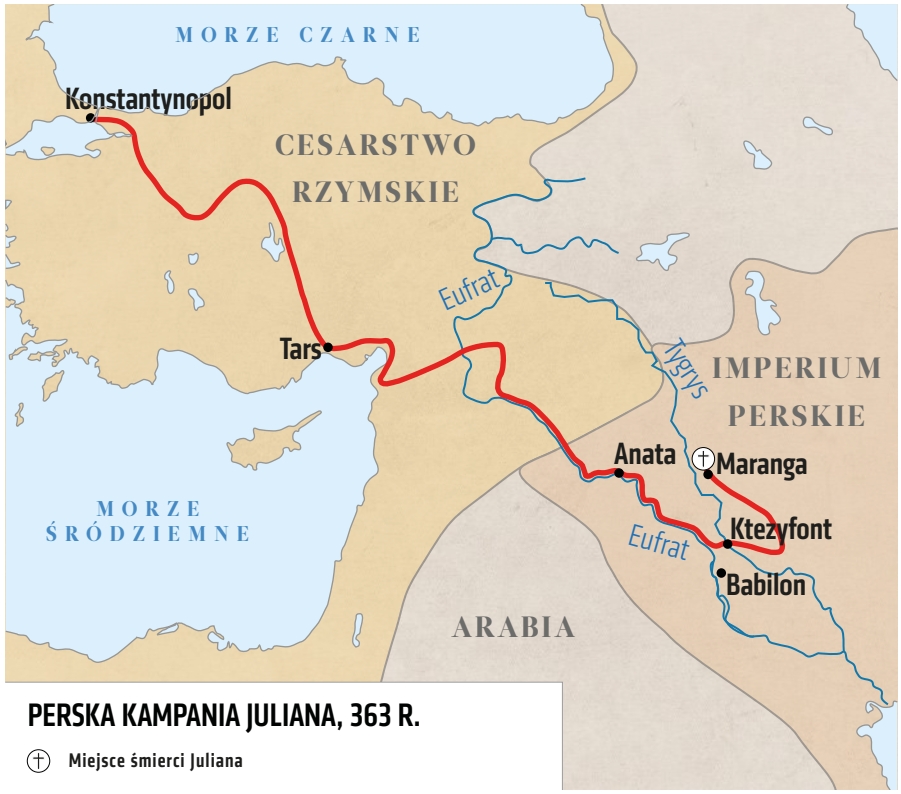
Historyk Ammianus Marcellinus, biorący jako oficer udział w wyprawie, stwierdził enigmatycznie, że cesarza trafiła „nie wiadomo skąd ciśnięta włócznia". Natomiast przyjaciel zabitego, retor Libanios, wspominał, że król perski chciał wynagrodzić podwładnego, który wyeliminował Juliana. Pomimo licznych zachęt nikt się jednak nie zgłosił, co dla Libaniosa było dowodem na to, że cesarz zginął z ręki własnych ludzi.

Kilka dni po śmierci Juliana Rzymianie rozbili obóz w okolonej wzgórzami dolinie nad Tygrysem. W nocy na wzgórzach pojawiły się wojska perskie. Niepokoiły Rzymian, miotając pociski, a przy okazji obrzucając obozujących obelgami. Wrogowie nazywali Rzymian mordercami własnego cesarza i ten zarzut stale się powtarzał. Wydaje się, że Persowie dobrze znali temat i zdawali sobie sprawę z tego, kto zabił Juliana. W ten sposób została przecież usunięta ostatnia przeszkoda na drodze do zwycięstwa chrześcijaństwa.

Armia obwołała nowym władcą Jowiana, dowódcę straży przybocznej. Wojsko kontynuowało odwrót wzdłuż Tygrysu i pięć dni po śmierci Juliana kolumna zatrzymała się u przeprawy. Wówczas nadciągnął król perski z głównymi siłami i przez dwa dni wrogie armie stały naprzeciw siebie. Rozpoczęto rozmowy pokojowe i po czterech dniach Jowian zgodził się na haniebny traktat. Rzymianie zrezygnowali z kilku prowincji, zgodzili się również na zwierzchnictwo perskie nad Armenią. I pomyśleć, że ten traktat zawarto po właściwie wygranej wojnie...

Wydaje się jednak, że nawet gdyby Julian powrócił żywy z wyprawy perskiej, nie odwróciłby biegu dziejów. Nie było już możliwości zepchnięcia chrześcijaństwa na margines życia religijnego. Śmierć wybawiła go od goryczy porażki, umierał niepokonany, przekonany o wyższości swojej sprawy. Chrześcijanie włożyli w usta konającego słynne zdanie: „Galilejczyku, zwyciężyłeś", którego cesarz oczywiście nigdy nie powiedział. Jednak wyznawcy Jezusa faktycznie zwyciężyli. Kolejno zanikały ostatnie symbole świata pogańskiego. Cesarz Gracjan odmówił przyjęcia godności najwyższego kapłana, a z sali rzymskiego senatu usunięto posąg bogini Wiktorii. Dokładnie 30 lat po śmierci Juliana odbyła się w Olimpii ostatnia olimpiada. Świat pogański powoli odchodził w przeszłość...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



PERSKA KAMPANIA JULIANA, 363 R.

⨁ Miejsce śmierci Juliana

RYS. MARZENA WŁOCZYK

eprasa.pl 16949dbbda

Wojna rosyjsko-japońska na morzu



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

W drugiej połowie XIX w. okręty wojenne przeszły gruntowną metamorfozę, stal wyparła ostatecznie drewno i stała się zasadniczym materiałem konstrukcyjnym



Napęd żaglowy zastąpiony został silnikiem parowym, który poruszał śrubę umieszczoną w podwodnej części kadłuba. Wobec potęgi artylerii, zwłaszcza elipsoidalnych pocisków wypełnionych masą wybuchową, konieczne stało się wzmocnienie pancerza burt żelaznymi (wkrótce – stalowymi) płytami. Proces wzmacniania opancerzenia i zwiększania kalibrów dział trwał nieprzerwanie. Główną artylerię okrętów stanowiły zazwyczaj cztery działa umieszczone w obrotowych wieżach osadzonych na barbetach (cylindryczne osłony stanowiące podstawę wieży artyleryjskiej).

Gwałtowny wyścig zbrojeń zaczął się kilkanaście lat przed wojną rosyjsko-japońską w latach 1904–1905. Równolegle pracowano nad klarowną standaryzacją. Najważniejszą jednostką bojową w nowoczesnych flotach był pancernik, którego wyporność sięgała 16,5 tys. ton, a ciężka artyleria składała się z czterech dział kal. 280–305 mm umieszczonych w dwóch pancernych wieżach: na dziobie i rufie; wewnątrz wież znajdowały się podnośniki amunicyjne, silniki elektryczne etc. Mniejsze kalibry lokowano w wieżach i kazamatach burtowych (na zdjęciu: armata kazamatowa kal. 152 mm z rosyjskiego pancernika „Retwizan" zatopionego podczas walk o Port Artur). Dzięki dalmierzom pojedynek artyleryjski można było toczyć efektywnie na dystansach 6–7 tys. m.

Pancerz burtowy na linii wodnej śródokręcia miał utwardzane płyty stalowe o grubości 200–250 mm. Poniżej i powyżej tej linii grubość była znacznie mniejsza, co w sytuacji dużego obciążenia, jak choćby w przypadku rosyjskich okrętów pod Cuszimą (27–28 maja 1905 r.), mogło mieć fatalne konsekwencje w trakcie bitwy. Silnie opancerzone było także stanowisko dowodzenia. Kadłub miał system grodzi wzdłużnych i poprzecznych zapewniających jednostce większą żywotność. Zasięg pancerników liniowych wynosił do 2,8 tys. mil morskich przy średniej prędkości 10 węzłów (maksymalnie 19).

Lżejszymi od pancerników, ale za to szybszymi i bardziej uniwersalnymi okrętami były krążowniki pancerne. Ich zasadniczym uzbrojeniem były 4 działa kal. 203 mm. Kierowano je do samodzielnych akcji przeciwko liniom komunikacyjnym wroga, wspierały też pancerniki w walnych bitwach. Wciąż wykorzystywano przestarzałe krążowniki pancernopokładowe, których pokłady zabezpieczano przed padającymi pod kątem pociskami wystrzeliwanymi z dużego dystansu. Efektywną bronią stały się torpedy miotane z rurowych wyrzutni (nowa kategoria okrętów – torpedowce). Na początku XX w. miały już silniki napędzane podgrzewanym sprzężonym powietrzem oraz ruchome stery i żyroskopy utrzymujące odpowiedni kierunek. Wypełnione bawełną strzelniczą pociski poruszały się z prędkością 24–26 węzłów na odległość 2000 m.

Gigantyczny pojedynek artyleryjski pod Cuszimą, zakończony spektakularną porażką eskadry rosyjskiej, dał asumpt do budowy okrętów jeszcze potężniejszych; pojawiły się słynne „dreadnoty".

eprasa.pl 16949dbbda

Następnym wielkim starciem gigantów była bitwa jutlandzka w 1916 r.

Balista, onager

Poza dobrą organizacją i skutecznym uzbrojeniem indywidualnym legiony rzymskie dysponowały innym ważnym atutem: zabójczą bronią zespołową, czyli ówczesną artylerią. Stosowana była przez Greków już od IV w. p.n.e., ale rozpowszechniła się dzięki Rzymianom. Całą gamę rozmaitego ciężkiego oręża zastosowano m.in. podczas walk pod murami Kartaginy w 146 r. p.n.e., w trakcie oblężenia Numancji w 133 r. p.n.e. oraz w czasie zmagań pod Alezją (52 r. p.n.e.). Warto dodać, że bojowe machiny wykorzystywano nie tylko w trakcie zdobywania umocnień, lecz także podczas bitew toczonych w polu. Ważne miejsce zajmowała katapulta, czyli balista. Wyglądem przypominała masywną kuszę, jednak siłę miotającą zapewniało nie łuczysko, ale wiązka



odpowiednio skręconych, sprężystych cięciw. W zamocowane w drewnianej ramie wiązki wkładano spięte cięciwą drewniane ramiona. Cięciwę napinano za pomocą dźwigni. Stosowano dwa rodzaje pocisków: kamienne kule lub bełty. Siła takiej machiny była ogromna; strzała wystrzelona w kierunku zwartych szyków nieprzyjacielskich mogła przebić kilku opancerzonych wojowników. Rzymskie balisty słynęły też z doskonałej celności, czego potwierdzeniem są dzisiejsze eksperymenty prowadzone w ramach archeologii doświadczalnej. Odmianą katapulty był onager; jego potężne ramię umieszczone w wiązce cięciw znajdowało się w pionie. Na końcu ramienia była skórzana łycha (podobna do ręcznej procy), w którą wkładano kamienny pocisk (nawet 80 kg); tor jego lotu był płaski. Konstrukcję osadzano na kołowej lawecie.

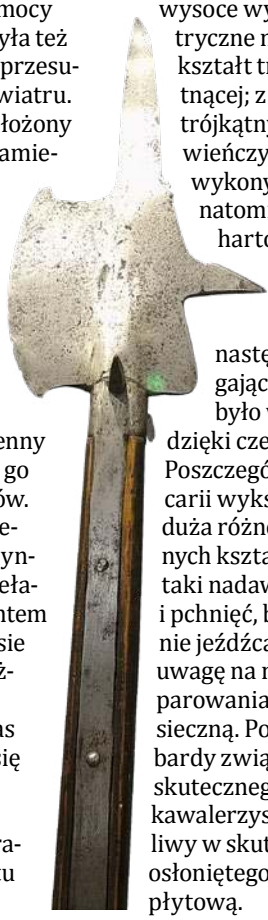


Karabin SMLE

Short Magazine Lee-Enfield (SMLE) wprowadzono do uzbrojenia armii brytyjskiej po doświadczeniach ostatniej wojny burskiej (1899–1902). Stanowił uzbrojenie piechurów i kawalerzystów. Dostosowano go do nowej doktryny hołdującej szybkiemu i precyzyjnemu strzelaniu na różne odległości. Celownik wyskalowano w przedziale 200–2000 jardów (182–1828 m); suwak ze szczerbinką przesuwano na ramieniu co 25 jardów, a precyzyjnie, przy pomocy ślimakowej przekładni, co 5; była też możliwość regulacji bocznego przesuwu uwzględniającego wpływ wiatru. Dodatkowy celownik boczny złożony z przeziernika na ruchomym ramieniu oraz kulkowej muszki pozwalał na strzelanie na dystansie od 1700 do 2800 jardów (1554–2560 m). Łoże i kolba stanowiły oddzielne części; ta ostatnia występowała w trzech rozmiarach, umożliwiając dostosowanie karabinu do wzrostu strzelca. Pudełkowy magazynek wymienny mieścił 10 nabojów; ładowano go z pięcionabojowych ładowników. Zamek ślizgowo-obrotowy czterochwytowy chodził lekko i płynnie, pozwalając na szybkie przeładowanie. Dodatkowym elementem była pozioma płytka na zawiasie zamykająca magazynek i umożliwiająca ładowanie karabinu pojedynczym nabojem, podczas gdy w magazynku znajdował się 10-nabojowy zapas gotowy do wykorzystania w krytycznym momencie. Przedni bączek karabinu stanowił osadę do bagnetu i jednocześnie osłonę muszki, końcówka lufy była przez niego całkowicie zakryta. Do SMLE stosowano bagnet sieczny o długości 55 cm. W ciągu dekad broń poddano jedynie drobnym modyfikacjom; służyła armii brytyjskiej w obu wojnach światowych.

Halabarda

W swej prymitywnej, wczesnej formie była po prostu toporem o prostokątnym żeleźcu osadzonym na długim stylisku. To determinowało jej użycie – służyła wyłącznie do rąbania. Z czasem pojawił się dodatkowy element, czyli hak przymocowany po przeciwnej stronie drzewca, ułatwiający zaczepienie jeźdźca i umożliwiający zrzucenie go z wierzchowca. Samo ostrze stało się smuklejsze, trapezoidalne, zakończone wydatnym grotem skierowanym ku górze. W drugiej połowie XV w., dzięki Szwajcarom, halabarda staje się orężem wysoce wyspecjalizowanym. Asymetryczne masywne ostrze przyjmuje kształt trapezu o szerokiej części tnącej; z drugiej strony znajduje się trójkątny szpikulec/hak, a szczyt wieńczy trójkątny grot. Rdzeń wykonywano ze zwykłego żelaza, natomiast część tnącą odpowiednio hartowano w celu nadania pożądanej twardości Mocowanie do drzewca zapewniała krótka tuleja przechodząca następnie w długie wąsy zapobiegające odcięciu żeleźca. Drzewce było w przekroju wieloboczne, dzięki czemu chwyt był pewniejszy. Poszczególne miasta i kantony Szwajcarii wykształciły własne formy, stąd duża różnorodność typów o odmiennych kształtach ostrza i grotu. Oręż taki nadawał się zarówno do cięcia, jak i pchnięć, boczny hak ułatwiał zrzucenie jeźdźca z konia; należy też zwrócić uwagę na możliwość skutecznego parowania ciosów zadawanych bronią sieczną. Powstanie i ewolucja halabardy związane były ściśle z potrzebą skutecznego rażenia opancerzonego kawalerzysty. Cios rąbany bywał straszliwy w skutkach nawet dla rycerza osłoniętego doskonałej jakości zbroją płytową.



© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 16949dbbda



XX w. / Nieoczekiwany efekt wielkiej wojny

Intymny wynalazek

FOT. ADOBE STOCK



Tymoteusz Pawłowski

Majtki to – wbrew pozorom – niesamowicie ważny wynalazek, mający olbrzymie znaczenie dla ludzkości



Reklama bielizny z 1954 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wielka kariera majtek zaczęła się w średniowieczu. Podstawowym ubiorem – zarówno męskim, jak i damskim – były długie, sięgające ziemi suknie, podobne do tych, które noszą mężczyźni w krajach arabskich czy księża katoliccy w naszym klimacie. Ich wersja żeńska była z reguły bardziej dopasowana po to, aby podkreślić wątłą kibić lub zaokrąglony w ciąży brzuch. Pod sukniami nie noszono żadnej bielizny, co pozwalało lepiej dbać o higienę. Ułatwiało to również normalne funkcjonowanie: trzeba pamiętać, że nie było wówczas gumek i bieliznę utrzymywano przy pomocy troczków, oraz o tym, że w toaletach nie było światła, wody bieżącej i papieru toaletowego. Majtki dodawałyby wizytom w toaletach dodatkowego poziomu trudności.

Brak majtek sprawdzał się świetnie w życiu codziennym, ale sprawiał problemy podczas jazdy konnej. Jako że konno jeździli niemal wyłącznie dość bogaci mężczyźni – dla ułatwienia narracji nazwijmy ich rycerzami – to oni pierwsi zaczęli nosić majtki. Nazywano je różnie – z włoskiego „pantalony" od imienia ubranego w nie bohatera komedii „Pantalone", z niemieckiego rajtuzy, od „reithose", czyli nogawice jeźdźca, z łaciny zaś kalesony, od „calcea" – „pończocha". W XVI w. kalesony – „caleçon" – stały się modne wśród francuskich arystokratek. Rozpropagowała je lubiąca jazdę konną, a pochodząca z Włoch królowa Katarzyna Medycejska.

Poznawanie dziejów niektórych wynalazków – szczególnie związanych z osobistym życiem codziennym – bywa całkiem trudne. Mało kto opisuje w pamiętnikach swoje wizyty w toalecie, bielizna rzadko pojawia się w materiałach ikonograficznych, jest zbyt delikatna, aby przetrwała jako odkrycie archeologiczne, z rzadka bywa wymieniana w dokumentach. Stąd pojawiają się błędne interpretacje: np. kobiece kalesony w czasach renesansu i baroku łączone są współcześnie z rozwiązłością i kurtyzanami. Taki sam błąd interpretacyjny możemy popełnić i dzisiaj, oglądając reklamy bielizny: może się zdawać, że współczesne majtki

eprasa.pl 16949dbbda



Pantalony z połowy XIX w.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, METROPOLITAN MUSEUM OF ART

składają się wyłącznie z przezroczystych koronek, a noszą je wylegujące się w atłasowej pościeli młode, ociekające seksapilem dziewczyny.

Damskie kalesony faktycznie były przez wieki odzieżą dość specjalistyczną, niczym dzisiaj „spodnie do jogi". Równie specjalistyczne były kobiece spodnie oraz… kobiece spódnice. Obydwa te elementy garderoby były męskie: spódnice mężczyźni nosili w krajach, w których jazda konna nie była popularna, takich jak Szkocja czy Grecja. Spódnice i spodnie dla kobiet istniały, ale nie były popularne, m.in. z powodu braku wspomnianych gumek…

Rewolucja

Wielką zmianę w departamencie bieliźnianym przyniosła oczywiście rewolucja przemysłowa. Przede wszystkim wzrosła ilość tkanin dostępnych do produkcji bielizny. Wzrost można określić bardzo precyzyjnie: był on niebotyczny. W Europie z tkanin dostępne były wełniane sukno i len, a wełniane kalesony mogły być zarówno odzieżą wierzchnią, jak i bielizną (i to też był powód małej popularności majtek). Rewolucja przemysłowa polegała m.in. na wprowadzeniu do masowej produkcji tkanin bawełnianych. W sposób bardzo wyraźny różniły się one delikatnością od sukna i nagle – gdzieś w początkach XIX w. – okazało się, że noszenie bielizny jest po prostu przyjemne i może być tanie.

Rewolucja przemysłowa wprowadziła również pośrednie zmiany ułatwiające kobietom noszenie majtek. Przede wszystkim nastąpiła urbanizacja, wiele kobiet przeniosło się ze wsi do miast, gdzie praca odbywa się częściej w zamkniętych pomieszczeniach. Suknie – długie i wielowarstwowe – nie były już tak bardzo potrzebne. W co bogatszych domach wprowadzono wydajne systemy ogrzewania, wreszcie pojawił się wynalazek zwany WC, z angielskiego „water closet": ubikacja spłukiwana wodą. Rozwój techniki i nauki wpłynął również na podejście do ubioru, miał on być oparty na podstawach naukowych, nowoczesny i higieniczny. W połowie lat 60. XIX w. – gdy w Polsce kończyło się powstanie styczniowe, a w Ameryce woja secesyjna – kobiety pożegnały się ze sztywnymi krynolinami i nastąpiła prawdziwa rewolucja w dziedzinie mody.

Wymiary organizacyjne dał jej wynalazca płatków śniadaniowych James Caleb Jackson, zakładając National Dress Reform Association: Narodowy Związek dla Reform Sukien. W Europie działał z kolei prof. Gustav Jäger. Obaj nawoływali m.in. do porzucenia gorsetów, noszenia bluzek i spódnic oraz kobiecych kalesonów. Damskie majtki w kształcie krótkich kalesonów nazywane są więc do dziś reformami lub jegrami. Miały one wszakże jedną cechę: brak kroku, co ułatwiało dbanie o higienę, no oczywiście poza czasem miesiączki, ale w takich okolicznościach kobiety starały się ograniczyć swoją aktywność do minimum.

Nowoczesność

Majtki – w dzisiejszym rozumieniu tego słowa – zostały wymyślone w 1874 r. przez C.F. Bennetta z Chicago. Popularność zyskały po roku 1885, jako jocki (dla mężczyzn) albo jille (dla kobiet). Nazwa wywodziła się od słowa „jockey", ale nie chodziło o dżokeja na koniu, tylko o rowerzystę. Skąd rok 1885? Wówczas pojawiły się nowoczesne rowery, z kołami o równej wielkości, napędzane przekładnią łańcuchową, z siodełkiem. Rowery natychmiast – w ciągu jednego sezonu – stały się bardzo modne, ale problem stanowiły siodełka.

Kobiety w ogóle nie mogły na nich jeździć – nie ze względu na zakazy obyczajowe czy religijne, ale ze względu na ubiór. Kilka warstw sukien i spódnic sięgających do kostek sprawiało, że pedałowanie było niebezpieczne. Rozwiązaniem była zamiana spódnic na spodnie – i dość szybko kobiety zaczęły nosić spodnie – ale było to rozwiązanie niepełne. Jak jeździć w spodniach, skoro nie ma majtek? Toż to niehigieniczne, niewygodne i niezdrowe: każda dłuższa wycieczka powodowała otarcia i zapalenia. Mężczyźni mieli podobne problemy – co prawda, od dawna nosili spodnie, a niektórzy używali nawet kalesonów, ale siodełko powodowało otarcia.

Lech Janerka śpiewa w utworze „Rower": „ubierz się w obcisłe, bo to warto mieć styl", ale nie chodzi tylko o styl, z czego doskonale zdawał sobie sprawę C.F. Bennett. Wynalazł on bieliznę uciskową, podtrzymującą niesforne męskie oraz żeńskie części ciała i – używając języka technicznego – równo rozkładającą siły działające pomiędzy siodełkiem roweru a siedzeniem rowerzysty (lub rowerzystki). I choć nie do końca były to współczesne majtki – ich tylna część pozbawiona była tkaniny – to jocki i jille pozwalały korzystać z uroków rowerów i dawały olbrzymie pole do popisu na przyszłość.

Ich konstrukcja sprawdziła się w czasie wielkiej wojny, gdy miliony mężczyzn zostały powołane do wojska i kobiety musiały zastąpić ich w pracy. W takiej sytuacji miesiączka nie mogła zmniejszać aktywności zawodowej kobiet, więc do zabezpieczania przed krwią stosowano jednorazowe opatrunki wojskowe. W ten sposób – ok. 1916 r. – powstały pierwsze podpaski jednorazowe, ale był to przecież system wymagający odpowiedniego mocowania, czyli dość obcisłych majtek. Pojawiły się one tuż po zakończeniu wielkiej wojny i już w latach 20. w prasie kobiecej zaczęto reklamować majtki. Tym razem garderobiane opóźnienie dotknęło mężczyzn, ponieważ slipy zaprezentowano dopiero w 1935 r.

Majtki mają olbrzymie znaczenie dla ludzkości – szczególnie dla jej żeńskiej połowy. To jeden z tych elementów, bez którego równouprawnienie byłoby czczym sloganem. Majtki nie tylko dają techniczną możliwość używania jednorazowych podpasek higienicznych – a trudno sobie wyobrazić funkcjonowanie kobiet bez tego wynalazku – lecz także umożliwiają angażowanie się w różnorodne aktywności fizyczne, jak choćby tańce i sport.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 16949dbbda

Prezydent pod lupą / Sekrety Mount Vernon



Jerzy Waszyngton i jego niewolnicy. Grafika według Juniusa Brutusa Stearnsa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

Niewolnicy Waszyngtona



Piotr Zychowicz

Pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych był plantatorem i właścicielem kilkuset Murzynów. Czy zostanie strącony z cokołów?

Jerzy Waszyngton wielkim bohaterem był. Ojciec założyciel Stanów Zjednoczonych Ameryki. Pogromca Brytyjczyków w trakcie amerykańskiej rewolucji. Zwycięski generał, pierwszy prezydent USA. Wielki reformator. Amerykanie codziennie patrzą na jego wizerunek umieszczony na jednodolarówce. W Stanach Zjednoczonych znajdują się setki pomników, ulic, placów, szkół i miejscowości noszących jego imię.

Dla amerykańskich Murzynów ojciec założyciel jest jednak postacią co najmniej dwuznaczną. Jak większość plantatorów z Południa Waszyngton był bowiem właścicielem niewolników. Fakt ten wzbudza w Ameryce kontrowersje i namiętne polemiki. Jedna strona sporu dowodzi, że „takie były czasy". Druga, że Waszyngtona trzeba odbrązowić i zrzucić z cokołów.

Z problemem tym zetknąłem się podczas niedawnej podróży do Ameryki, gdzie odwiedziłem Mount Vernon. To posiadłość ziemska Jerzego Waszyngtona położona w hrabstwie Fairfax w stanie Wirginia. Została ona zamieniona w muzeum i jest obecnie udostępniana turystom z całego świata. Choć oczywiście wśród zwiedzających dominują amerykańskie wycieczki szkolne.

Mount Vernon jest przepiękny. Majątek ma 200 ha i położony jest na wzgórzach łagodnie opadających w stronę Potomaku. Centralnym punktem jest stary drewniany dom, do złudzenia przypominający dwory z Wielkiego Księstwa Litewskiego i Rusi. Analogia ta nasuwa się na każdym kroku. Tryb życia plantatorów z Południa do złudzenia przypominał tryb życia naszej szlachty. Podobna architektura, podobna mentalność, podobny styl życia i rola ekonomiczna.

Czworaki Waszyngtona

Ten sielankowy obraz psuje naturalnie sprawa niewolników, której na ekspozycji w Mount Vernon – zgodnie z obowiązują-

eprasa.pl 16949dbbda



Mount Vernon. Dom Jerzego Waszyngtona
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, OTHERSPICE

cymi trendami – poświęcono bardzo dużo miejsca. Zwiedzający mogą zobaczyć specjalny „memoriał" o „zniewolonych ludziach" i ze szczegółami dowiedzieć się o trudach ich żywota. Twórcy wystawy zrekonstruowali drobiazgowo niewolnicze czworaki.

Racja żywnościowa niewolników Waszyngtona składała się z kilku garści kukurydzianej brei (węglowodany) i solonego śledzia (białko). Od święta i za wyjątkowo dobre sprawowanie Murzyni mogli liczyć na kawałek mięsa, a nawet kubek rumu.

W sumie przez całe życie Waszyngton był właścicielem 577 niewolników. Część odziedziczył, część kupił, jeszcze innych wydzierżawił, a 84 dostał w posagu, gdy ożenił się z Martą Dandridge Custis. W 1799 r., czyli w momencie śmierci pierwszego prezydenta USA, w skład majątku państwa Waszyngtonów wchodziło 317 Murzynów, w tym 143 dzieci.

Większość z nich pracowała na plantacji tytoniu, a potem – gdy Waszyngton zmienił specjalizację – przy uprawie pszenicy. Oczywiście byli również niewolnicy „funkcyjni". Czyli praczki, pracownicy kuchni czy służący domowi. Zarówno Waszyngton, jak i jego żona mieli swoich czarnych faworytów. Najbardziej pracowitych i zaufanych niewolników nagradzali. Lepszymi ubraniami, kocami, a nawet gotówką.

Co ciekawe jednak, zarówno faworyta pani Waszyngton (niewolnica o nazwisku Ona Judge), jak i faworyt pana Waszyngtona (Hercules Posey) uciekli od swoich państwa. Schronili się na terenie stanów północnych, a Waszyngtonowi nigdy nie udało się ich wytropić i sprowadzić z powrotem.

Ucieczki te mogą być ciekawym argumentem w dyskusji na temat tego, jak Waszyngton traktował swoich niewolników. Dokumenty z epoki wskazują na to, że działania ojca założyciela nie różniły się wiele od działań innych plantatorów z Południa.

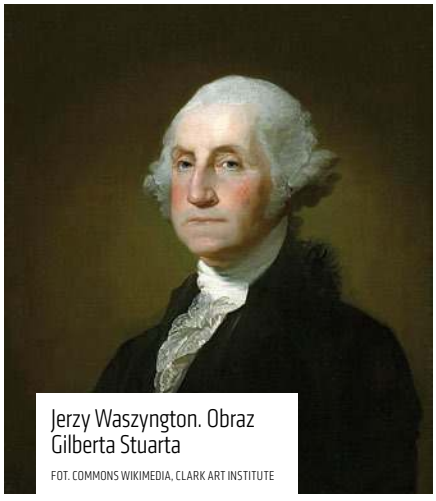
„Ludzki pan"

Waszyngton miał być wyjątkowo skąpy. Dawał niewolnikom tylko tyle jedzenia, żeby zapewnić ich produktywność i zachować przy życiu. Kupował im mało ubrań, rozdzielał rodziny i zmuszał do ustawicznej, niezwykle wyczerpującej pracy od świtu do zmierzchu. Krnąbrnych niewolników kazał surowo karać. Chłosta nie należała w Mount Vernon do rzadkości. Tyle historiografia krytyczna.

Z kolei historycy patrioci piszący z pozycji apologetycznych – tak, w Ameryce też są tacy, to nie jest tylko fenomen polski – dowodzą, że nie było tak źle. Waszyngton, palił, owszem, ale się nie zaciągał. Był „ludzkim panem" i dbał o swoich niewolników jak ojciec. Z własnej kiesy utrzymywał nieproduktywnych starców i dzieci, co doprowadziło majątek Mount Vernon na skraj bankructwa.

Pojawia się oczywiście pytanie, dlaczego w takim razie – jako prezydent USA – Waszyngton nie próbował przeforsować ustawy o zniesieniu niewolnictwa. Szczególnie że według przychylnych mu biografów od lat 60. XVIII w. przeszedł „wewnętrzną przemianę" i zaczął „zbliżać się do ruchu abolicjonistycznego".

Rzeczywiście, Waszyngton wyrażał sympatię wobec idei zniesienia niewolnictwa. Jak się wyraził w jednym z listów, myślał nawet o „zrezygnowaniu z Negrów". Podobne deklaracje padały jednak tylko w rozmowach prywatnych. Publicznie mówił, że „czas do tego jeszcze nie dojrzał". Choć powoływał się przy tym na troskę o jedność Unii, to trudno nie odnieść wrażenia, że przemawiał przez niego interes prywatny.



Jerzy Waszyngton. Obraz Gilberta Stuarta
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CLARK ART INSTITUTE

Jak wiadomo, Waszyngton i inni ojcowie założyciele USA – którzy zbuntowali się przeciwko Koronie Brytyjskiej – z sympatią odnosili się do rewolucji francuskiej i ideałów oświeceniowych. Zgodnie z nimi wszyscy ludzie byli zaś równi. Jak widać, zresztą nie tylko w przypadku Waszyngtona, teoria rozmijała się z praktyką.

W dworku Waszyngtona przewodnik z dumą pokazał mi oprawiony w ramkę klucz do Bastylii. Gospodarzowi podarował go jego francuski przyjaciel markiz de la Fayette. Słynny francuski rewolucjonista gościł w Mount Vernon wielokrotnie. Za każdym razem namawiał Waszyngtona do uwolnienia niewolników. Oczywiście bezskutecznie.

Bez entuzjazmu

Gdy w 1790 r. stolicą USA została Filadelfia, Waszyngton musiał tam sprowadzić część swoich niewolników. Woźniców i prywatnych służących. Rotował ich jednak co pół roku. Dlaczego? Bo zgodnie z prawem stanu Pensylwania każdy niewolnik, który mieszkał na jego terenie ponad sześć miesięcy, stawał się automatycznie wolnym człowiekiem…

Waszyngton uwolnił swoich niewolników dopiero w testamencie. W ostatniej woli prezydent zarządził, że jego niewolnicy mają zostać uwolnieni po śmierci żony Marty. W ten sposób zadbał o interes małżonki i zabezpieczył jej spokojną przyszłość (nie miał dzieci). Co ciekawe, wkrótce po śmierci Waszyngtona – w roku 1801 – Marta uwolniła niewolników. Sama zmarła rok później.

W Stanach Zjednoczonych mieszka obecnie 40 mln Murzynów, co stanowi 12 proc. populacji kraju. W przytłaczającej większości są to potomkowie niewolników. Dla społeczności tej Waszyngton jest postacią co najmniej dwuznaczną. Mogłem się o tym przekonać na własne oczy. Wśród tłumów zwiedzających Mount Vernon widziałem tylko kilku czarnych. A na ich twarzach nie było widać wielkiego entuzjazmu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 16949dbbda

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

STANISŁAW SKALSKI JUŻ JAKO NASTOLATEK MARZYŁ O TYM, ŻEBY ZOSTAĆ PILOTEM. W 1933 R., ZARAZ PO ZDANIU MATURY, ZGŁOSIŁ SIĘ DO SZKOŁY PODCHORĄŻYCH REZERWY LOTNICTWA W DĘBLINIE.



W 1938 R. PRZYDZIELONO GO DO ESKADRY MYŚLIWSKIEJ 111/4 DYWIZJONU MYŚLIWSKIEGO W TORUNIU. BRAŁ AKTYWNY UDZIAŁ W WALKACH W PIERWSZYCH DNIACH WOJNY, NISZCZĄC INDYWIDUALNIE CZTERY SAMOLOTY NIEMIECKIE I ZESPOŁOWO JEDEN – UZYSKUJĄC TYTUŁ ASA.



W POŁOWIE WRZEŚNIA ZOSTAŁ WRAZ Z INNYMI PILOTAMI WYSŁANY DO RUMUNII, ABY ODEBRAĆ ANGIELSKIE I FRANCUSKIE SAMOLOTY, KTÓRE MIAŁY BYĆ TAM DOSTARCZONE. Z RUMUNII PRZEDOSTAŁ SIĘ DO FRANCJI, A NA POCZĄTKU 1940 R. DO ANGLII. TRAFIŁ DO 501 DYWIZJONU RAF I JUŻ W SWYM PIERWSZYM DNIU LOTÓW BOJOWYCH ZESTRZELIŁ JEDEN NIEMIECKI SAMOLOT, A DRUGI USZKODZIŁ. JEDNAK 5 WRZEŚNIA 1940 ROKU...



PO DWÓCH MIESIĄCACH WRÓCIŁ DO CZYNNEJ SŁUŻBY. ŁĄCZNIE DO KOŃCA WOJNY ZALICZONO SKALSKIEMU ZNISZCZENIE INDYWIDUALNIE 18 SAMOLOTÓW I DWÓCH ZESPOŁOWO.



PO WOJNIE SKALSKI WRÓCIŁ DO POLSKI Z ZAMIAREM SŁUŻBY W LOTNICTWIE. SKIEROWANO GO NA STANOWISKO INSPEKTORA TECHNIKI PILOTAŻU. JEDNAK W CZERWCU 1948 R. ZOSTAŁ ARESZTOWANY, A 7 KWIETNIA 1950 R. SKAZANY NA KARĘ ŚMIERCI. OCZEKIWAŁ NA WYKONANIE WYROKU NIEŚWIADOMY TEGO, ŻE NA WNIOSEK JEGO MATKI, PREZYDENT BIERUT ZAMIENIŁ KARĘ ŚMIERCI NA DOŻYWOCIE.

OSTATECZNIE W 1956 R. ZGROMADZENIE SĘDZIÓW NAJWYŻSZEGO SĄDU WOJSKOWEGO UNIEWAŻNIŁO WYROK I POSTANOWIŁO O JEGO REHABILITACJI. W 1988 ROKU OTRZYMAŁ PROMOCJĘ NA STOPIEŃ GENERAŁA BRYGADY. ZMARŁ 12 LISTOPADA 2004 R.

eprasa.pl 16949dbbda

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

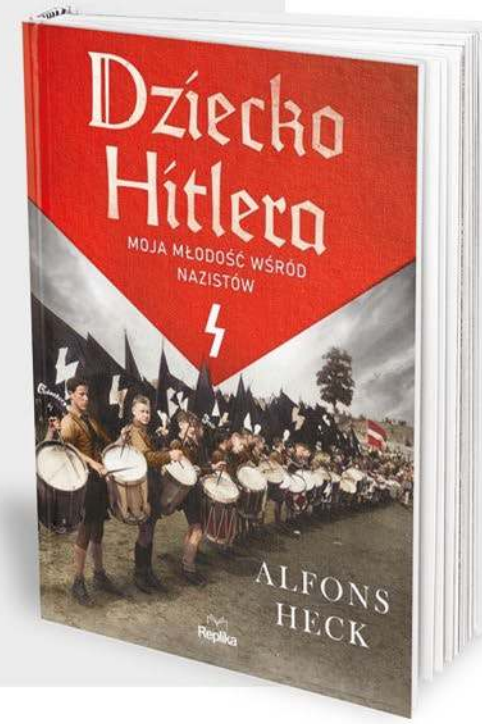
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ALFONS HECK: „DZIECKO HITLERA. MOJA MŁODOŚĆ WŚRÓD NAZISTÓW”

Dziecko Hitlera. Moja młodość wśród nazistów

Hitlerjugend – młodzi, ufni, wierni... Narodowy socjalizm miał być dla nich rajem. Okazało się, że zstępują do piekła.

Alfons Heck miał dziesięć lat, gdy wyruszył na norymberski Reichsparteitag – doroczny uroczysty wiec narodowych socjalistów przypominający ogromną mszę ku czci Führera. Jako członek Jungvolku, młodszej sekcji Hitlerjugend, wraz z tysiącami zafascynowanych młodych ludzi słuchał przemowy swego najwyższego przywódcy, boga nowego ładu świata, Adolfa Hitlera: "Wy, moja młodzieży" – krzyczał i wydawało mi się, że wbija oczy prosto we mnie – "jesteście dla narodu najcenniejszą gwarancją wspaniałej przyszłości". (...) Nie mieliśmy żadnych szans. Od tej chwili byłem duszą i ciałem oddany Adolfowi Hitlerowi.

Uderzająco szczera relacja chłopca, którego pochłonęły idee narodowego socjalizmu. Maszerując razem z nim w szeregach Hitlerjugend, poznajemy ukrytą stronę nazizmu, o której niewiele się pisze. Bardzo nieliczni, zapaleni niegdyś członkowie organizacji młodych nazistów, publicznie opowiadali o tamtych latach i swojej fascynacji hitleryzmem. Niniejsza książka pokazuje, jak wyglądało ich życie w tamtych czasach; kim byli, w co wierzyli i dlaczego dokonywali takich a nie innych wyborów.



154 zł

oszczędność 46 zł

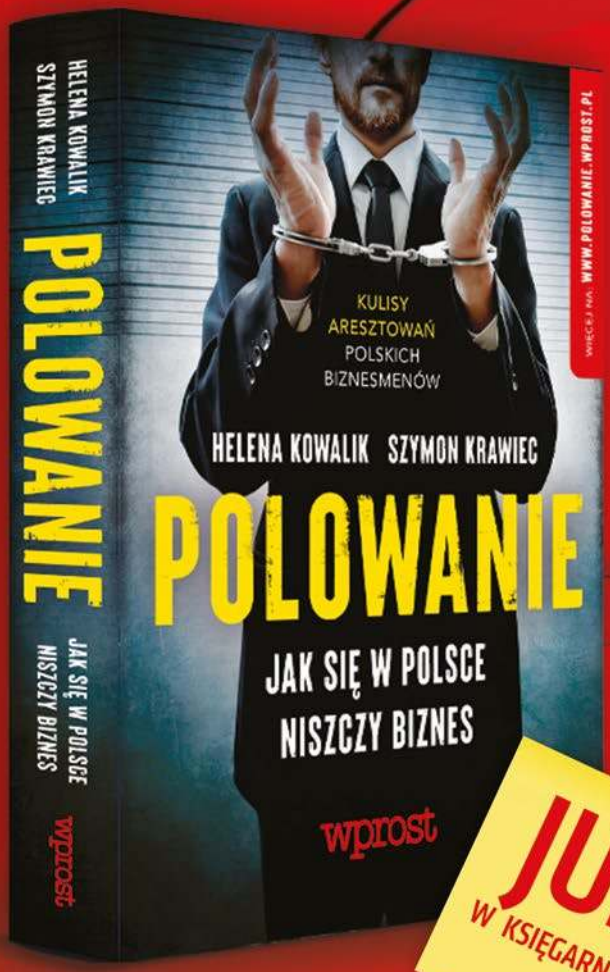
JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 16949dbbda

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH



KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631 , +48 508 040 664



PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomysł o Przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl/16949dbbda